

EOIN
COLFER



ARTEMIS FOWL



Niezwykłe udane
połączenie baśni,
powieści sensacyjnej
i science fiction.

*Gazeta Współczesna**

COLFER EOIN

Artemis Fowl #1 Artemis Fowl

EOIN COLFER

Z angielskiego przełożyła:

Barbara Kopeć-Umiatowska

prolog

Jakże opisać Artemisa Fowla? Próbowali tego rozmaici psychiatrzy, lecz bez skutku. Główną przeszkodą jest inteligencja Artemisa. Kpi z każdego podsuniętego mu testu. Wprawia w osłupienie największe medyczne autorytety, które zmykają do swych szpitali, bełkocząc bezmyślnie.

Nie ulega wątpliwości, że Artemis Fowl jest cudownym dzieckiem. Dlaczego jednak ktoś tak genialny poświęca się działalności przestępczej? Na to pytanie odpowiedzieć może tylko jeden człowiek. On zaś z rozkoszą nie mówi nic.

Być może najdokładniejszy wizerunek naszego bohatera uzyskamy, relacjonując jego pierwszy krok na drodze występku. Relację tę udało się nam sklecić dzięki bezpośrednim rozmowom z ofiarami Artemisa. Jak zapewne zrozumiecie w czasie lektury, nie było to zadanie łatwe.

Opowieść nasza zaczyna się kilka lat temu, u zarania dwudziestego pierwszego wieku. Wtedy to Artemis Fowl powziął misterny plan przywrócenia swej rodzinie fortuny – plan, który mógł obalić cywilizację i pogrążyć nasz glob w zamęcie międzygatunkowej wojny...

Miał wówczas dwanaście lat.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KSIĘGA

Lato w mieście Ho Szi Min każdy uznałby za skwarne. Ma się rozumieć, że Artemis Fowl zgadzał się znosić taki upał jedynie w imię spraw niezwyklej wagi – spraw istotnych dla planu.

Słońce nie służyło Artemisowi. Żle w nim wyglądał. Długie godziny, spędzone przed monitorem komputera, wywabiły rumieniec z jego policzków. W świetle dnia był blady jak wampir i prawie tak samo zgryźliwy.

–Mam nadzieję, Butler, że to nie kolejna ślepa uliczka – powiedział cichym, oschłym głosem. – Zwłaszcza po Kairze.

W słowach tych kryła się wymówka. Do Kairu pojechali na wezwanie szpiega, którego zatrudnił Butler.

–Nie, sir. Tym razem mam pewność. Nguyenowi można wierzyć.

–Hmm – mruknął Artemis bez przekonania. Przechodnie zapewne zdziwiliby się, słysząc, że wielki Eurazjata mówi „sir” do młodego chłopca. Przecież

jest trzecie tysiąclecie! Ale ci dwaj nie byli zwykłymi turystami i nie łączyły ich normalne stosunki.

Siedzieli w ulicznej kawiarence przy ulicy Dong Khai, patrząc, jak miejscowi młodzieńcy jeżdżą na motorynkach wokół placu. Nguyen spóźniał się, a żałość nie mała cień parasola nad stolikiem bynajmniej nie poprawiała Artemisowi nastroju. Jednak pod powłoką jego zwykłego pesymizmu tliła się iskierka nadziei. A może dzisiejsze spotkanie przyniesie wyniki? Może... może wreszcie odnajdą Księgę? Ale o tym nie śmiał nawet marzyć.

Do ich stolika podbiegł truchtem kelner.

–Jeszcze herbaty, panowie? – zapytał, kiwając zawzięcie głową. Artemis westchnął.

–Oszczędź mi pan tych komedii i siadaj.

–Ależ jestem kelnerem, panie – kelner odruchowo zwrócił się do Butlera. W końcu to on był tutaj dorosły.

Artemis zastukał w stół, wymuszając uwagę rozmówcy.

–Jest pan ubrany w ręcznie szyte pantofle i jedwabną koszulę, a na palcach ma pan trzy złote sygnety. W pańskiej mowie słyszę oksfordzki akcent, a pańskie wypolerowane paznokcie wskazują, że niedawno robiono panu manikiur. Nie jest pan kelnerem. Jest pan naszym łącznikiem, Nguyenem Xuanem, a to nieudolne przebranie miało panu ułatwić dyskretny rzut oka na naszą broń.

Nguyen zgarbił się.

–Wszystko prawda. Niebywale.

–Nic podobnego. Wymięty fartuch nie czyni kelnera.

Nguyen usiadł i nalał miętowej herbaty do maleńkiej porcelanowej czarki.

–Uzupełnię pańską wiedzę o stanie naszego uzbrojenia – rzekł Artemis. – Ja nie noszę broni. Ale tu obecny Butler, mój... hmm... kamerdyner, nosi w kaburze pod pachą pistolet sig sauer. W cholewkach butów ma dwa noże bojowe, w rękawie dwulufowego derringera, w zegarku stalową linkę, a w kieszeniach ukrywa trzy granaty ogłuszające. Coś pominąłem, Butler?

–Pończocha, sir.

–A, tak. Pod koszulą ukrywa starą dobrą pończochę, pełną metalowych kulek.

Drżącą dłonią Nguyen uniósł czarkę do ust.

–Proszę się nie obawiać, panie Xuan – uśmiechnął się Artemis. – Nie użyjemy tej broni przeciwko panu. Nguyen nie wydawał się uspokojony.

–Nie zrobimy tego – ciągnął Artemis – gdyż Butler potrafi pana zabić gołymi rękami na sto różnych sposobów. Choć jestem pewien, że jeden sposób całkiem by wystarczył.

Xuan przeraził się nie na żarty. Artemis zazwyczaj tak działał na ludzi – blady nastolatek, który przemawiał jak dorosły, władczo i dobitnie. Xuan słyszał już nazwisko Fowl – ktoś go nie znał w międzynarodowym półświatku? – ale sądził, że będzie miał do czynienia z ojcem, a nie z tym chłopakiem. Chociaż, z drugiej

strony, słowo „chłopak” niezbyt pasowało do chudego wyrostka. A Butler, cóż to był za olbrzym! W jego potężnych dłoniach kręgosłup mężczyzny z pewnością pękłby jak gałązka! Nguyen szybko doszedł do wniosku, że za żadne pieniądze nie życzy sobie spędzić w ich towarzystwie ani minuty dłużej.

–A teraz do rzeczy – powiedział Artemis, kładąc na stole miniaturowy magnetofon. – Odpowiedział pan na nasze ogłoszenie w Internecie.

Nguyen przytaknął i nagle ze wszystkich sił zapragnął, by jego informacje okazały się ściśle.

–Tak, panie... paniczku Fowl. Wiem... wiem, gdzie jest to, czego pan szuka.

–Doprawdy? I mam uwierzyć panu na słowo? Przecież to może być zasadzka. Mojej rodzinie nie brak wrogów.

Butler zręcznie chwycił moskita, unoszącego się tuż obok ucha pracodawcy.

–Nie, nie – zaprotestował Nguyen, sięgając po portfel. – Proszę spojrzeć.

Artemis przyjrzał się fotografii, siłą woli zmuszając serce do spokoju. Zdjęcie wyglądało obiecująco, ale w dzisiejszych czasach, mając komputer i płaski skaner, można było sfalszować wszystko. Widniała na nim ręka, wylaniająca się z gęstego cienia – ręka, którą pokrywały zielone plamy.

–Hmm- mruknął.– Proszę o wyjaśnienie.

–To uzdrowiaczka. Mieszka przy ulicy Tu Do. Za leczenie przyjmuje wino ryżowe. Pijana bez przerwy.

Artemis skinął głową. Wszystko się zgadzało. Jednym z niewielu niezbitych faktów, jakie odkrył jego wywiad, było właśnie pijaństwo uzdrowiaczki. Wstał i obciągnął białą koszulkę polo.

–A więc dobrze. Niech pan prowadzi, panie Xuan. Nguyen otarł pot z cienkiego wąsika.

–Miałem tylko dostarczyć informacji. Taka była umowa. Nie chcę, żeby na moją głowę padła klątwa. Butler fachowo chwycił Wietnamczyka za kark.

–Przykro mi, panie Xuan, ale dawno minęła pora, kiedy miał pan jakikolwiek wybór.

Służący poprowadził opierającego się Nguyena do wynajętego dżipa z napędem na cztery koła. Taki pojazd właściwie nie był potrzebny na płaskich ulicach miasta Ho Szi Min – miejscowa ludność nadal nazywała je Sajgonem – lecz Artemis wolał trzymać się jak najdalej od cywilów.

Dżip posuwał się do przodu w dotkliwie wolnym tempie, i ta powolność potęgowała jeszcze dręczące uczucie oczekiwania, wzbierające w piersi Artemisa. Z trudem nad sobą panował. Czyżby po sześciu fałszywych alarmach na trzech kontynentach dotarli do celu wyprawy? Czyżby przesiąknięta winem uzdrowiaczka miała okazać się złotym skarbem na końcu tęczy? Artemis niemal roześmiał się w głos. Garnek złota na końcu tęczy. Udało mu się zażartować, a to nie zdarzało się codziennie.

Wszechobecne motorynki rozdzieliły się przed nimi niczym gigantyczna ławica ryb. Wydawało się, że tłum ciągnie się bez końca. Handlarze i kramarze tłoczyli się nawet w zaułkach. Kucharze rzucali rybie łby na tłuszcz, syczący na patelniach, pod stopami kłębili się oberwańcy, polujący na niepilnowane przez właścicieli cenne przedmioty. Inni chłopcy siedzieli w cieniu i ćwiczili kciuki, grając na gameboyach. Artemis uśmiechnął się, a właściwie złagodził grymas, wykrzywiający jego twarz. Niemal podziwiał tych łobuziaków. Byli podobni do niego, tylko o wiele biedniejsi. Zastanowił się, jak on sam poradziłby sobie na ulicy, zwłaszcza tutaj, gdzie za odpowiednią cenę można było kupić wszystko, od podrabianej koszulki Calvina Kleina do prawdziwego kałasznikowa..

Oliwkowa bluza Nguyena pociemniała od potu. Nie chodziło o wilgotny upał – do tego był przyzwyczajony. Chodziło o całą tę przeklętą sytuację. Powinien był wiedzieć, że nie wolno mieszać czarów z przestępstwem. Przyrzekł sobie w duchu, że jeśli uda mu się wyjść cało z tej opresji, jego życie się zmieni. Koniec z odpowiadaniem na podejrzone ogłoszenia w Internecie – i z pewnością koniec współpracy z latoroślami europejskich władców przestępczego podziemia.

Dżip nie mógł jechać dalej. Pojazd terenowy z napędem na cztery koła nie mieścił się w wąskim zaułku. Artemis zwrócił się do Nguyena.

–Chyba dalej udamy się pieszo, panie Xuan. Jeśli pan chce, może pan próbować ucieczki, lecz wówczas nie uniknie pan ostrego ciosu między łopatkami.

Nguyen zerknął w oczy Artemisa. Miały ciemnoniebieską, prawie czarną barwę. Nie było w nich litości.

–Nie ma obawy – powiedział. – Nie ucieknę.

Wysiedli z samochodu. Tysiące podejrzliwych oczu śledziły ich kroki na parującej wilgocią uliczce. Jakiś niefortunny kieszonkowiec usiłował pozbawić Butlera jego portfela, lecz ochroniarz złamał mu palce, nawet nań nie spojrzawszy. Po tym zdarzeniu wszyscy omijali ich szerokim łukiem.

Uliczka zamieniła się w głęboką koleinę. Zawartość ścieków i rynien wylewała się wprost na błotnistą nawierzchnię. Na wysepkach z mat ryżowych siedzieli żebracy i kaleki, błagając przechodniów o kilka dogów. Ich prośby były daremne; większość przechodniów w zaułku nie miała nic, czym mogłaby się podzielić. Z wyjątkiem trzech osób.

–A więc? – zapytał Artemis. – Gdzie ona jest?

Nguyen dźgnął palcem w kierunku trójkątnego otworu, czerniejącego pod zardzewiałą drabinką przeciwpożarową.

–Tam. Pod schodami. Nigdy nie wychodzi. Nawet po alkohol ryżowy kogoś posyła. Mogę już iść?

Artemis nawet nie pofatygował się, by odpowiedzieć. Omijając kałuże, przeciął zaułek i stanął w cieniu drabinki. W ciemnej czeluści otworu coś poruszyło się ukradkowo.

–Butler, mógłbyś mi podać lornetkę?

Butler wyciągnął zza pasa noktowizor i umieścił go w wyciągniętej dłoni Artemisa. Automat światłomierza zabzyczał, dostosowując się do panujących warunków.

Artemis podniósł urządzenie do oczu, nabrał tchu i spojrzał w rozedrganą ciemność. Wszystko nabrało radioaktywnej, zielonej barwy. Na macie z rafii ktoś siedział, moszcząc się w nikłym świetle. Artemis wyregulował ostrość. Małą – nienaturalnie małą – postać spowijała brudna chusta, a wokół niej, na pół zatopione w błocie, wały się puste dzbany po winie. Spod fałd tkaniny wystawała jedna ręka. Wyglądała na zieloną. Ale przez noktowizor wszystko wyglądało na zielone.

–Madame – powiedział Artemis – mam dla pani propozycję.

Postać sennie obróciła głowę.

–Wina – zaskrzeczał głos, chrypliwy niczym zgrzyt gwoźdźcia przeciągniętego po tablicy. – Wina, Angliku.

Artemis uśmiechnął się. Dar języków, niechęć do światła. Zgadzało się.

–Właściwie jestem Irlandczykiem. No więc? Uzdrawiaczka nieufnie pogroziła kościstym palcem.

–Najpierw wino. Potem rozmowa.

–Butler?

Ochroniarz sięgnął do następnej kieszeni, z której wydobył pół litra najlepszej irlandzkiej whisky. Artemis wziął butelkę i kusząco pomachał nią tuż poza granicą cienia. Ledwie zdążył zdjąć noktowizor, gdy z mroku wyprysnęła szponiasta dłoń i pochwyciła trunek. Dłoń zielona i nakrapiana. Bez najmniejszej wątpliwości.

–Butler, zapłać naszemu przyjacielowi Nguyenowi. Całą należność. Proszę zapamiętać, panie Xuan, sprawa musi pozostać między nami. Nie chce pan chyba, żeby Butler wrócił?

–Nie, nie, paniczu Fowl. Nie puszczę pary z ust.

–Mam nadzieję. Inaczej Butler zakręci panu parę na zawsze.

Nguyen pędem oddalił się uliczką. Był tak uszczęśliwiony, że jeszcze żyje, iż nawet nie zadał sobie trudu, by – rzecz dlań dość niezwykła – przeliczyć plik amerykańskich banknotów. Ale na pewno niczego nie brakowało. Dwadzieścia tysięcy dolarów! Nieźle, jak na pół godziny pracy!

Artemis odwrócił się do uzdrawiaczki.

–A teraz, madame... Posiada pani coś, co chciałbym mieć.

Postać koniuszkiem języka zlizwała kroplę alkoholu z kącika ust.

–Tak, Irlandczyku. Ból głowy. Chory ząb. Ja wyleczyć.

Artemis założył noktowizor i kucnął obok niej.

–Jestem całkowicie zdrowy, proszę pani, nie licząc lekkiej alergii na kurz, na którą nawet pani nic nie poradzi. Nie. Chcę dostać od pani Księżę.

Wiedźma znieruchomiała. Spod chusty błysnęły jasne oczy.

–Księża? – zapytała niepewnie. – Nic nie wiedzieć o żadnej księdze. Ja uzdrawiaczka. Chcę książkę, iść do biblioteki.

Artemis westchnął, okazując ostentacyjną cierpliwość.

–Nie jest pani uzdrawiaczka. Jest pani chochlikiem, *p-shog*, wróżką, *ka-dalun*, w każdym języku, jaki się pani spodoba. A ja chcę mieć Księżę.

Istota milczała przez dłuższą chwilę, po czym odrzuciła chustę z czoła. W zielonej poświacie noktowizora jej twarz zajaśniała niesamowicie, niczym zapustna maska. Ponad długim, haczykowatym nosem rozbłysły wąskie szparki złocistych oczu, spiczaste uszy i zniszczona przez alkohol skóra, miękka i obwisła.

–Skoro wiesz o Księdze, człowieku – rzekła z wolna, odurzona wypitą whisky – to znasz również magiczną siłę mojej pięści. Mogłabym cię zabić jednym pstryknięciem!

–Nie sądzę – Artemis wzruszył ramionami. – Spójrz na siebie. Jesteś pólżywa. Wino ryżowe stępiło ci zmysły. Zniżyć się do leczenia kurzajek, to żalosne! Przyszedłem, aby cię uratować. W zamian za Księżę.

–A po co człowiekowi nasza Księża?

–To już nie twoja sprawa. Masz dwie możliwości – to wszystko, co musisz wiedzieć.

Wróżka zastrzygła spiczastymi uszami. Możliwości?

–Po pierwsze, możesz odmówić wydania nam Księgi. Odejdziemy, a ty zgnijesz w rynsztoku.

–Tak – powiedziała istota. – Tę możliwość wybieram.

–Hola, nie tak prędko! Jeżeli wyjedziemy bez Księgi, nie przeżyjesz dzisiejszego dnia.

–Dnia? Dnia? – zaśmiała się uzdrawiaczka. – Przeżyję cię o sto lat. Nawet wróżki przykute do rasy ludzkiej żyją całe wieki.

–Ale nie po wypiciu pół litra wody święconej – odparł Artemis, pukając w opróżnioną butelkę whisky.

Wróżka zbladła, po czym wydała z siebie krzyk, wysoki, jękliwy i przerażający.

–Woda święcona! Zabiłeś mnie, człowieku!

–To prawda – przyznał Artemis. – Lada moment zaczniesz cię palić.

Istota delikatnie pomacała brzuch.

–A druga możliwość?

–A, już słuchamy, co? No, więc dobrze. Druga możliwość. Dasz mi Księgę tylko na pół godziny. Potem przywrócę ci magiczną moc.

Uzdrawiaczce opadła szczeka.

–Przywrócisz mi moc? To niemożliwe.

–Ależ tak. Mam w swoim posiadaniu dwie ampułki. Jedna zawiera wodę ze źródła wrózek, bijącego sześćdziesiąt metrów pod świętym kręgiem Tary – być może najbardziej magicznym miejscem na Ziemi. To odtrutka na wodę święconą.

–A druga?

–W drugiej jest odrobina ludzkiej magii. Wirus, który żywi się alkoholem, zmieszany z czynnikiem wzrostu. Wypłucze z twego ciała każdą kroplę ryżowego wina, zlikwiduje uzależnienie, a nawet podleczy chorą wątrobę. Początkowo poczujesz się paskudnie, ale już nazajutrz będziesz śmigać, jakbyś znów miała tysiąc lat.

Istota oblizwała wargi. Powrócić do Ludu? Nęcąca perspektywa.

–Ale dlaczego mam ci zaufać, człowieku? Już raz mnie oszukałeś.

–Słuszna uwaga. Umawiamy się tak. Wodę źródlaną dam ci na słowo. Potem, kiedy rzucę okiem na Księżę, dostaniesz lekarstwo. Tak czy nie?

Wróżka zastanowiła się. Czuła już ból krążący po brzuchu. Wyciągnęła dłoń.

–Zgoda.

–Tak myślałem. Butler?

Ogromny sługa otworzył zawiniątko z miękkiej skóry, zawierające strzykawkę i dwie ampułki. Nabrał z jednej przezrzystego płynu i wstrzyknął go w lepkie od potu ramię wróżki. Ta zeszytniała na chwilę, po czym rozluźniła się.

–Mocne czary – odetchnęła głęboko.

–Owszem. Ale nie tak mocne, jak staną się twoje, kiedy dostaniesz drugi zastrzyk. A teraz Księża.

Wróżka sięgnęła pod fałdy brudnej szaty i długo grzebała. Artemis wstrzymał oddech. To już. Niebawem rodzina Fowlów odzyska dawną wielkość. Powstanie nowe imperium, a przewodzić mu będzie Artemis Fowl Drugi.

Uzdrowiaczka wyciągnęła ku niemu zaciśniętą pięść.

–I tak ci się nie przyda. Napisana jest w starej mowie.

Artemis, który nie śmiał wymówić słowa, skinął tylko głową.

Rozwarła sękaty palec. Na jej dłoni leżał złocisty tomik wielkości pudełka od zapalek.

–Masz, człowieku. Pół twojej godziny. Ani chwili dłużej.

Butler z czcią wziął w palce maleńki wolumin. Uruchomił niewielką cyfrową kamerę i jął fotografować cienkie jak opłatek stronicę Księgi. Po kilkunastu minutach zawartość tomu była już zapisana w pamięci kamery. Jednak Artemis wolał nie ryzykować, kiedy chodziło o informacje. Wiedział, że urządzenia kontrolne na lotniskach zniszczyły już zawartość niejednego ważnego dysku. Na jego polecenie służący skopiował plik do telefonu komórkowego i przesłał go pocztą elektroniczną do dworu Fowlów pod Dublinem. Nim upłynęło pół godziny, każdy znak Księgi Wrózek znalazł się bezpiecznie w rodzinnym komputerze.

Artemis zwrócił maleńki tomik właścicielce.

–Przyjemnie robić z tobą interesy. Wróżka z trudem uklęka.

–A drugi eliksir, człowieku?

–A tak, mieszanka odtruwająca – uśmiechnął się Artemis. – Rzeczywiście, chyba ci obiecałem.

–Tak. Człowiek obiecał.

–A więc dobrze. Ale zanim ją podamy, muszę cię uprzedzić, że odtrucie nie jest przyjemne. Nie spodoba ci się ani trochę.

Wróżka gestem wskazała odrażający śmietnik wokół siebie.

–A myślisz, że to mi się podoba? Chcę znowu latać.

Butler otworzył drugą ampułkę i wstrzyknął jej zawartość wprost do tętnicy szyjnej uzdrawiaczki.

Natychmiast upadła na matę, dygocąc na całym ciele.

–Pora iść – rzekł Artemis. – Stuletnie złogi alkoholu opuszczające ciało wszystkimi otworami to niepiękny widok.

Butlerowie od wieków służyli Fowlom. Zawsze tak było. Kilku znanych językoznawców twierdziło wręcz, że od tego nazwiska pochodzi rzeczownik pospolity butler – kamerdyner. Pierwsza wzmianka o wzajemnych stosunkach obu rodzin datuje się z 1095 roku, kiedy to Wergiliusz Butler został najęty jako sługa, pacholek i kucharz przez wielkiego Hugona de Fole podczas najazdu Normanów na Anglię.

Kiedy dzieci Butlerów osiągały wiek lat dziesięciu, wysyłano je do prywatnego centrum szkoleniowego w Izraelu, gdzie nabywały najnowszych umiejętności, niezbędnych na służbie u aktualnego potomka rodu Fowlów. Uczyły się gotować na światowym poziomie oraz stosować specjalnie dobrane sztuki walki, zaawansowane metody pierwszej pomocy oraz techniki informacyjne. Jeżeli pod koniec szkolenia okazywało się, że akurat nie istnieje żaden Fowl, którego trzeba byłoby ochraniać, Butlerów z ochotą zatrudniały rozmaite koronowane głowy, zazwyczaj z Monako lub Arabii Saudyjskiej.

Kiedy jednak któryś z Butlerów zaczynał służyć któremuś z Fowlów, pozostawali związani na całe życie. Praca ochroniarza wymagała wielu poświęceń i skazywała na samotność, ale wynagrodzenie za nią było iście królewskie – jeśli oczywiście służącemu udało się przeżyć, aby cieszyć się majątkiem. W przeciwnym wypadku jego rodzina otrzymywała jednorazową sześciocyfrową rekompensatę oraz comiesięczną rentę.

Obecny Butler strzegł młodego Artemisa od chwili jego narodzin, czyli od dwunastu lat. I chociaż obydwaj przestrzegali odwiecznych form i rytuałów, byli dla siebie nawzajem czymś więcej niż panem i sługą. Butler znalazł w Artemisie jedyną osobę, którą mógł uważać za przyjaciela, a jednocześnie, pomimo iż musiał słuchać rozkazów, sam odgrywał wobec chłopca jakby rolę ojca.

Butler milczał aż do chwili, gdy znaleźli się na pokładzie rejsowego samolotu lecącego z Bangkoku na londyńskie lotnisko Heathrow. Jednak w końcu nie wytrzymał.

–Artemisie?

Artemis z trudem oderwał wzrok od ekranu laptopa PowerBook. Chciał jak najprędzej zacząć przekład Księgi.

–Tak?

–Chodzi o tę wróżkę. Czemu po prostu nie zabraliśmy jej Księgi? Niechby sobie potem umarła.

–Zwłoki to pewien ślad. A tak Lud nie będzie miał powodu do podejrzeń.

–A wróżka nic nie powie?

–Nie sądzę, by przyznała się do tego, że pokazała Księgę ludziom. Ale na wszelki wypadek domieszałem do drugiego zastrzyku środek zakłócający działanie pamięci. Kiedy się wreszcie ocknie, będzie wspominać ostatni tydzień jako bezładny zlepek zdarzeń.

Butler kiwnął głową z uznaniem. Zawsze o dwa kroki do przodu, taki jest panicz Artemis! Ludzie mówili, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, ale mylili się. Panicz Artemis wyrastał na całkiem nowy rodzaj jabłoni, jakiego jeszcze świat nie widział.

Uspokojony powrócił do lektury najnowszego numeru „Guns and Ammo”, swemu młodemu pracodawcy pozostawiając rozwikływanie tajemnic wszechświata.

ROZDZIAŁ DRUGI

PRZEKŁAD

W tej chwili zapewne już odgadliście, jak daleko gotów był posunąć się Artemis Fowl, aby osiągnąć cel. Ale cóż to właściwie był za cel? Jakiż to niesłychany zamysł kazał Artemisowi szantażować wiedźmę alkoholicką? Odpowiedź brzmi – złoto.

Nasz bohater rozpoczął poszukiwania przed dwoma lary, gdy po raz pierwszy zyskał dostęp do Internetu. Jego uwagę szybko przyciągnęły witryny, poświęcone wiedzy tajemnej – porwaniom przez kosmitów, obserwacjom UFO oraz siłom nadprzyrodzonym, ale przede wszystkim istnieniu Małego Ludu.

Przesiewając gigabajty danych z każdego prawie kraju na świecie, Artemis znalazł wśród nich setki odwołań do wrózek i chochlików. Każda cywilizacja miała własne określenie Ludu, lecz wszystkie bez najmniejszej wątpliwości dotyczyły tego samego, podziemnego klanu. Ponadto, w kilku relacjach Artemis napotkał wzmianki o Księżce, jaką nosił przy sobie każdy duszek. Pełniła ona funkcję swoistej biblii, zawierając całą historię tajemnej rasy oraz przykazania, rządzące długim życiem jej członków. Oczywiście, napisana była po gnomicku, w języku wrózek, toteż nie mógł z niej skorzystać żaden człowiek.

Lecz Artemis wierzył, że współczesna technologia umożliwi przetłumaczenie Księgi, ten zaś, kto posiadałby ów przekład, mógłby eksploatować zupełnie nową grupę istot.

Poznaj swego wroga, brzmiało motto Artemisa, który odtąd zgłębiał wszelką dostępną wiedzę o Małym Ludzie, aż stworzył na jego temat ogromną bazę danych. Ale to nie wystarczyło. A zatem Artemis umieścił w Internecie ogłoszenie:

Irlandzki przedsiębiorca zapłaci znaczną sumę dolarów USA za umożliwienie spotkania z wrózką, duszkiem, skrzatem lub chochlikiem.

Wśród licznych odpowiedzi, na ogół oszukańczych, znajdowała się prawdziwa informacja z Ho Szi Min.

Artemis zaliczał się do niewielu ludzi na ziemi, którzy umieli wykorzystać skarb, który właśnie zdobył. Nadal zachował dziecienną wiarę w czary, tylko nieznacznie zakłóconą przez całkiem dorosłą chęć użycia magicznych mocy dla zysku. Jeśli więc istniała osoba, zdolna odebrać wrózkom odrobinę czarodziejskiego złota, to był nią z pewnością Artemis Fowl Drugi.

Dopiero wczesnym rankiem dotarli do dworu Fowlów. Artemis nade wszystko

pragnął obejrzeć plik Księgi na swoim komputerze, jednak postanowił najpierw zajrzeć do mamy.

Od chwili zniknięcia męża Angelina Fowl pozostawała przykuta do łóżka. Napięcie nerwowe, mówili lekarze. Pomóc jej mógł tylko odpoczynek i proszki nasenne. Ale choroba trwała od ponad roku.

U podnóża schodów siedziała Julia, młodsza siostra Butlera, usiłując wywiercić wzrokiem dziurę w przeciwległej ścianie. Nawet połyskliwy tusz do rzes nie łagodził jej wściekłego spojrzenia. Ostatni raz Artemis widział u niej taką minę, kiedy zakładała nelsona natrętnemu dostarczycielowi pizzy. Dotychczas zawsze sądził, że nelson to chwyt, stosowany przez zapaśników. Doprawdy, dziwnymi rzeczami zajmowała się owa nastoletnia dziewczyna. No, ale bądź co bądź, należała do rodziny Butlerów.

–Jakieś kłopoty, Julio? Julia wstała pośpiesznie.

–To moja wina, paniczu Artemisie. Podobno zostawiłam szparę w zasłonach i pani Fowl nie mogła zasnąć.

–Hmm – mruknął Artemis, z wolna wstępując na marmurowe stopnie.

Martwił się stanem matki. Już od bardzo dawna nie oglądała światła dziennego, a jej skóra była bledsza niż jego własna. Z drugiej strony, gdyby cudownie ozdrowiała i któregoś dnia wyłoniła się rześka ze swej komnaty, oznaczałoby to koniec nadzwyczajnej wolności Artemisa. A wtedy – marsz do szkoły, drogi chłopcze, żadnych więcej podejrzanych przedsięwzięć!

Delikatnie zapukał do dwuskrzydłowych drzwi skrytych pod kamiennym łukiem.

–Mamo? Nie śpisz?

Coś rozbiło się z trzaskiem o drzwi od wewnątrz. Sądząc po dźwięku, coś kosztownego.

–Oczywiście, że nie śpię! Jakże mogłabym zasnąć w tym oślepiającym blasku!

Artemis zebrał się na odwagę i zajrzał do środka. W półmroku zamajaczyły wysokie kolumny zabytkowego łoża z baldachimem, na które przez szparę między zasłonami padał blady, wąski promyczek światła. Angelina Fowl siedziała skulona na pościeli, a jej białe ramiona połyskiwały w cieniu.

–Artemis, kochany! Gdzie byłeś?

Artemis westchnął. Rozpoznała go. To dobry znak.

–Na szkolnej wycieczce, mamó. Na nartach w Austrii.

–Ach, narty – zagruchała Angelina. – Jakże mi tego brakuje! Może... kiedy wróci ojciec...

Artemisowi ścisnęło się gardło, zjawisko bardzo dlań nietypowe.

–Tak. Może kiedy ojciec wróci.

–Kochanie, czy mógłbyś zaciągnąć te nieszczęsne zasłony? Światło jest nie do zniesienia.

–Oczywiście, mamó.

Artemis po omacku przeszedł przez pokój, starając się nie wpaść na stojące tu i ówdzie niskie kufry na ubrania. Wreszcie jego palce dotknęły aksamitu zasłon. Przez chwilę kusilo go, by rozsunać je całkowicie, ale tylko westchnął i zlikwidował szparę.

–Dziękuję, mój drogi. Doprawdy, musimy pozbyć się tej pokojówki. Do niczego się nie nadaje.

Artemis powstrzymał się od komentarza. Julia była pracowitą i lojalną domowniczką Fowlów od przeszło trzech lat. Pora, by w jej obronie wykorzystać roztargnienie matki.

–Masz rację, mamó. Już dawno zamierzałem to zrobić. Butler ma siostrę, która świetnie nadaje się na tę posadę. Chyba już o niej wspominałem, nazywa się Julia.

–Julia? – Angelina zmarszczyła brwi. – Tak, to imię brzmi znajomo. Zresztą każda będzie lepsza niż ta głupia dziewczucha, którą teraz mamy. Kiedy może zacząć?

–Natychmiast. Każę Butlerowi wezwać ją z domku dozorczy.

–Dobry z ciebie chłopiec, Artemisie. A teraz przytul mamusię.

Artemis wtulił się w ciemne fałdy szlafroka matki. Pachniała perfumami niczym rozsypane na wodzie płatki kwiatu. Ale jej ramiona były zimne i bezwolne.

–Och, kochanie – szepnęła, a dźwięk ten sprawił, że kark Artemisa okrył się gęsią skórką. – Słyszę w nocy różne rzeczy. Pełzają mi po nogach i wchodzą do uszu.

Artemis znów poczuł ucisk w krtani.

–Może odsłoniłibyśmy okno, mamó.

–Nie! – załkała matka, wypuszczając go z uścisku. – Nie, bo wtedy bym je

zobaczyła.

–Mamo, proszę.

Ale na nic się to nie zdało. Angelina odeszła. Wczołgała się w najdalszy kąt łóżka i podciągnęła kołdrę pod brodę.

–Przyślij tę nową dziewczynę.

–Tak, mamo.

–Niech przyniesie wodę i ogórek w plasterkach.

–Tak, mamo.

Angelina zerknęła nań chytrze.

–I przestań mówić do mnie „mamo”. Nie wiem, kim jesteś, ale na pewno nie moim małym Artusiem. Artemis przełknął kilka nieposłusznych łez.

–Oczywiście. Przepraszam, ma... Przepraszam.

–Hmm. I nie wracaj tutaj albo zajmie się tobą mój mąż. To bardzo ważny człowiek, wiesz?

–Dobrze, pani Fowl. Więcej mnie pani nie zobaczy.

–Mam nadzieję. Nagle Angelina zamarła.

–Słyszysz?

–Nie, nic nie słyszę – pokręcił głową Artemis.

–Idą po mnie. Są wszędzie.

Dała nura pod kołdrę. Schodząc po marmurowych schodach, Artemis nadal słyszał jej przerażone łkanie.

Księga okazała się znacznie bardziej zagadkowa, niż Artemis początkowo sądził. Wydawało się, że wręcz stawia opór. Bez względu na zastosowany program, wysiłki komputera wciąż kończyły się na niczym.

Artemis wydrukował wszystkie stronicę Księgi i porozwieszał je na ścianach swego pokoju – obejrzenie kopii na papierze czasem bywało pomocne. Znaki nie przypominały niczego, co chłopiec dotąd widział, a jednak wyglądały dziwnie znajomo. Linie pisma, które wyraźnie składało się z ideogramów i liter, wiły się na

kartkach, pozornie bez ładu i składu.

Program potrzebował jakiegoś układu odniesienia, klucza, wedle którego mógłby skonstruować przekład. A zatem Artemis zabrał się do pracy. Najpierw wyodrębnił litery i porównał każdą ze znakami alfabetu łacińskiego, chińskiego, greckiego, arabskiego, a także z cyrylicą i staro irlandzkim alfabetem ogham. Zły i sfrustrowany przepędził Julię, która przyniosła mu kanapki, po czym przeszedł do ideogramów. Najczęściej powtarzał się wśród nich symbol, przypominający maleńką postać męską. To znaczy, Artemis przypuszczał, że jest to postać mężczyzny, choć zważywszy jego ograniczoną znajomość anatomii wrózek, znak mógł równie dobrze przedstawiać istotę płci żeńskiej. Wtem uderzyła go pewna myśl. Otworzył plik ze starożytnymi językami w swoim power translatorze i wybrał staroegipski.

Nareszcie! Trafiony! Tajemniczy znak zdradzał niezwykle podobieństwo do wyobrażeń boga Anubisa, znajdujących się wśród hieroglifów odkrytych w wewnętrznym grobowcu Tutenchamona. To zgadzało się z innymi wnioskami Artemisa. Wszak pierwsze opowieści spisane przez człowieka dotyczyły właśnie wrózek, co wskazywałoby, że ich cywilizacja jest dawniejsza od ludzkiej. Być może więc Egipcjanie po prostu przystosowali istniejące pismo skrzatów do własnych potrzeb.

Między znakami Księgi a alfabetem egipskim istniały także inne podobieństwa, lecz były one tak nieznaczne, że prześlizgiwały się przez oczka komputerowej analizy. Musiał wykonać pracę ręcznie – powiększyć i wydrukować każdy gnomicki znak, po czym porównać go z hieroglifami.

Artemis czuł, jak wskutek podniecenia sukcesem serce wali mu o żebra. Prawie wszystkie ideogramy i litery języka wrózek miały odpowiedniki w alfabecie Egipcjan. Większość z nich oznaczała rzeczy powszednie, takie jak słońce lub ptaki. Jednak niektóre zdawały się dotyczyć spraw nadprzyrodzonych i trzeba było domyślać się ich znaczenia. Na przykład Anubis jako bóg z głową psa nie mógł występować w Księdze wrózek, Artemis uznał więc, że jego wizerunek musi oznaczać władcę tajemnego Ludu.

Przed północą Artemis wprowadził ostatnie wyniki do komputera. Teraz należało jedynie nacisnąć przycisk „dekoduj” – ale w rezultacie komputer wyprodukował jedynie długi, zawiły potok niedorzecznego bełkotu.

Normalne dziecko już dawno porzuciłoby pracę. Przeciętny dorosły zapewne trzasnąłby pięścią w klawiaturę. Ale nie Artemis. Księga poddawała go próbie, której musiał sprostać.

Znaki zinterpretował prawidłowo, był tego pewien. Po prostu czytał je w niewłaściwej kolejności. Przecierając zaspane oczy, ponownie wpatrzył się w wydruk.

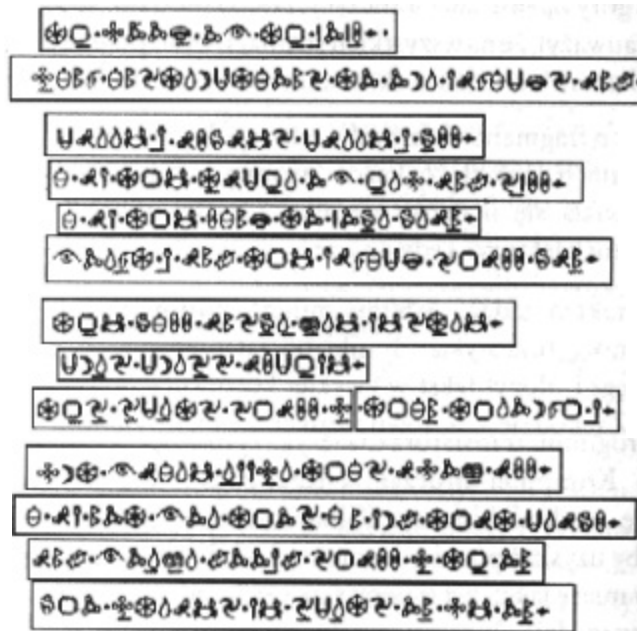
Każdą jego część otaczała gruba ramka. Części te mogły odpowiadać akapitom lub rozdziałom, ale nie dawały się czytać w zwykły sposób, od lewej do prawej i z góry do dołu.

A zatem Artemis zaczął eksperymentować. Spróbował czytać sposobem Arabów, od prawej do lewej, oraz z góry na dół, jak Chińczycy. Nic to nie dało. Wówczas zauważył, że na wszystkich stronach występuje wspólny element – sekcja środkowa, stanowiąca oś, wokół której ułożone były inne ideogramy. Być może był to punkt początkowy, ale w którą stronę należało czytać dalej? Artemis przejrzał wydruk jeszcze raz, szukając w zakreślonych fragmentach innych cech wspólnych. I po kilku minutach znalazł. Na każdej stronicy w jednej z sekcji pojawiała się małeńka strzałka. Czyżby wskazywała kierunek lektury? Tędy droga?

Teoretycznie powinien więc zacząć od środka i podążać w kierunku, wskazywanym przez strzałkę – czytać po spirali. Ba, lecz komputer nie został wymyślony do takich zadań. Artemis musiał improwizować. Za pomocą scyzoryka i linijki pociął pierwszą stronicę Księgi i ułożył tekst w zwykłej kolejności stosowanej na Zachodzie – w równoległych linijkach, czytanych od lewej do prawej. Następnie zeskanował tak przygotowaną stronicę i wprowadził ją do poprawionego programu tłumacza dla języka egipskiego.

Komputer mruczał i warczał, zamieniając informację na kod binarny. Kilkakrotnie się zatrzymywał, aby uzyskać potwierdzenie znaku lub symbolu, jednak w miarę jak uczył się nowego języka, zdarzało się to coraz rzadziej. Wreszcie na ekranie rozbłysły dwa słowa:

KONWERSJA ZAKOŃCZONA



Drżącymi ze zmęczenia i podniecenia palcami Artemis wystukał polecenie „drukuj”. Z laserowej drukarki wysunęła się pojedyncza kartka. Po angielsku! Owszem, tekst zawierał błędy, trzeba było jeszcze nad nim popracować, ale był czytelny, a co ważniejsze, całkowicie zrozumiały!

W pełni świadom, że jest zapewne pierwszym człowiekiem od kilku tysięcy lat, któremu udało się rozszyfrować magiczne słowa, Artemis zapalił lampę na biurku i zaczął czytać.

Księga Ludu,

czyli nauka czarodziejskich mocy i zasad życiowych

Studiuj mnie pilnie, strzeż na każdym kroku,

Bom ja twe źródło zaklęć i uroków,

Noś mnie ze sobą o każdej godzinie,

Beze mnie bowiem moc twoja przeminie.

Dziesięćkroć dziesięć reguł znajdziesz we mnie,

Ziół i alchemii prawidła tajemne,

Zagadkę życia przekażesz swym wnukom,

Świat pojdziesz łącno dzięki moim naukom.

Ale tej świętej przestrzegaj zasady,

Że nie dla Błotnych Ludzi me porady,

A kto je onym zdradziecko wyjawia

Tego od klątwy żaden czar nie zbawi.

Artemis poczuł, jak krew tętni mu w uszach. Miał ich! Staną się jak mrówki pod jego stopami. Technologia obnaży każdy ich sekret. Nagle poczuł ogromne wyczerpanie i zapadł się w fotelu. Tyle jeszcze zostało do zrobienia! Na początek musiał przełożyć pozostałe czterdzieści trzy strony.

Nacisnął guzik, włączający głośniki w całym domu.

–Butler, znajdź Julię i przyjdźcie tutaj oboje. Musicie rozwiązać pewną układankę.

W tym miejscu przyda się, być może, krótka historia Fowlów.

Ów przestępczy ród był zgoła legendarny. Jego członkowie przez wieki opowiadali się przeciwko prawu i porządkowi, aż wreszcie zgromadzili dość środków, aby zalegalizować swą działalność. Oczywiście, kiedy zaczęli działać zgodnie z prawem, wcale im się to nie spodobało i natychmiast wrócili na drogę zbrodni.

Wszelako Artemis Pierwszy, ojciec naszego bohatera, naraził rodzinną fortunę na znaczny uszczerbek. Po upadku komunizmu Artemis senior postanowił zainwestować lwią część majątku Fowlów w morski transport towarów do Rosji. W tym ogromnym kraju – rozumował – mieszkają nowi konsumenci, którzy potrzebować będą nowych dóbr konsumpcyjnych. Ale mafia rosyjska nieprzychylnie potraktowała wdzierającego się na jej rynek człowieka z Zachodu i postanowiła dać mu małą nauczkę. Nauczka, w postaci pocisku sidewinder, spadła jak grom z jasnego nieba na transportowiec „Gwiazda Fowlów”, płynący właśnie na wysokości Murmańska. Na pokładzie statku, oprócz Artemisa seniora, znajdował się stryj Butlera oraz dwieście pięćdziesiąt tysięcy puszek kuli. Podobno eksplozja była imponująca.

Fowlowie nie zostali bez grosza, nic podobnego. Ale nie zaliczali się już do miliarderów i Artemis Drugi poprzysiągł naprawić ten stan rzeczy. Zamierzał przywrócić świetność rodzinie. I zamierzał tego dokonać na swój niepowtarzalny sposób.

Kiedy przekład Księgi został wreszcie ukończony, Artemis mógł na serio rozpocząć planowanie. Już przedtem dobrze wiedział, do czego dąży, teraz zaczął myśleć, jak osiągnąć to, co zamierzył.

Oczywiście, ostateczny jego cel stanowiło złoto. Zdobyć złota. Mały Lud upodobał

sobie ten metal prawie tak samo jak ludzie. Każda wróżka, każdy chochlik i skrzat miały swój zapasik – choć gdyby to zależało od Artemisa, nie cieszyłyby się nim długo. Gdyby mu się powiodło, na pewno niejeden członek czarodziejskiego plemienia zostałby z pustymi rękami.

Przespawszy osiemnaście godzin, Artemis spożył lekkie śniadanie i udał się na piętro do gabinetu, który odziedziczył po ojcu. Był to pokój urządzonej dość tradycyjnie – ciemny dąb i półki na książki sięgające po sam sufit – lecz Artemis wypełnił go najnowszymi produktami technologii komputerowej. Gdzie tylko spojrzeć, szumiały połączone w sieć komputery Apple. Jeden z nich wyświetlał zawartość internetowej witryny CNN na cyfrowy telebim, ukazujący nadnaturalnie wielki obraz na ścianie naprzeciw drzwi.

Butler był już na miejscu i kończył uruchamiać twarde dyski.

–Zamknij wszystkie programy oprócz Księgi. Do tej pracy potrzebuję ciszy.

Służący drgnął. Witryna CNN wyświetlała się od ponad roku. Artemis żywił niezbitą przekonanie, że z tej właśnie stacji nadejdzie wiadomość, iż jego ojciec został odnaleziony. Wyłączenie jej oznaczało, że utracił wszelką nadzieję.

–Wszystkie?

Artemis zerknął na monitory.

–Tak – powiedział w końcu. – Wszystkie.

Zanim Butler oddalił się do swych obowiązków, pozwolił sobie raz lekko pogłaskać pracodawcę po ramieniu. Po jego wyjściu Artemis kilkakrotnie rozprostował i zgiął palce. Pora zająć się tym, co robił najlepiej – knuciem zbrodniczych spisków.

ROZDZIAŁ TRZECI

HOLLYTY

Holly Nieduża leżała na łóżku, tłumiąc atak cichej złości. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż Mały Lud na ogół nie odznacza się dobroduszością. Jednak nastrój Holly był wyjątkowo podły, nawet jak na wróżkę. Właściwie zaliczała się do elfów – wróżka to jedynie określenie ogólne. A poza tym należała do SKRZATÓW, gdyż takie miała zajęcie.

Być może krótki opis powie nam więcej niż wykład o genealogii wróżek. Otóż Holly Nieduża była elfem. Miała orzechową skórę, kasztanowe oczy, krótko ostrzyżone ciemnorude włosy oraz prawie rzymski, lekko zakrzywiony nos i pełne usta cherubina – nader stosowne, zważywszy, że jej pradziadkiem był sam Kupidyn. Matka Holly pochodziła z Europy i odznaczała się wiotką figurą i ognistym temperamentem. Holly odziedziczyła po niej delikatną budowę i smukłe palce, które doskonale władały elektryczną pałką policyjną. Ma się rozumieć, uszy Holly były spiczaste. Liczyła sobie równo metr wzrostu, co oznaczało, że do elfiej średniej zabrakło jej zaledwie centymetra, jednak nawet centymetr to duża różnica, kiedy nie ma się tych centymetrów zbyt wiele.

Obecną przyczyną rozżalenia Holly był komendant Bulwa. Od pierwszego dnia służby patrzył jej na ręce. Czuł się osobiście dotknięty faktem, iż pierwsza kobieta w historii SKRZAT została przydzielona właśnie do jego oddziału. Skierowanie do SKRZAT uważano za niezwykle niebezpieczne, zdarzało się tu najwięcej ofiar śmiertelnych i Bulwa uważał, że nie ma w tej sekcji miejsca dla dziewczynek. No cóż, musiał się przywyzczać, albowiem Holly nie zamierzała rezygnować – ani z jego powodu, ani z żadnego innego.

Chociaż Holly nigdy nie przyznałaby się do tego, drugą przyczynę jej rozdrażnienia stanowił Rytuał. Już od kilku miesięcy miała zamiar go spełnić, ale jakoś nigdy nie wystarczało jej czasu. Gdyby Bulwa odkrył, jak niski jest poziom jej czarodziejskiej mocy, z pewnością wylądowałaby w drogówce.

Holly sturlała się z posłania i po omacku dobrnęła do łazienki. Woda była gorąca jak zawsze, co należało do zalet mieszkania w pobliżu jądra ziemi. Oczywiście, brakowało tu światła dziennego, ale była to niewielka cena za intymność. Podziemie. Ostatnia strefa wciąż wolna od ludzi. Holly najbardziej lubiła wrócić do domu po pracy, wyłączyć tarczę ochronną i zanurzyć się w bulgocącej błotnej sadzawce. Rozkosz!

Zaciągnęła pod szyję suwak matowego, zielonego kombinezonu i zapięła kask. Nowe mundury SKRZAT były bardzo sztywne, całkiem niepodobne do archaicznych

kostiumów, jakie służby policyjne musiały nosić w przeszłości. Pludry i trzewiki ze sprzączkami! Jak babcię Kocham! Nic dziwnego, że w folklorze ludzkim postacie skrzatów przedstawiano tak groteskowo. Swoją drogą, może to i lepiej, że nie rzucały się w oczy -gdyby Błotni Ludzie wiedzieli, że słowo „skrzat” to naprawdę SKRZAT – Specjalny Korpus Rozpoznawczy do Zadań Tajemnych, elitarna jednostka SKR, Sił Krasnoludzkiego Reagowania – na pewno podjęliby kroki, żeby go zlikwidować. Niechaj rasa ludzka zachowa swoje stereotypy.

Tam na górze wschodził już księżyc, więc Holly nie miała czasu, aby zjeść porządne śniadanie. Chwyliła z lodówki resztkę przecieru z pokrzyw i wypła go, biegnąc tunelem. Jak zwykle na głównej arterii panował chaos. Uskrzydłone chochliki blokowały ruch niczym kamyki w szyjce butelki. Sytuację pogarszały gnomy, których wielkie, rozkołysane zadki zajmowały po dwa pasy ruchu. W każdej kałuży kłębiły się oślizgłe ropuchy, klnące jak marynarze. Ten konkretny gatunek, który zapoczątkował swe istnienie wskutek dowcipu, rozmnożył się ostatnio do rozmiarów plagi. Ktoś stracił przez to różdżkę, to pewne.

Holly przedarła się przez tłum do posterunku. Pod Salonem Kartoflanym trwało już zamieszanie, które bezskutecznie usiłował uśmierzyć kapral Kijanka. Powodzenia, pomyślała Holly. Co za koszmar! Ona przynajmniej pracowała na powierzchni.

W drzwiach posterunku SKR tłoczyli się protestujący. Wojna gangów między krasnoludami i goblinami wybuchała na nowo i każdego ranka hordy rozwścieczonych rodziców domagały się zwolnienia swych niewinnych latorośli. Holly parsknęła; w życiu nie spotkała niewinnego goblina. Zajmowały już wszystkie cele, gdzie ryczały plemienne pieśni i rzucały w siebie kulami ognia.

Łokciami utorowała sobie drogę wśród ciżby interesantów.

–Przechodzę! – warknęła. – Sprawy służbowe! Rzucili się na nią, jak muchy na padlinę.

–Mój Grumpo nic nie zrobił!

–Brutalność policji!

–Pani władzo, niech pani przekaże ten kocyk mojemu chłopczykowi! Nie może bez niego spać!

Holly ustawiła swą przyłbicę, zazwyczaj przeźroczystą, na lustrzane odbicie, ignorując od tej pory wszystkie prośby. Kiedyś jej mundur wzbudzałby szacunek, ale nie teraz. Teraz stała się celem. „Przepraszam, pani władzo, gdzieś mi zginął słoik brodawek”. „Młoda damo, mój kot wlaź na stalaktyt i nie chce zejść”. „Chwileczkę, pani kapitan, jak trafić do źródła młodości?” Holly wzdrygnęła się. Turyści! I bez nich miała dość kłopotów. Więcej niż sądziła, jak miało się okazać za chwilę.

Krasnal kleptomaniak, stojący w kolejce do spisania przed okienkiem oficera dyżurnego, z zapalem obrabial kieszenie sasniadów, w tym rowniez mundur funkcjonariusza, do ktorego byl przykuty. Holly przylozyla mu w tytek elektryczna palka, osmalajac siedzenie jego skorzanych portek.

–Co robicie, Mierzwa?

Mierzwa az podskoczył, upuszczajac na podloge lup ukryty w rekawach.

–Kapitan Nieduzza – jeknal z zafrasowana mina. – Nie umiem sie powstrzymac. Takajuz mam nature.

–Wiem o tym, Mierzwa. A my mamy takaj nature, ze zaraz was wsadzimy na kilka stuleci. – Pusciła oko do funkcjonariusza, ktory zatrzymal krasnala. – Mito widziec, ze jesteście czujni.

Czerwony ze wstydu elf podniosl z podlogi portfel oraz odznake.

Holly z trudem przepychala sie obok pokoju Bulwy, majac nadzieje, ze uda sie jej dotrec do biurka, zanim...

–NIEDUZA! CHODZCIE NO TUTAJ!

Holly westchnela. No coz. Zaczelo sie.

Wsadziwszy kask pod pachę, przygladzila mundur i weszla do pokoju komendanta.

Powitala ja sina ze zlosci twarz wscieklego jak zwykle Bulwy. Byl to dlań stan normalny, dzieki ktoremu zyskal przyzwisko „Burak”. Na posterunku przyjmowano zaklady, ile jeszcze czasu wytrzyma jego serce, zanim kompletnie wysiadzie. Co sprytniejsi funkcjonariusze obstawiali co najwyzej pol wieku.

–No? – wrzasnal komendant. – Ktora to godzina, waszym zdaniem?

Holly poczula, ze jej rowniez krew naplywa do twarzy. Spoznila sie o niecala minute. Wielu funkcjonariuszy na tej zmianie nawet nie zdazylo sie jeszcze zameldowac. Ale Bulwa zawsze mial jej cos za zle.

–Glowna aleja – wymamrotala slabym glosem. – Cztery pasy zablokowane...

–Nie obrazajcie mnie swoimi wykretami! – ryknal komendant. – Wiecie, co sie dzieje w centrum! Trzeba wczesniej wstawac!

To prawda. Wiedziala, co sie codziennie dzieje w Oazie. Byla oazianka z krwi i kości, urodzila sie i wychowala w tym miescie. Od chwili, gdy ludzie rozpozceli doswiadczalne wiercenia w poszukiwaniu minerałów, coraz wiecej elfow i wrozek

opuszczało płytko położone forty i szukało bezpiecznej przystani w głęboko położonym Oaza City. Przeludniona metropolia cierpiała na niedostatek usług komunalnych. A teraz w dodatku silna grupa nacisku nalegała na wpuszczenie samochodów do centrum, dotychczas przeznaczonego tylko dla pieszych. Jakby nie dość było smrodu tych wszystkich wiejskich gnomów, włączających się po mieście!

Bulwa miał rację. Powinna wstawać trochę wcześniej. Ale nie chciała. Chyba że wszyscy pozostali też by musieli tak robić.

–Wiem, co myślicie – powiedział Bulwa. – Czemu codziennie się was czepiam? Czemu nie wrzeszczę na innych obiboków?

Holly milczała, lecz cała jej postać wyrażała potwierdzenie.

–Chcecie, żebym wam powiedział?

Holly odważyła się skinąć głową.

–To dlatego, że jesteście dziewczyną. Holly poczuła, że jej dłonie zaciskają się w pięści. Wiedziała, że tak będzie!

–Ale nie z takich powodów, jak myślicie – ciągnął Bulwa. – Jesteście pierwszą kobietą w grupie SKRZAT. Nigdy przedtem nie mieliśmy tu kobiety. To sprawdzian, próba. Jesteście na widelcu. Miliony wrózek obserwują wasz każdy ruch. Wiążemy z wami wiele nadziei, ale są także uprzedzenia. W waszych rękach spoczywa przyszłość organów ścigania. A w tej chwili powiedziałbym, że to brzemień trochę przekracza wasze siły.

Holly zdumiała się. Bulwa nigdy dotąd nie mówił nic podobnego. Zazwyczaj słyszała tylko: zapiąć kask, wciągnąć brzuch, ble, ble, ble.

–Musicie się starać, Nieduża, i to bardziej niż inni.

–Bulwa westchnął i rozsiadł się wygodniej w obrotowym fotelu. – Naprawdę, nie wiem, co z wami zrobić

–dodał. – Zwłaszcza po tej aferze w Hamburgu.

Holly aż się skręciła. Hamburg był całkowitą katastrofą. Ścigany przez nią przestępca uciekł na powierzchnię i próbował uzyskać azyl u Błotnych Ludzi. Bulwa musiał zatrzymać czas, wezwać grupę Odzysku i dokonać czterokrotnego wymazania pamięci. Mnóstwo zmarnowanego czasu oraz środków policyjnych. I to z jej winy.

Komendant wziął z biurka formularz.

–Nic z tego nie będzie. Podjąłem decyzję. Przenoszę was do drogówki, a na wasze miejsce przyjdzie kapral Rzęska.

–Rzęska? – wybuchnęła Holly. – Ta lalunia, co ma pusto w głowie? I to ma być ten sprawdzian, kobieta przyjęta na próbę? Nie może pan tego zrobić!

Twarz Bulwy sfioletowała jeszcze bardziej.

–Mogę i zrobię. A dlaczego niby nie? Wcale się nie staracie! A nawet kiedy się staracie, to nie dajecie sobie rady, prawda, Nieduża? Przykro mi, ale nie sprawdziliście się.

Komendant pochylił się nad papierami, co oznaczało koniec rozmowy. Wstrząśnięta Holly stała jak wryta. Najlepsza szansa zawodowa w życiu, a ona ją zmarnowała! Jeden błąd i wszystko przepadło! To niesprawiedliwe! Holly poczuła, że ogarnia ją niezwykle gniew, ale spróbowała go opanować. Teraz nie mogła sobie pozwolić na awanturę.

–Panie komendancie, sir. Chyba zasługuję na jeszcze jedną szansę.

–A skąd to mniemanie? – Bulwa nawet nie podniósł głowy znad papierów.

Holly wzięła głęboki oddech.

–Z powodu moich osiągnięć, sir. Mówią same za siebie, z wyjątkiem tej sprawy w Hamburgu. Dziesięć udanych zadań tajemnych. Ani jednego zatrzymania czasu lub zatarcia pamięci, nie licząc...

–Sprawy w Hamburgu – dokończył za nią Bulwa. Holly postanowiła zaryzykować.

–Gdybym była mężczyzną, jednym z pańskich drogocennych chochlików, w ogóle nie byłoby tej rozmowy.

Bulwa spojrzał na nią ostro.

–Zaraz, zaraz, Nieduża...

Przerwał mu ostry pisk jednego ze stojących na biurku telefonów, potem drugiego i trzeciego. Na ścianie za jego plecami ożył ogromny ekran.

Bulwa nacisnął przycisk głośnika, rozpoczynając telekonferencję.

–Tak?

–Mamy zbiega. Bulwa kiwnął głową.

–Jest coś na teleskopach?

Teleskopami w żargonie SKR nazywano ukryte urządzenia śledzące, potajemnie zamontowane na amerykańskich satelitach komunikacyjnych.

–Owszem – powiedział drugi dzwoniący. – Wielki rozbłysk w Europie. Na południu Włoch. Nie ma tarczy.

Bulwa zaklął. Elf bez tarczy był widoczny dla oczu śmiertelników. Pół biedy, gdy należał do humanoidów...

–Klasyfikacja?

–Zła wiadomość, komendancie – powiedział trzeci rozmówca. – To dziki troll samotnik.

Bulwa przetarł oczy. Dlaczego takie rzeczy zawsze zdarzały się na jego dyżurze?

Holly doskonale rozumiała rozgoryczenie dowódcy. Trolle były najwredniejszymi z podziemnych istot.

Włóczyły się po labiryncie głębokich tuneli, polując na wszystko, co miało pecha wejść im w drogę, W ich maleńkich mózdkach nie mieściły się żadne zasady ani ograniczenia. Czasem, zabląkane, wpadały do szybu windy ciśnieniowej. Zwykle spalały się w gorącym strumieniu sprężonego powietrza, ale te, którym udawało się przeżyć, wydostawały się na powierzchnię. Oszalałe z bólu, wpadające we wściekłość od najmniejszego promyka światła, zazwyczaj parły na oślep przed siebie, niszcząc wszystko, co napotkały.

Bulwa gwałtownie pokręcił głową, biorąc się w garść.

–No, dobrze, kapitan Nieduża. Wygląda na to, że macie okazję się wykazać. Jesteście rozgrzani?

–Tak jest, sir – skłamała Holly, doskonale świadoma faktu, że gdyby Bulwa wiedział, iż zaniedbała Rytuał, natychmiast by ją zawiesił.

–Świetnie. Pobierzcie broń z magazynu i udajcie się na miejsce akcji.

Holly zerknęła na ekran. Ukazywał on wysokiej rozdzielczości zbliżenie ufortyfikowanego włoskiego miasteczka. W kierunku ludzkiego skupiska przez otaczające pola posuwał się szybko maleńki czerwony punkcik.

–Zróbcie porządne rozpoznanie i zameldujcie. Nie próbujcie samodzielnego odzysku. Czy to jasne?

–Tak jest.

–W zeszłym kwartale wskutek ataku trolla straciliśmy sześciu funkcjonariuszy. Sześciu! I to pod ziemią, na znanym terenie.

–Rozumiem, sir.

Bulwa z powątpiewaniem odął usta.

–Naprawdę rozumiecie, Nieduża?

–Chyba tak, sir.

–Widzieliście kiedy, co troll potrafi zrobić z ciałem i kośćmi?

–Nie, sir. Nie z bliska.

–To lepiej, żebyście się nie dowiedzieli.

–Tak jest, sir.

Bulwa łypnął na nią ponuro.

–Nie wiem, jak to się dzieje, Nieduża, ale kiedy się ze mną zgadzacie, zaczynam się niepokoić.

Słusznie się denerwował. Gdyby wiedział, jak zakończy się owo proste rozpoznanie, zapewne od razu udałby się na emeryturę. Dzisiejsza noc miała przejść do historii. Nie do historii zdarzeń szczęśliwych, takich, jak odkrycie radu albo wylądowanie pierwszych ludzi na Księżycu. Wydarzenia tej nocy zaliczały się do historii złej i przypominały raczej hiszpańską inkwizycję lub przybycie sterowca „Hindenburg”. Była to noc niedobra dla wrózek i ludzi. Niedobra dla wszystkich.

Holly udała się prosto do wyrzutni. Jej usta, zazwyczaj ruchliwe, przybrały kształt zawziętej, zdecydowanej kreski. Oto miała przed sobą jedną, jedyną szansę. Nie zamierzała pozwolić, by cokolwiek zakłóciło jej koncentrację.

Kolejka wczasowiczów, czekających z nadzieją na wizę, jak zwykle ciągnęła się aż do rogu placu Szybowego, ale Holly tylko machnęła odznaką i przedarta się do przodu. Jednak jakiś uparty gnom nie chciał ustąpić jej z drogi.

–Dlaczego wam ze SKRZAT wolno wjeżdżać na górę? Coście tacy specjalni?

Holly głęboko odetchnęła przez nos. Uprzejmość w każdej sytuacji.

–Sprawy służbowe, proszę pana. A teraz przepraszam.

Gnom podrapał się po masywnym zadku.

–Słyszałem, że w policji wciąż wymyślacie sprawy służbowe, żeby popatrzeć sobie na księżyc. Tak mówią.

Holly spróbowała uśmiechnąć się z rozbawieniem, ale jej twarz wykrzywił grymas, jakby zjadła cytrynę.

–Kto mówi takie rzeczy, jest idiotą... sir. SKRZAT udaje się na powierzchnię ziemi tylko w razie bezwzględnej konieczności.

Gnom zachmurzył się. Najwyraźniej sam wymyślił tę pogłoskę, co więcej podejrzewał, że właśnie został nazwany idiotą. Ale zanim poukładał sobie to wszystko w głowie, Holly już wbiegła przez podwójne drzwi.

W wydziale operacyjnym czekał na nią Ogierek. Był to faun cierpiący na manię prześladowczą, przekonany o tym, iż ludzkie agencje wywiadowcze nieustannie monitorują jego siatkę transportową i śledczą. Aby uniemożliwić im czytanie w swoich myślach, zawsze nosił czapkę z folii aluminiowej, która trzymała mu się na głowie dzięki malutkim, zakrzywionym rogom.

Pokonawszy pneumatyczne, podwójne drzwi, Holly napotkała jego baczne spojrzenie.

–Ktoś widział, jak tu wchodzisz? Holly zastanowiła się przez chwilę.

–FBI, CIA, NSA, DEA i MI6. Aha, i jeszcze WWB.

–WWB? – zmarszczył brew Ogierek.

–Wszyscy w budynku.

Ogierek podniósł się z obrotowego fotela i zbliżył do niej, stukając kopytkami.

–Aleś ty dowcipna, Nieduża. Można pęknąć ze śmiechu. A już myślałem, że ta sprawa w Hamburgu przytarła ci trochę nosa. Na twoim miejscu skupiłbym się na robocie.

Holly ochłonęła. Miał rację.

–Dobra, Ogierek. Mów, co wiesz. Faun wskazał duży ekran plazmowy, ukazujący transmitowany przez Eurosat obraz na żywo.

–Ta czerwona kropka to troll. Zmierza w kierunku Martina Franca, warownego miasta w pobliżu Brindisi. O ile się orientujemy, wpadł do szybu E7, który chłodził się po wybuchu lawy. Inaczej nasz gość byłby już chrupiący niczym frytka.

Holly skrzywiła się. Uroczo, nie ma co.

–Mieliśmy szczęście, że zbieg po drodze trafił na pożywienie. Przez kilka godzin przeżuwał dwie krowy, więc zyskaliśmy trochę na czasie.

–Dwie krowy?! – zawołała Holly. – Jak on właściwie wygląda?

Ogierek poprawił foliową czapeczkę.

–Dorosły troll, samiec. Wyrośnięty, sto osiemdziesiąt kilo, kły jak u odyńca. Naprawdę wściekłego odyńca.

Holly przełknęła ślinę. Nagle Zadania Tajemne wydały się jej znacznie przyjemniejszym zajęciem niż Odzysk.

–Dobra. To co masz dla mnie?

Ogierek podjechał na fotelu w stronę stołu ze sprzętem i wziął coś, co wyglądało jak prostokątny zegarek na rękę.

–Radiolokator. Ty znajdziesz jego, my znajdziemy ciebie. Rutyna.

–Wideo?

Faun umieścił mały walec w specjalnym nacięciu na kasku Holly.

–Przekaz na żywo. Bateria atomowa. Czas działania nieograniczony. Mikrofon uruchamiany dźwiękiem głosu.

–Świetnie – rzekła Holly. – Bulwa powiedział, że na tę akcję mogę zabrać broń. Na wszelki wypadek.

–Leży przed tobą – zaśmiał się Ogierek i wyciągnął ze sterty na stole platynowy pistolet ręczny. – Neutrino 2000. Najnowszy model. Nawet gangi tunelowe takich nie mają. Trzy ustawienia, proszę ciebie. Osmala, przypieka i pali na węgiel. Zasilanie atomowe, więc możesz pstrykać do woli. Ta ślicznotka przeżyje cię o tysiąc lat.

Holly wsunęła lekką broń w kaburę na ramieniu.

–No, chyba jestem gotowa.

–Wątpię – zachichotał Ogierek. – Nikt nie jest gotów na spotkanie z trollem.

–Dzięki, że dodajesz mi pewności siebie.

–Pewność siebie wynika z niewiedzy – pouczył ją faun. – Jeśli się stawiasz, to tylko

dlatego, że o czymś nie wiesz.

Holly przez chwilę chciała zaprotestować, ale zmieniła zdanie. Zaczynała podejrzewać, że Ogierek ma rację.

Pojazdy ciśnieniowe napędzane były strumieniami magmy i gazów, wyrzucanych nieustannie z jądra ziemi. Pod kierownictwem Ogiereka chłopcy z technicznego skonstruowali tytanowe jaja, które potrafiły szybować na podziemnych prądach. Co prawda wyposażono je także we własne silniki, ale dla tych, którzy chcieli szybko znaleźć się na powierzchni, nic nie mogło się równać z wybuchem gigantycznej ognistej flary.

Ogierek poprowadził ją wzdłuż długiego szeregu wyrzutni do szybu E7. Delikatna łupina kapsuły umocowanej na stanowisku wyglądała na zbyt kruchą, by znieść podróż w strumieniach ognia. Na jej osmalonym podwoziu widniały ślady odłamków.

Faun czule poklepał pojazd po błotniku.

–To maleństwo służy nam już od pięćdziesięciu lat. Najstarszy model w ciągłym użyciu.

Holly poczuła, że zasycha jej w gardle. I tak denerwowała się podczas wyrzutu, a tu jeszcze kazali jej lecieć antykiem?

–Kiedy zamierzacie wycofać ją z obiegu? Ogierek podrapał się po owłosionym brzuchu.

–Przy takim budżecie, jaki mamy, dopiero kiedy nastąpi jakiś wypadek.

Holly odkręciła zawór ciężkiego wjazdu. Gumowa uszczelka ustąpiła z syknięciem. Kapsuła nie została zaprojektowana z myślą o wygodzie, toteż fotel pilota ledwie się mieścił wśród upchanych byle jak elektronicznych urządzeń.

–A to co? – Holly zdziwiona wskazała szarawą plamę na zagłówku fotela.

–Eee... chyba płyn mózgowy. Podczas ostatniej misji mieliśmy kłopoty z ciśnieniem. Ale szczelinę już załatano, a poza tym pilot przeżył. Trochę mu spadł iloraz inteligencji, ale żyje i może nawet przyjmować płyny.

–No, to wszystko w porządku – zakpiła Holly, przedzierając się przez gąszcz kabli. Ogierek umocował jej uprząż i porządnie sprawdził zapięcia.

–Gotowa?

Holly przytaknęła.

Ogierek stuknął w mikrofon na jej kasku.

–Odezwij się – powiedział i domknął za sobą właz.

Nie myśl o tym, powtarzała sobie Holly. Nie myśl o potoku rozpalonej do białości magmy, która zaraz otoczy maleńki stateczek. Nie myśl o tym, że zostaniesz wyrzucona na powierzchnię z prędkością dwóch machów, która za chwilę wywróci cię na nice. A już na pewno nie powinnaś myśleć o pijanym krwią trollu, który zamierza rozpruć ci brzuch kłami. Co to, to nie. Najlepiej w ogóle nie myśl...

Za późno.

W mikrofonie rozległ się głos Ogierka.

–Dwadzieścia minut do godziny zero. Pracujemy na bezpiecznej częstotliwości. Nigdy nic nie wiadomo, może Błotni Ludzie uruchomili już podsłuch podziemny? Kiedyś jakiś bliskowschodni tankowiec przechwycił nasz komunikat. Ależ było zamieszanie...

Holly dostroiła mikrofon na kasku.

–Skup się, Ogierek. Moje życie zależy od ciebie.

–E... Dobrze, przepraszam. Do głównego szybu E7 wepchniemy cię po szynach. Wybuch magmy nastąpi za chwilę. Wystarczy ci na pierwsze pięćset kilków lotu, potem musisz radzić sobie sama.

Holly skinęła głową, obejmując dłońmi podwójne drążki sterownicze.

–Wszystkie systemy sprawne. Odpalamy.

Silniki kapsuły włączyły się z poszumem. Maleńki pojazd zakołysał się na kotwicy i Holly poczuła się jak koralik w grzechotce niemowlęcia. Ledwie słyszała głos Ogierka, mówiący jej do ucha:

–Jesteś w bocznym szybie. No, Nieduża, przygotuj się.

Holly wzięła z pulpitu gumową pałeczkę i zacisnęła między zębami; na nic radio, kiedy ktoś ma odgryziony język. Włączyła kamery zewnętrzne i na ekranie pojawił się obraz.

Wlot do szybu E7 powoli pełzył w jej kierunku. Powietrze migotało w świetle reflektorów pozycyjnych, do szybu, którym leciała, sypały się białe iskry. Nie słyszała ryku gazów, lecz mogła go sobie wyobrazić -gorący, szalony wiatr, wyjący niczym milion trolli.

Zacisnęła palce na joystickach. Kapsuła zatrzymała się na krawędzi wlotu. Pod nią i ponad nią ciągnął się szyb E7, ogromny, bezdenny. Holly miała wrażenie, że jest mrówką, wrzuconą do rynny.

–W porządku – zatrzeszczał Ogierek. – Nie zgub śniadania. Diabelski młyn to pestka w porównaniu z tym, co cię czeka.

Skinęła głową. Z gumowym kneblem w ustach nie mogła mówić. Faun i tak ją widział dzięki kamerze, umieszczonej na desce kontrolnej stateczku.

–Sayonara, złotko – powiedział Ogierek i nacisnął guzik.

Zwolniona z uchwytu kapsuła ześlizgnęła się w otchłań. Holly poczuła ucisk w brzuchu; to siła grawitacji ściągała ją do wnętrza ziemi. Dzięki umieszczonym w jądrze milionom sond sekcja sejsmologii umiała przewidzieć wybuch magmy z prawdopodobieństwem 99,8 procenta. Ale zawsze pozostawało owe 0,2 procenta.

Upadek wydawał się trwać wieczność i Holly w wyobraźni widziała już swoją kapsułę na kupie złomu, lecz wtedy poczuła... Tej wibracji nie dało się z niczym porównać. Miała wrażenie, że na zewnątrz jej maleńkiego pojazdu cały świat rozpada się na kawałki. Już!

–Stateczniki – wykrztusiła mimo gumowej pałeczki w ustach.

Być może Ogierek coś powiedział, ale już go nie słyszała. Nie słyszała nawet samej siebie, ale na ekranie ujrzała, że z boków pojazdu wysuwają się metalowe pióra.

Płomienista flara ogarnęła ją niczym huragan, obracając kapsułę, dopóki lotki nie zahamowały wirowania. Na poły roztopione kawałki skał bombardowały podwozie pojazdu, ciskając nim ku ścianom szybu. Holly pośpiesznie chwyciła drążki, aby odrzutem silników skompensować szarpnięcia.

W ciasnej kabinie stateczka panowało straszliwe gorąco, w którym człowiek z pewnością by się usmażył. Na szczęście płuca wróżek zrobione są z odporniejszego materiału. Niewidzialne dłonie przyspieszenia targają ciałem Holly na wszystkie strony, napinając skórę na jej ramionach i twarzy. Słone łzy zalewały jej oczy.

Skupiła się na monitorze. Kapsuła tonęła w strumieniu ognia. Flara była duża, o sile co najmniej siedmiu stopni, szeroka na pięćset metrów. Wokół płynęły syczące pasma pomarańczowej magmy, szukające słabych punktów w metalowym płaszczu pojazdu. Kapsuła jęczała i stękała; pięćdziesięcioletnie nity mogły puścić w każdej chwili. Holly pokręciła głową. Po powrocie, myślała, przede wszystkim skopie Ogierkowi owłosiony zadek. Bezbronna, krucha i zagubiona, czuła się jak orzeszek między siekaczami gnoma.

Jedna z płyt poszycia na dziobie wgięła się do środka, jakby uderzona gigantyczną pięścią. Zapaliła się lampka kontroli ciśnienia. Holly poczuła ucisk w głowie. Pierwsze zawsze pękaty gałki oczne, zmiażdżone niczym dojrzałe jagody.

Spojrzała na wskaźniki. Wybuch magmy miał ją nieść jeszcze przez dwadzieścia sekund, potem pożegluje na prądach termicznych. Dwadzieścia sekund – czyli całe wieki. Holly uszczelniła kask, żeby ochronić oczy. Na pojazd znów spadł grad kamieni.

I nagle wszystko ucichło. Kapsuła wynurzyła się z flary i popłynęła ku górze pchana łagodniejszą spiralą gorącego powietrza. Holly wspomagała ją ciągiem silników. Teraz nie pora, uznała, aby bujać się na wietrze.

Ponad nią pojawił się krąg neonowych świateł sygnalizujący lądowisko. Holly obróciła pojazd do pozycji poziomej i skierowała ku światłom zaciski dokujące. Manewr ten wymagał wyczucia. Niejeden pilot SKRZAT dotarł do tego miejsca, aby następnie rozminąć się z dokiem, tracąc cenny czas. Ale nie Holly. Miała to we krwi j w akademii zawsze zajmowała pierwsze miejsce.

Dodała gazu i ostatnie sto metrów przeleciała na jałowym biegu. Zręcznie operując pedałem steru, przeprowadziła stateczek przez świetlny krąg do lądowiska, aż zaciski dokujące obróciły się i wpasowały w prowadnice. Była bezpieczna.

Uderzeniem w pierś rozpięła uprząż. Hermetyczne drzwi otworzyły się z sapnięciem i do środka wtargnęło słodkie ziemskie powietrze. Nic nie mogło się z nim równać. Holly oddychała głęboko, oczyszczając płuca z zatęchłych wyziewów kapsuły. Jak to się stało, że Maty Lud opuścił powierzchnię Ziemi? Czasem żałowała, iż jej przodkowie nie zdecydowali się stoczyć walki z Błotnymi Ludźmi. Lecz tych ostatnich było zbyt wielu; inaczej niż wróżki, które mogły w ciągu życia urodzić tylko jedno dziecko, Błotniaki mnożyły się niczym gryzonie. Liczby pokonały magię.

Ale i teraz, ciesząc się woniami nocy, Holly wyczuwała ślady zanieczyszczeń. Ludzie Błota niszczyli wszystko, co napotkali. Oczywiście, nie mieszkali już w błocie. A przynajmniej nie w tym kraju. O, nie – mieli wielkie wymyślne siedziby, a w nich pokoje do wszystkiego, do spania, do jedzenia, a nawet pokoje, w których się załatwiali! Wewnątrz domu! Holly wzdrygnęła się. Coś podobnego, załatwiać się we własnym domu! Obrzydliwość! Jediną zaletą korzystania z toalety było to, że minerały powracały do ziemi, ale Błotni Ludzie zapaskudzili nawet tę... substancję, dodając do niej rozmaite niebieskie chemikalia. Gdyby ktoś powiedział jej sto lat temu, że ludzie usuną nawóz z nawozu, uznałaby, że powinien sobie przewietrzyć mózg.

Sięgnęła po przenośne skrzydła. Miały owalny kształt i masywny silnik. Jęknęła. Ważki! Nie znosiła tego modelu. Napęd benzynowy, proszę was, i w dodatku ciężkie

jak świnia w błocie. Co innego kolibry Z7 – to był dopiero transport! Cichszy od szeptu, wyposażony w słoneczną baterię satelitarną, dzięki której można dwukrotnie okrążyć kulę ziemską. Ale policji znowu obcięto budżet.

Radiolokator na jej przegubie zaczął piszczeć. Cel znajdował się w zasięgu. Holly wysiadła z kapsuły i stanęła na płycie lądowiska. Znajdowała się wewnątrz zamaskowanego pagórka ziemnego, lepiej znanego jako kurhan wrózek. Mały Lud rzeczywiście mieszkał kiedyś w takich wzgórkach, dopóki nie został zmuszony do przenosin w głąb ziemi. Kurhan nie zawierał wiele sprzętu, tylko kilka monitorów zewnętrznych oraz urządzenie samoniszące, na wypadek, gdyby został odkryty.

Puste ekrany wskazywały, że droga jest wolna. Pneumatyczne drzwi wypaczyły się trochę w miejscu, gdzie staranował je troll, ale poza tym wyposażenie wyglądało na sprawne. Holly przypięła skrzydła i wynurzyła się na zewnątrz.

Nocne powietrze Włoch było czyste i rześkie, przesycone wonią oliwek i winorośli. W wysokiej trawie grały świerszcze, ćmy polatywały w świetle gwiazd. Holly nie mogła powstrzymać uśmiechu. Te doznania były warte każdego ryzyka.

Skoro mowa o ryzyku... Sprawdziła radiolokator. Sygnał stał się silniejszy. Troll dotarł już do murów miasta. Urokami natury mogła napawać się po zakończeniu misji – teraz musiała działać.

Pociągnęła za linkę startera, próbując uruchomić skrzydła. Bez skutku. Ogarnęła ją cicha złość. Byle rozpuszczony bachor z Oazy dostawał kolibra, jadąc na wakacje w głuszy, podczas gdy SKRZAT musiał się męczyć ze skrzydłami, które już w chwili zakupu nadawały się tylko na złom. Szarpnęła linkę po raz drugi i trzeci. Silnik wreszcie zaskoczył, wydmuchując smugę dymu i spalin. Najwyższy czas, mruknęła, otwierając przepustnicę. Skrzydła załopotwały miarowo i nie bez wysiłku uniosły kapitan Holly Niedużą w nocne niebo.

Nawet bez radiolokatora tropienie trolla nie nastroczało trudności. Ciągnął się za nim szlak zniszczeń szerszy niż ślad koparki. Holly leciała nisko, poruszając się skokami, od zagajników do kłębow mgły. Oszalały stwór wyciął sobie drogę przez środek winnicy, zwałił kamienny murek i niemal na śmierć wystraszył stróżującego psa, który wciąż skowyczał pod krzakiem. Potem Holly zobaczyła krowy. Nie był to miły widok; oszczędzając wam szczegółów, powiem tylko, że oprócz rogów i kopyt niewiele z nich pozostało.

Czerwony sygnalizator piszczał coraz głośniejsze, a głośniejsze oznaczało bliżej. Holly widziała już pod sobą miasto, przycupnięte na szczycie wzgórza, otoczone średniowiecznymi blankami i murami. W wielu oknach wciąż paliły się światła. Przyszła pora na odrobinę czarów.

Wiele magicznych mocy przypisywanych Ludowi należy złożyć na karb ludzkich przesądów. Niemniej elfy posiadają pewne umiejętności, do których można zaliczyć uzdrawianie, mesmeryzację i tworzenie tarczy ochronnej. Właściwie ta ostatnia nazwa jest błędna -po prostu wróżki wibrują z tak wielką częstotliwością, że nigdy nie przebywają w jednym miejscu dostatecznie długo, by mogło je zobaczyć oko człowieka. Kiedy Błotni Ludzie patrzą uważnie – co im się rzadko zdarza – dostrzegają niekiedy migotanie powietrza, ale nawet wówczas skłonni są uważać, że widzą obłok pary wodnej. Ale Ludzie mają to do siebie, że wymyślają skomplikowane wyjaśnienia całkiem prostych zjawisk.

Holly włączyła tarczę, jednak kosztowało to ją więcej energii niż zazwyczaj. Wysięk sprawił, że na jej czoło wystąpiły krople potu. Może jednak powinnam dokończyć Rytuał, pomyślała. Na wszelki wypadek. Przecież to nie zaszkodzi?

Z zadumy wyrwało ją zamieszanie na dole, hałas, który wyróżniał się wśród odgłosów nocy. Poprawiła skrzydła i obniżyła lot. Tylko się przyjrzy, upomniała surowo samą siebie, tylko takie miała zadanie. Funkcjonariusz Rozpoznania wysłany na powierzchnię, aby zlokalizować cel, podróżował szybem, natomiast agenci Odzysku lecieli wygodnym, szybkim wahadłowcem.

Troll znajdował się tuż poniżej. Walił pięściami w mury miejskie, które rozpadały się na kawałki w jego potężnych palcach. Holly stłumiła okrzyk zaskoczenia. Ależ to potwór, wielki niczym słoń i dziesięć razy złośliwszy! Jednakże istota na dole była nie tylko złośliwa, ale także śmiertelnie przerażona.

–Nadzór – powiedziała Holly do mikrofonu. – Zbieg zlokalizowany. Sytuacja krytyczna.

Po drugiej stronie odezwał się sam komendant Bulwa.

–Jaśniej, pani kapitan.

Holly skierowała w stronę trolla kamerę wideo.

–Zbieg przedziera się przez miejskie mury. Istnieje niebezpieczeństwo kontaktu. Gdzie jest Odzysk?

–Będziemy za pięć minut. Wciąż jesteśmy w wahadłowcu.

Holly przygryzła wargę. Czyżby Bulwa osobiście brał udział w akcji?

–To za długo, panie komendancie. Za dziesięć sekund całe miasto się obudzi. Schodzę.

–Odmawiam zgody, Holly... kapitan Nieduża. Nie było wezwania. Znacie prawo.

Zostańcie na pozycji.

–Ale, panie komendancie...

–Nie! Żadnych ale! – przerwał jej Bulwa. – Macie się wstrzymać, rozumiecie?! To rozkaz!

Całe ciało Holly pulsowało w rytmie jej serca, spaliny mąciły myśli. Co robić? Jaka decyzję podjąć? Życie ludzkie czy rozkaz?

I wtedy troll przebił się przez mur. Nocną ciszę rozdarł krzyk dziecka.

–*Aiuto!*

Pomocy! Wezwanie. W pewnym sensie.

–Przykro mi, komendancie. Troll wpada w szal na widok światła, a tam są dzieci.

Przed oczami stanęła jej twarz Bulwy, fioletowa z wściekłości.

–Zdegraduję was, Nieduża! – plunął w mikrofon komendant. – Przez następne sto lat będziecie pilnować kanalizacji!

Ale krzyczał na próżno; Holly wyłączyła mikrofon i runęła w ślad za trollem.

Wyprężając ciało, wpadła przez wyrwę w murze i znalazła się w pomieszczeniu, które wyglądało na pełną ludzi restaurację. Troll, chwilowo oślepiiony światłem elektrycznym, miotał się na środku podłogi.

Goście patrzyli nań osłupiali. Nawet dziecko przestało krzyczeć. Siedzieli z otwartymi ustami, wciąż ubrani w zabawnie przekrzywione, papierowe czapeczki. Kelnerzy zamarli, trzymając w drżących dłoniach ogromne tace, wyładowane porcjami spaghetti. Pulchne włoskie *bambini* zakrywały oczy pulchnymi paluszkami. Na początku zawsze było tak samo – wskutek szoku wszyscy milkli. Dopiero potem zaczęli krzyczeć.

Butelka wina rozbiła się z hukiem o podłogę. Czar prysł; rozpętało się piekło. Holly przeszył dreszcz. Trolle nienawidziły hałasu prawie tak samo jak światła.

Potwór uniósł masywne, owłosione ramiona, wysuwając szpony ze złowieszczym zgrzytem. Sziiiiik. Klasyczne zachowanie drapieżcy. Bestia szykowała się do ataku.

Holly wyciągnęła broń i przestawiła ją na dwójkę. Pod żadnym pozorem nie wolno jej było zabić trolla, nie po to, by ratować ludzi. Ale z pewnością mogła go unieruchomić do przybycia Odzysku.

Celując w słaby punkt u podstawy czaszki, Holly poczęstowała trolla długą serią skoncentrowanych promieni jonizujących. Stwór zachwiał się, zrobił kilka kroków, po czym naprawdę się rozgniewał.

Wszystko w porządku, pomyślała Holly, mam tarczę, jestem niewidzialna. Obserwatorom ukaże się jedynie pulsujący, niebieski promień, pojawiający się jakby znikąd.

Troll obrócił się ku niej, potrząsając sztywnymi, zabłoconymi kudłami.

Nie ma strachu. Nie widzi mnie.

Troll chwycił stół i podniósł go do góry.

Jestem niewidzialna. Zupełnie niewidzialna.

Cofnął włochatą łapę, po czym rzucił.

Jestem tylko migotaniem powietrza.

Stół leciał prosto w jej głowę.

Holly uskoczyła o ułamek sekundy za późno. Stół zawadził o zbiornik z benzyną, który miała na plecach. Zerwany bak zawirował w powietrzu, lejąc wokół łatwopalną ciecz.

We włoskich restauracjach – jak zapewne wiecie -pali się mnóstwo świec. Zbiornik uderzył prosto w duży, misterny świecznik i stanął w płomieniach, siejąc płynnym ogniem niczym monstrualna raca. Większość rozbryzgów padła na trolla. A ten rzucił się na Holly.

Widział ją. To nie ulegało wątpliwości. Patrzył na nią, mrużąc ślepią w zniechęconym świetle, marszcząc czoło z bólu i strachu. Tarcza Holly znikła. Czary przestały działać.

Bezskutecznie wiała się w strasznym uścisku. Palce stwora pękate jak banany, lecz o wiele od nich twardsze z szaleńczą łatwością wyciskały z jej klatki piersiowej resztki tchu. Ostre jak igły szpony wbijały się we wzmocnioną tkaninę munduru. Lada moment przebiją go na wylot i będzie po wszystkim.

Nie mogła myśleć. Restauracja przypominała chaotyczny wir. Troll zgrzytał kłami, próbując pochwycić kask Holly między ociekające tłuszczem siekacze. Jego smrodliwy oddech dobiegał ją nawet mimo filtrów. Poczula również woń palonego futra; płomień podsycany benzyną objął już cały grzbiet trolla.

Bestia przeciągnęła jęzorem po przeźroczyściej przyłbicy kasku Holly, pokrywając słuzem jej dolną część. Kask! To było to! Jedyna szansa! Holly ukradkiem podniosła rękę do przycisków. Światła tunelowe. Dużej mocy.

Nacisnęła ukryty guzik i osiemset watów jaskrawego światła zapłonęło w podwójnych reflektorach nad jej oczami.

Troll szarpnął się do tyłu, wydając z zębatej paszczy przenikliwy wrzask. Dziesiątki butelek i kieliszków zadrżały i pękły z brzękiem. Nieszczęsny stwór, ogłuszony i palony żywcem, nie wytrzymał oślepiającego blasku. Szok i ból dotarły wreszcie do jego maleńkiego mózgu i kazały mu zaprzestać wszelkich działań. Troll posłusznie padł sztywno na bok, co wyglądało niemal komicznie; jednakże Holly ledwie uniknęła ciosu kła, ostrego niczym kosa.

Zapadła cisza, w której dał się słyszeć jedynie brzęk szkła, strzelanie iskier i gwałtownie wypuszczane z płuc oddechy. Holly chwiejnie stanęła na nogi, czując na sobie wzrok tysiąca oczu – ludzkich oczu. Była w stu procentach widoczna. Wiedziała, że otaczający ją ludzie niedługo zachowają spokój. Ta rasa tego nie umiała. Należało jakoś ograniczyć straty.

Uniosła puste dłonie w geście pokoju.

–*Mi scusate, tutti* – powiedziała, a włoskie słowa swobodnie spłynęły z jej języka.

Włosi, uprzejmi jak zawsze, wymamrotali, że nic nie szkodzi.

Holly powoli sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej niewielką kulę. Umieściła ją na środku podłogi.

–*Guarda* - rzekła. Patrzcie.

Goście restauracji posłusznie wpatrzyli się w srebrzystą sferę. Dobiegało z niej cykanie, coraz szybsze, prawie jak odliczanie. Holly odwróciła się plecami. Trzy, dwa, jeden...

Bum! Błysk! Zbiorowa utrata świadomości. Nic poważnego, nie licząc bólu głowy za mniej więcej czterdzieści minut. Holly westchnęła. Na razie nic jej nie groziło. Podbiegła do drzwi i zamknęła zasuwkę. Teraz nikt nie mógł wejść do restauracji ani z niej wyjść, chyba że przedostałby się przez ziejącą w ścianie wyrwę. Kierując w stronę tłącego się trolla strumień z restauracyjnej gaśnicy, Holly modliła się tylko, by lodowy proszek nie ocucił nieprzytomnego potwora.

Rozejrzała się po otaczającym ją chaosie. Nie ma co gadać, nie lada zamętu narobiła! Gorzej niż w Hamburgu. Bulwa obedrze ją żywcem ze skóry! Wołałaby już stanąć twarzą w twarz z trollem. Jej kariera zapewne właśnie dobiegła końca, lecz

Holly uzmysłowiła sobie zniecierpliwienie, że niewiele ją to obchodzi. Przede wszystkim bolały ją żebra, ponadto czuła, że zbliża się oślepiająca migrena ciśnieniowa. Musiała choć chwilę odpocząć, ochłoniąć, zanim zjawi się Odzysk.

Nie zdążyła poszukać krzesła. Po prostu ugięły się pod nią nogi i tak jak stała, opadła na czarno-białe linoleum restauracji.

Przebudzenie, gdy przed nosem pojawia się obrzękłe oblicze komendanta Bulwy, wydaje się szczytem koszmaru. Jednak Holly, otworzywszy powieki, mogłaby przysiąc, że przez sekundę dostrzegła w jego oczach troskę. Wrażenie to wszakże szybko zniknęło, zastąpione zwykłym widokiem zsiniałych z wściekłości policzków i nabrzmiałych żył.

–Kapitan Nieduża! – ryczał komendant, nie zważając na jej migrenę. – Co się tutaj stało, do jasnego rozumu?

Holly niepewnie wstała.

–Ja... Znaczy... Było... – Mówienie szło jej wyjątkowo opornie.

–Zlekceważyliście bezpośredni rozkaz. Poleciałem wam się zatrzymać! Wiecie, że nie wolno wam wejść do ludzkiego budynku bez wezwania.

Holly otrząsnęła się i przetarła oczy.

–Ależ zostałam wezwana. Dziecko wołało o pomoc.

–Nie byłbym tego pewien, Nieduża.

–Istnieje precedens, sir. Sprawa kaprała Wykopa. Ława przysięgłych orzekła, że mógł uznać wołanie uwięzionej kobiety za wezwanie do budynku. A poza tym, skąd w takim razie wy się tu wzięliście? Wy także przyjęliście wezwanie.

–Hmm- mruknął Bulwa z powątpiewaniem.– No, cóż, mieliście szczęście. Mogło być znacznie gorzej.

Holly rozejrzała się wokół. O wiele gorzej być już nie mogło. Lokal został praktycznie zdemolowany i leżało w nim czterdzieścioro nieprzytomnych ludzi. Łatwo policzyć. Technicy krzżeli się, przymocowując do ich skroni elektrody, zacierające pamięć.

–Udało się nam zabezpieczyć teren, mimo że do drzwi dobija się pół miasta.

–A dziura?

–Spójrzcie sami – Bulwa uśmiechnął się z wyższością.

Holly spojrzała. Grupa Odzysku podłączyła holograf do gniazdek elektrycznych w restauracji i na miejscu wyrwy wyświetlał się obecnie obraz nietkniętego muru. Hologramy świetnie nadawały się do szybkich napraw, choć oczywiście nie wytrzymywały dokładniejszych spojrzeń. Uważny obserwator zwróciłby uwagę, że półprzezroczysty obraz ściany jest taki sam jak sąsiedni fragment, że obok siebie widnieją dwa identyczne pęknięcia i dwie reprodukcje jednego obrazu Rembrandta. Jednakże ludzie w pizzerii na razie byli dalecy od przyglądania się murom. Jak dobrze pójdzie, kiedy się obudzą, ściana będzie już zreperowana za pomocą podziału telekinetycznego, całe zaś nadprzyrodzone zajście zniknie na zawsze z ich pamięci.

Z toalety wypadł funkcjonariusz Odzysku.

–Komendancie!

–Słucham, sierżancie.

–Tam jest człowiek, sir. Zacieracz nie zdążył do niego dotrzeć. Już tu idzie, sir! Jest!

–Tarcze! – warknął Bulwa. – Wszyscy!

Holly starała się. Naprawdę. Ale tarcza się nie pojawiła. Moc zniknęła. Z łazienki wytoczył się zapuchnięty od snu dwulatek i wycelował w Holly tłusty paluszek.

–*Ciao, spirito* – powiedział, po czym wdrapał się na kolana ojca i ponownie zapadł w drzemkę.

Bulwa zamigotał i pojawił się w widzialnym spektrum. Jego wściekłość, o ile to możliwe, jeszcze wzrosła.

–Co się stało z waszą tarczą, Nieduża? Holly przełknęła ślinę.

–Może stres, komendancie? – podpowiedziała z rozpaczliwą nadzieją.

Ale Bulwa nie dał się nabrać.

–Okłamaliście mnie, pani kapitan. Wcale nie jesteście przygotowani, prawda?

Holly w milczeniu pokręciła głową.

–Kiedy ostatni raz wykonaliście Rytuał? Holly zagryzła wargę.

–Jakieś... cztery lata temu, sir.

–Cztery... cztery lata? – Bulwie omal nie pękła żyła. – Cud, żeście przeżyli tak długo! Zróbcie to natychmiast! Dzisiaj! Żebyście mi nie schodzili pod ziemię bez

mocy! Stanowicie zagrożenie dla siebie i swoich kolegów!

–Tak jest!

–Weźcie z Odzysku kolibra i gazem do Starego Kraju! Dzisiaj jest pełnia!

–Tak jest!

–I nie myślcie sobie, że zapomnę o tym bałaganie. Porozmawiamy, kiedy wrócicie.

–Tak jest, sir! Oczywiście, sir! Holly odwróciła się, by odejść, lecz Bulwa przywołał ją chrząknięciem.

–Och, aa... kapitan Nieduża...

–Tak, sir?

Twarz Bulwy utraciła fioletową barwę. Wyglądał na wręcz zażenowanego.

–Dobra robota z tym ratowaniem życia. Mogło być gorzej, znacznie, znacznie gorzej.

Twarz Holly za szybą kasku rozpromieniła się w uśmiechu. Może jednak nie wyrzucą jej ze SKRZAT.

–Dziękuję, sir.

Bulwa burknął coś, a jego skóra przybrała zwykły odcień purpury.

–A teraz zmiatajcie stąd i nie pokazujcie się, zanim nie naładujecie się magią po czubki uszu!

Holly westchnęła. Wdzięczność nie trwa długo.

–Tak jest, sir. Już lecę, sir.

ROZDZIAŁ CZWARTY

UPROWADZENIE

Główny problem Artemisa polegał na tym, że nie umiał zlokalizować żadnej wróżki. Jak, u licha, znaleźć taką istotę? Niezli spryciarze z tych elfów, włóczą się po ziemi od Bóg wie ilu tysiącleci, a nie ma ani jednego zdjęcia, ani jednej klatki wideo, nawet takiej, jak to kuglarstwo z Loch Ness. Wróżki są raczej nietowarzyskie, a do tego niebywale sprytne! Nikomu dotąd nie udało się odebrać im złota. Ale też, myślał Artemis, nikt dotąd nie czytał ich Księgi. Łamigłówki są proste, kiedy posiadamy klucz.

Artemis wezwał oboje Butlerów do gabinetu i zwrócił się do nich, stojąc na miniaturowej mównicy.

–Istnieją pewne rytuały, których musi dopełnić każda wróżka, aby odnowić swą czarodziejską moc -wyjaśnił.

Butler i Julia przytaknęli, jakby to była zwyczajna odprawa.

Artemis otworzył swój egzemplarz Księgi i odszukał odpowiedni fragment.

Twa moc tajemna z ziemi się wywodzi,

Wdzięczność okazać tedy dsięgodzi.

Nasienie z ziemi podnieś- to rzecz święta -

I zakop je, gdzie dąb i rzeczka kręta.

Gdy pełny księżyc zjawi się na niebie,

Dar ziemi szczodry w ziemię zwróc w potrzebie.

Zaniknął Księgę.

–Rozumiecie?

Butler i Julia znów przytaknęli; wciąż wydawali się nic nie pojmować.

–Skrzaty zobowiązane są przestrzegać pewnych obrzędów – westchnął Artemis. – Muszę dodać, że są to rytuały bardzo specyficzne i być może pozwolą nam wytropić jakiegoś duszka.

Julia, która liczyła sobie o cztery lata więcej niż Artemis, podniosła nieśmiało rękę.

-Tak?

-No, chodzi o to, Artemisie...- powiedziała z wahaniem, owijając wokół palca pasmo jasnych włosów w sposób, który miejscowym nicponiom wydawał się bardzo pociągający. – Chodzi o te skrzaty.

Artemis zmarszczył brew. Nie wróżyło to nic dobrego.

-Co chcesz powiedzieć, Julio?

-No, skrzaty. Przecież chyba nie istnieją?

Butler aż się skręcił. Właściwie wina leżała po jego stronie. Nie zdążył poinformować siostry o założeniach akcji.

Artemis popatrzył nań z wyrzutem.

-Butler z tobą nie rozmawiał?

-Nie. A powinien był?

-Jak najbardziej. Być może sądził, że go wyśmiejesz.

Butler wił się coraz bardziej. Tak właśnie sądził; Julia była jedyną osobą, która wyśmiewała się z niego z zawstydzającą regularnością. Większość ludzi mogła sobie na to pozwolić raz. Tylko raz.

Artemis odchrząknął.

-Umówmy się zatem, iż ów lud istnieje, a ja nie jestem durniem, który plecie bzdury.

Butler niepewnie skinął głową, jednak Julia nadal nie wyglądała na przekonaną.

-Do rzeczy. Wróżki, aby odnowić siły, muszą dopełnić pewnego rytuału. Zgodnie z tym, co udało mi się stwierdzić, muszą zerwać żołędź ze starego dębu, rosnącego w zakolu rzeki. I muszą to zrobić podczas pełni księżyca.

W oczach Butlera zaświtało zrozumienie.

-A więc trzeba tylko...

-...przeprowadzić analizę porównawczą wszystkich satelitarnych prognoz pogody, co już zrobiłem. Możecie mi wierzyć albo nie, ale na świecie nie rośnie zbyt wiele starych dębów, to znaczy takich, które mają więcej niż sto lat. Kiedy uwzględnimy jeszcze zakole rzeki i pełnię księżyca, okazuje się, że musimy sprawdzić dokładnie sto dwadzieścia dziewięć miejsc w naszym kraju.

Butler uśmiechnął się szeroko. Zasadzka. Teraz panicz mówił jego językiem.

–Trzeba poczynić przygotowania na przybycie gościa – oznajmił Artemis, wręczając Julii zadrukowaną kartkę papieru. – Oto plany przebudowy piwnicy. Wykonaj to, Julio. Co do joty.

–Tak jest, Arty.

Artemis skrzywił się, ale tylko trochę. Z powodów, które nie całkiem potrafił zgłębić, nie przeszkadzało mu zanadto, że Julia używała zdrobnienia, wymyślnego dlań przez matkę.

Butler podrapał się w brodę z namysłem. Artemis zauważył jego gest.

–Jakieś pytania?

–Hmm, Artemisie... Ta wróżka w Ho Szi Min...

–Rozumiem – kiwnął głową Artemis. – Dlaczegośmy po prostu nie porwali tej staruchy?

–Właśnie, sir.

–W *Almanachu Małego Ludu*, rękopisie z siódmego wieku autorstwa Chi Luna, odkrytym w starożytnym mieście Sh'shamo, napisane jest: „Gdy wróżka raz napije się gorzałki z Błotnymi Ludźmi – uwaga, to my -umiera na zawsze dla swoich braci i siostr”. Nie ma więc gwarancji, że ta konkretna wróżka warta byłaby choćby uncję złota. Nie, drogi przyjacielu, potrzebujemy świeżej krwi. Wszystko jasne?

Butler przytaknął.

–Dobrze. Teraz będziesz musiał przygotować ekwipunek na nasze księżycowe wyprawy.

Butler rzucił okiem na kartkę – podstawowy sprzęt polowy, parę nietypowych zamówień, ale nic szczególnego, chyba że...

–Ciemne okulary? Na noc? Kiedy Artemis uśmiechał się tak jak teraz, miało się wrażenie, iż za chwilę wyrosną mu kły wampira.

–Owszem, Butler. Okulary przeciwsłoneczne. Zaufaj mi.

Co też Butler uczynił. Bezwarunkowo.

Na wysokości czterech tysięcy metrów Holly uruchomiła spiralę grzewczą w kombinezonie. Skrzydła typu koliber były najlepsze w swojej klasie. Wskaźnik baterii

pokazywał wartość cztery – nawet więcej, niż wymagał szybki wypad z Europy kontynentalnej na Wyspy Brytyjskie. Oczywiście, regulamin nakazywał, aby w miarę możliwości wybierać trasy, prowadzące ponad wodą, ale Holly nie mogła się oprzeć, by w drodze nie stracić śniegowej czapy z najwyższego szczytu Alp.

Kombinezon osłaniał Holly przed najbardziej uciążliwymi skutkami wysokości, lecz mimo to czuła, że chłód przenika ją do szpiku. Księżyc z tej perspektywy wydawał się ogromny i SKRZATka z łatwością rozróżniała kraterzy na jego powierzchni. Dzisiaj tworzył on doskonały krąg – magiczną pełnię. Urząd imigracyjny miał w takie noce pełne ręce roboty, gdyż tysiące wrózek, stęsknionych za powierzchnią ziemi, ulegały nieodpartemu czarowi księżycy i instynktownie podążały na górę. Huczne świętowanie tych, którym udawało się przedostać przez kordon, zazwyczaj stawało się przyczyną niezłego zamętu. Pod ziemią ciągnęły się istne labirynty nielegalnych tuneli, a policja nie mogła wszak patrolować ich wszystkich.

Lecąc wzdłuż włoskiego wybrzeża, Holly dotarła do Monako, po czym przekroczyła Alpy i znalazła się we Francji. Jak każda wróżka uwielbiała latać. Wedle słów Księżki, kiedyś także rasa elfów posiadała skrzydła, lecz ewolucja odebrała im ten narząd. Tylko chochliki go zachowały. Istniał nawet pogląd naukowy utrzymujący, że Lud wywodzi się od latających dinozaurów, prawdopodobnie pterodaktyli, a to ze względu na podobieństwo górnej części szkieletu. Teoria ta z pewnością tłumaczyła spiczaste uszy wrózek, a także maleńkie kostne wypukłości na szczytach obojczyków.

Przez chwilę Holly igrała z pomysłem, by odwiedzić Disneyland pod Paryżem. Kilko tajnych agentów SKRZAT pracowało tam na stałe, głównie w części poświęconej Królowi Śnieżce. Było to jedno z niewielu miejsc na powierzchni ziemi, gdzie Lud mógł przebywać niezauważony. Ale gdyby jakiś turysta zrobił Holly zdjęcie, które trafiłoby do Internetu, Bulwa z pewnością odebrałby jej odznakę. Wzdychając z żalu, minęła jaśniejącą poniżej feerię wielobarwnych świateł i wkrótce znalazła się nad kanałem La Manche.

Obniżyła lot i prawie biegnąc po białych grzywach fal, zawołała raz i drugi. Nad wodę wyskoczyły delfiny i popłynęły obok, dzielnie dotrzymując jej kroku. Na grzbietach zwierząt Holly dostrzegła zgubne skutki zatrucia środowiska – białe plamy i otwarte czerwone rany. I chociaż uśmiechała się do nich, serce jej pękało. Doprawdy, Błotni Ludzie mieli wiele na sumieniu.

Wreszcie dostrzegła przed sobą zarys lądu – Stary Kraj, Eiriu, krainę, gdzie zaczął się czas, najbardziej magiczne miejsce na całym globie. To tutaj dziesięć tysięcy lat temu starożytna rasa wrózek De Danann pokonała demona Fomoriana, wykuwając potęgą swych czarów słynną Groblę Olbrzymów. To tutaj znajdowała się Lia Fail, skała środka wszechświata, gdzie koronowano królów wrózek, a także, wiele wieków później, człowieka imieniem Ard Ri. I to tutaj, niestety, ludzie byli najbardziej wrażliwi

na magię, co sprawiało, że tutejszy wskaźnik dostrzeżeń członków Małego Ludu zaliczał się do najwyższych na świecie. Na szczęście reszta świata uważała Irlandczyków za wariatów, Irlandczycy zaś nie czynili nic, by zmienić to mniemanie. Nie wiadomo dlaczego, wbili sobie również do głów, że każda wróżka targa ze sobą garnek złota. Prawda, że funkcjonariusze SKRZAT stworzyli fundusz okupowy ze względu na wysokie ryzyko, związane z ich zawodem, jednakże nigdy jeszcze żaden człowiek nie otrzymał zeń ani grosza. A jednak cała populacja Irlandczyków nieodmiennie czatowała przy każdej tęczy w nadziei wygrania losu na nadprzyrodzonej loterii.

Mimo tych zastrzeżeń Irlandczycy stanowili jedyny naród na świecie, z którym Mały Lud odczuwał pewną więź. Być może stało się tak wskutek ekscentrycznych nawyków mieszkańców Szmaragdowej Wyspy, być może przyczyną było ich przywiązanie do tak zwanego craic. Jeżeli jednak – jak twierdziła jeszcze inna teoria – Mały Lud łączyło kiedyś pokrewieństwo z ludźmi, wszystko wskazywało na to, że obie rasy wywodzą się z Irlandii.

Holly wybrała opcję mapy na nadgarstkowym radiolokatorze i kazała odszukać źródła magicznych mocy. Najlepsze źródło, rzecz jasna, znajdowało się w Tarze, nieopodal Lia Fail, ale w taką noc jak dzisiejsza każda kochająca tradycję wróżka, która załatwiła sobie przepustkę na górę, z pewnością zamierzała udać się tam na tańce. Należało poszukać czegoś innego.

Niedaleko, na południowo-wschodnim wybrzeżu, radiolokator wskazał magiczne miejsce o lokalnym znaczeniu, łatwo dostępne z powietrza, lecz położone na uboczu i niechętnie odwiedzane przez istoty lądowe. Holly zmniejszyła obroty i zeszła na wysokość osiemdziesięciu metrów. Przeleciała nad szczotką iglastego lasu i ujrzała łąkę, zalaną światłem księżyca. Przecinała ją srebrna wstążka rzeczki, w której ciasnym zakolu wznosił się dumny dąb. Holly sprawdziła na radiolokatorze, jakie formy życia znajdują się w pobliżu, i uznawszy, że krowa na sąsiednim pastwisku nie stanowi zagrożenia, zgasiła silniki, po czym miękko wylądowała u stóp potężnego drzewa.

Cztery miesiące czekania. Nawet zawodowiec doskonały, taki jak Butler, jął z lękiem myśleć o długim czuwaniu w ciemności i wilgoci, wśród nieznośnie kąsających owadów. Całe szczęście, że pełnia nie zdarzała się co noc.

Wszystko zawsze przebiegało tak samo. W całkowitej ciszy trwali skuleni pod osłoną foliowej kryjówki; Butler raz po raz sprawdzał sprzęt, Artemis siedział bez ruchu z okiem przyklejonym do okularu noktowizora. W takich chwilach odgłosy przyrody w pobliżu ich ciasnego schronienia wydawały się wręcz ogłuszające. Butler marzył, by zagwizdać, zagadać, zrobić cokolwiek, aby przerwać nienaturalne milczenie. Lecz koncentracja Artemisa była absolutna. Nie zniósłby żadnego zakłócenia, żadnego rozproszenia uwagi. Toczyła się wojna.

Dziś czuwali na południowym zachodzie, w miejscu jak dotąd najbardziej niedostępnym. Butler musiał trzykrotnie wracać do furgonetki, aby przenieść sprzęt przez płot, grzęzawisko i dwa pola. Buty i spodnie nadawały się tylko do wyrzucenia. A teraz utknął w jakimś rowie, mocząc sobie siedzenie, podczas gdy Artemis w niepojęty sposób zachował nieskazitelny wygląd.

Projekt kryjówki był niezwykle pomysłowy i wiele firm, zwłaszcza ze zbrojeniówki, zdążyło już wyrazić nim zainteresowanie, ale Artemis postanowił, że sprzeda patent międzynarodowemu producentowi sprzętu sportowego. Konstrukcja składała się z elastycznej folii polimerowej, rozpiętej na wielozawiasowym rusztowaniu z włókna szklanego. Folia, podobna do używanej przez NASA, zatrzymywała wewnątrz ciepło, a jej zamaskowana strona zewnętrzna zapobiegała zbyt niemu przegrzaniu, dzięki czemu zwierzęta wrażliwe na promieniowanie cieplne nie zwracały na nią uwagi.

Zawiasy sprawiały, że powłoka przemieszczała się niemal jak płyn, wypełniając każde zagłębienie, w którym się znalazła. Dawała błyskawiczne schronienie i punkt obserwacyjny – wystarczyło po prostu włożyć foliową torbę do dziury i pociągnąć za sznurek.

Ale cały spryt świata nie zdołałby poprawić nastroju Artemisa. Coś go trapiło – wskazywała na to wyraźnie siateczka przedwczesnych zmarszczek wokół jego ciemnoniebieskich oczu.

Po kilku nocach, spędzonych na bezowocnym czuwaniu, Butler zebrał się na odwagę.

–Artemisie – zagaił nieśmiało – zdaję sobie sprawę, że to nie moja sprawa, ale chyba coś cię martwi. Więc jeśli mogę w czymś pomóc...

Artemis milczał przez kilka chwil. I przez kilka chwil Butler widział przed sobą twarz małego chłopca

–chłopca, którym Artemis kiedyś mógł się stać.

–Chodzi o mamę, Butler – powiedział w końcu.

–Zaczynam myśleć, że ona nigdy...

Lecz w tym momencie lampka sygnalizująca kontakt zapłonęła czerwienią.

Holly powiesiła skrzydła na niskiej gałęzi i zdjęła kask, aby przewietrzyć uszy. Uszy elfów wymagały wielkiej troskliwości – kilka godzin w kasku i zaczynały się łuszczyć. Pomasowała czubki. Skóra nie była sucha, pewnie dlatego, że codziennie poddawała ją zabiegom nawilżającym. Nie tak, jak niektórzy chłopcy w SKRZAT – kiedy taki zdjął kask, można by przysiąc, że właśnie zaczyna padać śnieg.

Zatrzymała się na chwilę, zachwycona widokiem. Irlandia słynęła z malowniczości, której nawet Błotni Ludzie nie zdołali popsuć, przynajmniej na razie. Może za dwa, trzy stulecia... Przed nią, niczym srebrny wąż, wiała się rzeczka, łagodnie bulgocząc na kamieniach. Nad głową Holly szumiał dąb, gałęzie ocierały się o siebie na rześkim wietrze.

Do roboty! Jeszcze przyjdzie pora na podziwianie krajobrazu. Żołędź. Potrzebowała żołędzi. Schyliła się, rozgarniając suche liście i patyki, aż poczuła pod palcami gładki kształt. No, to nie było takie trudne, prawda? – pomyślała. Teraz musi tylko zasadzić ją w innym miejscu i jej moc natychmiast powróci.

Butler sprawdził przenośny radar, ścisząc brzęczyk, aby nie zdradził ich położenia. Czerwona strzałka omiatała ekran z nieznośną powolnością, aż wtem... *błyśk!* Pod drzewem stała jakaś postać! Zbyt mała na dorosłego, o niewłaściwych proporcjach jak na dziecko. Butler uniósł kciuk, dając Artemisowi znak, że coś chyba znaleźli.

Artemis skinął głową i zapiął okulary odbłaskowe. Butler ruszył w ślad za nim, zdjawszy osłonę z gwiazdowizora, zamontowanego na lufie karabinu. Nie był to zwykły miotacz strzałek. Wykonany specjalnie dla łowcy słoni, miał zasięg i szybkostrzelność kałasznikowa, kiedy zaś kłusownik został stracony, Butler kupił go za grosze od kenijskiego urzędnika rządowego.

Cicho i zręcznie wyczołgali się z kryjówki. Drobną postać przed nimi odpięła od ramion jakieś urządzenie i zdjęła kask z głowy, która – sądząc z zarysu – z pewnością nie należała do człowieka. Butler dwukrotnie owinął pasek karabinu wokół nadgarstka i przycisnął kolbę do ramienia. Uruchomił celownik i na plecach postaci pojawiła się czerwona kropka. Artemis kiwnął głową i służący nacisnął spust.

Prawdopodobieństwo takiego zdarzenia wynosi milion do jednego – a jednak postać pod drzewem wybrała właśnie ten moment, aby się schylić.

Coś bzyknęło nad głową Holly i zabłysło w świetle gwiazd. SKRZATka spędziła na służbie dostatecznie wiele godzin, aby się zorientować, że jest pod ostrzałem. Padła na ziemię i natychmiast zwinęła się w kłębek, aby stanowić jak najmniejszy cel.

Przetoczyła się pod osłonę dębu i wyciągnęła pistolet, równocześnie gorączkowo analizując wszystkie możliwości. Kto mógł do niej strzelać i dlaczego?

Jednak pod drzewem ktoś na nią czekał – osobnik o rozmiarach góry, ale znacznie bardziej ruchliwy.

–Niezła pukawka – nieznajomy wyszczerzył zęby w uśmiechu, chwytając dłoń Holly w kułak wielkości rzepy. Udało się jej wyrwać palce, zanim pękły niczym suche nitki spaghetti.

–Pewnie nie zechcesz poddać się bez walki? – odezwał się lodowaty głos za plecami Holly. Odwróciła się z łokciami uniesionymi do walki wręcz.

–Nie zechcesz – chłopiec westchnął teatralnie. – Tak przypuszczałem.

Holly zdobyła się na odważną minę.

–Cofnij się, człowieku. Nie wiesz, z kim masz do czynienia.

–Droga wróżko – zaśmiał się chłopiec – sądzę, że to ty się nie orientujesz.

Wróżko? Wiedział, że ona jest wróżką?

–Mam czarodziejską moc, błotny robaku. Tak wielką, że mogłabym zamienić ciebie i twego goryla w świńskie łajno.

Chłopiec przybliżył się o krok.

–Odważne słowa, panienko. Ale nieprawdziwe. Gdybyś miała moc, tak jak mówisz, już byś jej użyła. Nie, wydaje mi się, że zbyt długo obywatłaś się bez Rytuału i przybyłaś tutaj, aby odzyskać siły.

Holly oniemiała. Oto stojący przed nią człowiek beztrosko klepał o najświętszych tajemnicach Małego Ludu! To była katastrofa. Kataklizm. To mogło oznaczać koniec wielowiekowego pokoju. Z chwilą gdy ludzie uświadomią sobie istnienie subkultury wróżek, wojna stanie się tylko kwestią czasu. Gatunek ludzki zawsze wszczynał wojny. Musiała natychmiast coś zrobić, lecz miała w zanadrzu już tylko jedną broń.

Mesmeryzacja jest najniższą formą czarów i wymaga jedynie odrobiny mocy. Bywają nawet ludzie utalentowani w tym kierunku. Każda, najbardziej wyczerpana wróżka może każdemu człowiekowi zrobić całkowitą wodę z mózgu.

Holly sięgnęła do resztek mocy, zgromadzonych u podstawy jej czaszki.

–Człowieku – zaintonowała, a w jej głosie zabrzmiały basowe tony. – Twoja wola należy do mnie.

Artemis uśmiechnął się, bezpiecznie ukryty za odblaskowymi szklami.

–Wątpię – rzekł i skinął głową.

Holly poczuła, że jej kombinezon przebija strzałka, do żył zaś płynie succinylcholinowy środek nasenny na bazie chloru. W świetle, który rozpląnął się w serię baniek mydlanych w technikolorze, Holly, pomimo rozpaczliwych wysiłków, umiała się skupić tylko na jednej myśli: „Skąd wiedzieli?” Myśl owa krążyła po jej głowie jeszcze w chwili, gdy traciła przytomność. Skąd wiedzieli? Skąd wiedzieli?

Skąd wie...

Artemis dostrzegł ból w oczach wróżki, gdy wystrzelona igła pogrążyła się w jej ciele. Przez moment targnęły nim wyrzuty sumienia. Istota płci żeńskiej. Tego się nie spodziewał. Taka sama jak Julia albo mama. Ale chwila słabości minęła i znów stał się sobą.

–Dobry strzał – rzekł, pochyliwszy się, by obejrzeć więźnia. Stanowczo: dziewczyna. I do tego ładna. Choć trochę spiczasta.

–Artemisie?

–Tak?

Butler wskazywał kask, który wciąż leżał na poły zagrzebany w liściach tam, gdzie upuściła go Holly. Dobiegało zeń ciche brzęczenie.

Artemis podniósł urządzenie za pasek, szukając źródła dźwięku.

–No, proszę – powiedział.

Wyciągnął kamerę z uchwytu, skrupulatnie odwracając obiektyw od siebie.

–Elfia technologia. Imponujące- mruknął, wyjmując baterię. Kamera jęknęła i zgasła.

– Atomowe źródło zasilania, jeśli się nie mylę. Nie wolno nam lekceważyć przeciwnika.

Butler mruknął coś pod nosem i wepchnął schwytaną wróżkę do dużej torby. Jeszcze jedna rzecz, którą będzie musiał dźwigać przez dwa pola, grzędawisko i płot.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ZAGINIONA W AKCJI

Grzybowe cygaro, które palił komendant Bulwa, cuchnęło wprost niesłychanie. Kilku członków grupy Odzysku podróżujących wraz z nim wahadłowcem omal nie zemdląło z wrażenia. Nawet odór skutego kajdankami trolla wydałby się znośny w porównaniu z tym smrodem. Oczywiście, nikt w oddziale nie odważył się zwrócić szefowi uwagi; Bulwa był bardziej drażliwy niż ropny wrzód na tyłku.

Natomiast Ogierek z rozkoszą dokuczał zwierzchnikowi.

–Żadnych śmierdzących petów w tym pomieszczeniu, komendancie! – zarzął na widok Bulwy, wkraczającego do sali operacyjnej. – Komputery nie lubią dymu!

Bulwa skrzywił się, pewien, że Ogierek zmyśla, niemniej nie chciał ryzykować awarii systemu w samym środku akcji alarmowej. Zgasił niedopałek w filiżance kawy przechodzącego gremlina.

–No, Ogierek, co to niby za alarm? Lepiej, żebyś tym razem się nie mylił!

Faun miał skłonność do popadania w histerię z powodu zupełnych drobiazgów. Kiedyś uruchomił drugi stopień obrony, gdyż wyłączyły się ludzkie stacje satelitarne.

–Oj, chyba się nie mylę. Jest niedobrze. Bardzo niedobrze.

Bulwa poczuł, że wrzód na jego żołądku bulgocze niczym wulkan.

–Co się stało?

Na obrazie z Eurosatu ukazała się Irlandia.

–Straciliśmy kontakt z kapitan Niedużą – rzekł Ogierek.

–Z jakiegoś powodu wcale mnie to nie dziwi -jęknął Bulwa, kryjąc twarz w dłoniach.

–Widzieliśmy ją przez całą drogę nad Alpami.

–Nad Alpami? Poleciała trasą lądową? Ogierek przytaknął.

–Wiem, że to niezgodne z przepisami. Ale wszyscy tak robią.

Komendant zgodził się niechętnie. Któż oparłby się widokom? On sam jako nowicjusz dostał naganę właśnie z tego powodu.

–No, dobrze. Mówcie, kiedyście ją zgubili?

W rogu ekranu ukazał się podgląd z taśmy wideo.

–To nagranie z kamery na kasku Holly. Teraz przelatuje nad paryskim Disneylandem... – faun przewinął taśmę. – Teraz gada z delfinami, ple, ple, ple... Już zbliża się do wybrzeża Irlandii. Proszę popatrzeć, w kadrze widać jej radiolokator. Kapitan Nieduża szuka źródeł magicznej mocy. Lokalizacja pięćdziesiąt siedem błyska na czerwono, więc udaje się w tamtą stronę.

–Czemu nie do Tary?

–Do Tary?– parsknął Ogierek. – Podczas dzisiejszej pełni każda zhipisiała wróżka z półkuli północnej wybierze się na tańce pod Lia Fail. Włączą tyle tarcz ochronnych, że cała okolica będzie wyglądać jak zalana wodą.

–Dobra – warknął Bulwa przez zaciśnięte zęby.

–Przejdźcie do rzeczy.

–Nie ma sprawy. Spokojne uszy – Ogierek przewinął kawałek taśmy.

–Teraz mamy coś ciekawego... Gładkie lądowanie, wiesz skrzydła... zdejmuje kask...

–Wbrew przepisom – wtrącił Bulwa. – Funkcjonariuszom SKRZAT nie wolno zdejmować...

–...nie wolno zdejmować kasku na powierzchni ziemi, z wyjątkiem sytuacji, gdy rzeczony kask jest uszkodzony – dokończył Ogierek. – Tak jest, komendancie. Wszyscy wiemy, co mówi regulamin. Ale czy pan chce mi wmówić, że nigdy nie zaczerpnął świeżego powietrza po kilku godzinach lotu?

–Nie chcę – przyznał Bulwa. – A wy co? Jesteście jej aniołem stróżem, czy jak? Mówcie wreszcie, o co chodzi!

Ogierek zachichotał, zakrywając dłonią usta. Podnoszenie ciśnienia Bulwie stanowiło jedną z niewielu rozrywek w jego pracy. Nikt inny się na to nie ważył, a to dlatego, że wszystkich innych można było zastąpić.

Ale nie Ogierka. Sam jeden od zera zbudował system komputerowy, a gdy ktokolwiek poza nim próbował go uruchomić, ukryty wirus powodował natychmiastowy krach.

–A teraz najważniejsze. O, proszę. Nagle Holly rzuca kask. Pewnie upadł

obiektywem do ziemi, bo straciliśmy obraz. Ale wciąż mamy dźwięk, trochę go podkręcę.

Ogjerek wzmacnił sygnał audio i odfiltrował szum w tle.

–Niespecjalna jakość, bo mikrofon jest ukryty w kamerze, więc także wyłądował w błocie.

–Niezła pukawka – powiedział jakiś głos, wyraźnie należący do człowieka. Głos był niski, co na ogół oznaczało kogoś dużego.

–Pukawka? – Bulwa uniósł brew.

–Żargonowe określenie pistoletu.

–Aha. – Nagle do Bulwy dotarł sens tego prostego stwierdzenia. – Wyjęła broń?

–Proszę zaczekać. Robi się coraz gorzej.

–Pewnie nie zechcesz poddać się bez walki? – powiedział drugi głos. Sam jego dźwięk sprawił, że Bulwę przeszył dreszcz. – Nie zechcesz – ciągnął głos. – Tak przypuszczałem.

–Niedobrze – rzekł Bulwa. Jego twarz okryła się nietypową bladością. – To mi wygląda na zaplanowane. Te dwa zbiry zastawiły na nią zasadzkę. Jak to możliwe?

Z głośnika dobiegł głos Holly, jak zwykle zuchwałej w obliczu niebezpieczeństwa. Komendant westchnął.

Przynajmniej żyła. Jednak dalszy ciąg był jeszcze bardziej niepokojący; obie strony zaczęły sobie grozić, przy czym drugi człowiek przejawiał niezwykłą wprost znajomość elfich tajemnic,

–Wie o naszych tarczach i o Rytuale!

–Zaraz będzie najgorsze.

–Najgorsze? – Bulwie opadła szczęka.

Znów rozległ się głos Holly, tym razem stłumiony przez mesmeryzację,

–Teraz ich dopadnie – zawołał triumfalnie Bulwa. Ale nic z tego. Mesmeryzacja nie tylko okazała się nieskuteczna, lecz najwyraźniej rozśmieszyła tajemniczych napastników.

–Tu kończy się transmisja Holly – powiedział Ogjerek. – Jeden z Błotnych Ludzi

bawi się kamerą, a potem wszystko znika.

Bulwa potarł zmarszczki między oczami.

–Śladów mamy niewiele. Nic na wizji, żadnego imienia. Nie wierny nawet, czy na pewno istnieje jakieś zagrożenie,

–Chce pan dowodu? – krzyknął Ogierek, przewijając taśmę. – Pokażę panu.

Jeszcze raz uruchomił wideo.

–Teraz proszę uważnie się przyjrzeć. Puściłem to w zwolnionym tempie, jedną klatkę na sekundę.

Bulwa przybliżył twarz do ekranu, tak blisko, że rozróżniał pojedyncze piksele.

–Kapitan Nieduża schodzi do lądowania. Zdejmuje kask. Schyla się, zapewne żeby podnieść żołądź, i teraz...o!

Ogierek dźgnął palcem przycisk pauzy, zatrzymując obraz.

–Widzi pan coś niezwykłego?

Komandor poczuł, że wrzód na jego żołądku rozszalał się na dobre. W prawym górnym rogu klatki coś się pojawiło. Na pierwszy rzut oka wyglądało jak smuga światła, ale skąd pochodziło to światło lub w czym się odbijało?

–Możecie powiększyć?

–Bez trudu.

Ogierek skadrował odpowiedni fragment i powiększył go czterokrotnie. Światło wypełniło cały ekran.

–Och, nie – szepnął Bulwa.

Na monitorze widniała zastygła strzałka z igłą strzykawki na czubku. Nie było wątpliwości. Kapitan Nieduża zaginęła w akcji. Prawie na pewno już nie żyje, a przynajmniej została wzięta do niewoli przez siły wroga,

–Powiedzcie mi przynajmniej, że radiolokator jeszcze działa.

–Tak. Mocny sygnał. Porusza się na południe z prędkością osiemdziesięciu klików na godzinę.

Bulwa zamilkł na chwilę, próbując ustalić strategię działania.

–Ogłoście pełny alarm. Niech Odzysk podniesie tyłki i zamelduje się tutaj. Przygotujcie ich do wystrzelenia na górę. Chcę mieć siły taktyczne i kilku techników. Wy też się szykujcie, Ogierek. Być może przy tej operacji trzeba będzie zatrzymać czas.

–Robi się, komendancie. Chcecie włączyć do akcji SKRZAT?

–Jeszcze jak – przytaknął Bulwa.

–Wezwę kapitana Żyłę. To nasz numer jeden.

–Nie – odparł Bulwa. – Do tej roboty trzeba najlepszych. A najlepszy jestem ja. Przywracam siebie do służby.

Ogierek tak się zdumiał, że nie przyszedł mu do głowy żaden dowcipny komentarz.

–Pan... pan...

–Tak jest, Ogierek. Co się tak dziwicie? Mam na koncie więcej udanych akcji niż jakikolwiek inny oficer w historii służb. A poza tym odbyłem szkolenie zasadnicze w Irlandii. Jeszcze w czasach cylindra i knuta.

–Ależ to zdarzyło się pięćset lat temu! Już wtedy nie był pan młokosem, delikatnie mówiąc.

Bulwa uśmiechnął się złowieszczo.

–Nie martwcie się, Ogierek. W starym piecu diabeł pali. A swój podeszły wiek zrekompensuję dużym pistoletem. Dajcie mi jakąś kapsułę. Lecę na górę na następnej flarze.

Ogierek wykonał rozkaz, nie żartując ani razu. Kiedy w oku komendanta pojawiał się błysk, należało się uwijać i trzymać gębę na kłódkę. Lecz nagła uległość Ogiierka miała też inny powód. Znienacka dotarło do niego, że Holly jest w prawdziwych opałach. Fauny nie mewają zbyt wielu przyjaciół i Ogierek zaczął się obawiać, że może stracić jedną z nielicznych bliskich sobie osób.

Artemis wiedział, że elfia technika jet ogromnie rozwinięta, ale z pewnością nie oczekiwał takich skarbów, jakie ujrzał na desce rozdzielczej pojazdu terenowego.

–Imponujące – mruknął. – Gdybyśmy w tej chwili odstąpili od akcji, i tak zarobiliśmy krocie na patentach.

Przeciągnął skanerem ręcznym nad radiolokatorem nieprzytomnej SKRZATki, po czym wprowadził znaki elfów do komputerowego translatora.

–To jakiś typ urządzenia naprowadzającego. Zapewne koledzy tej wróżki już depczą nam po piętach.

–Tak szybko? – Butler przełknął ślinę ze zdenerwowania.

–Owszem. A przynajmniej nas namierzają... Nagle urwał z nieobecny wzrokiem, gdyż w jego mózgu rozpętała się kolejna elektryczna burza myśli.

–Butler?

Służący poczuł, że serce bije mu szybciej. Znal ten ton. Coś się kroilo.

–Słucham, Artemisie?

–Ten japoński statek wielorybiczny. No wiesz, ten zatrzymany przez kapitanat portu. Nadal stoi w doku?

–Tak mi się wydaje – potwierdził Butler. Artemis zakręcił radiolokatorem wokół palca.

–Doskonale. Jedźmy tam. Uważam, że przyszła pora, by pokazać naszym małym przyjaciółom, z kim mają do czynienia.

Bulwa z zastanawiającą szybkością uzyskał pieczętkę na dokumencie, potwierdzającym jego powrót do służby czynnej. Była to rzecz niezwykła u wyższych urzędników SKR – zazwyczaj każde zgłoszenie do Zadań Tajemnych rozpatrywano miesiącami w trakcie kilkunastu wstrząsająco nudnych zebrań. Na szczęście komendant nadal miał w dowództwie pewne wpływy.

Z przyjemnością przywdział mundur polowy i zdołał nawet wmówić sobie, że kombinezon nie opina go bardziej niż poprzednio. Wybrzuszenia i krągłości, przekonywał sam siebie, powstały wskutek całego tego sprzętu, który teraz upychali w mundury. Osobiście Bulwa nie miał cierpliwości do gadżetów. Interesowały go jedynie skrzydła na plecach i wielofazowy, trójlufowy, chłodzony wodą miotacz, przypięty do biodra -najpotężniejsza broń ręczna produkowana na świecie. Stary typ, ma się rozumieć, lecz niezwykle skuteczny. Bulwa, który używał go już w kilku zbrojnych starciach, znów poczuł się jak oficer służby czynnej.

Najbliżej obecnej pozycji Holly znajdował się szyb E1. Tara, bardzo uczęszczany i dlatego niezbyt nadający się na miejsce rozpoczęcia tajnego zadania. Jednak zostały tylko dwie godziny światła księżycowego i SKRZATy nie miały już czasu na przerzut naziemny. Jeżeli chciały zlikwidować zamieszanie przed wschodem słońca, szybkość stawiała się sprawą zasadniczą.

Bulwa skreślił z kolejki wycieczkę, która podobno czekała już dwa lata, i zarządził,

by dla jego grupy przygotowano wahadłowiec E1.

–Takie jest życie – warczał na przedstawicielkę biura podróży. – Co więcej, wstrzymuję wszystkie zbędne loty do chwili zakończenia obecnego kryzysu.

–A kiedy to będzie? – pisała rozsierdzona gnomka, machając notatnikiem, jakby miała zamiar złożyć skargę.

Bulwa wypluł niedopałek cygara, miażdżąc go znacząco obcasem. Symbolika tego gestu była aż nadto oczywista.

–Droga pani, szyby komunikacyjne zostaną otwarte, kiedy mnie się tak spodoba – oznajmił. – Jeśli pani fluoryzujący mundur nie zniknie mi natychmiast z oczu, odbiorę pani zezwolenie na działalność i zamknę do pudła za utrudnianie pracy SKRZAT.

Pracownica biura podróży najwyraźniej zwiotczała. Pośpiesznie wślizgnęła się do kolejki, marząc już tylko o tym, aby jej mundur nie był tak jaskrawo różowy.

Ogierek czekał przy kapsule; aczkolwiek sytuacja nie nastrajała do śmiechu, nie umiał powstrzymać rozbawienia na widok brzucha Bulwy, trzęsącego się w obcisłym kombinezonie.

–Jest pan pewien, komendancie? Na ogół do kapsuły wpuszczamy tylko jednego pasażera...

–O czym wy mówicie? – obruszył się Bulwa. – Przecież jestem sam.

Wtem zauważył wymowny wzrok Ogierka, spoczywający na jego żołądku.

–Och, ha, ha. Bardzo śmieszne. Róbcie tak dalej, Ogierek. Kiedyś was dopadnę.

Jednak, jak obaj wiedzieli, ta groźba nie miała pokrycia. Ogierek nie tylko zbudował od zera cały system komunikacji, lecz prowadził pionierskie badania nad przewidywaniem wybuchów ze środka ziemi. Gdyby nie on, ludzka myśl techniczna bez trudu doścignęłaby technologię wrózek.

Bulwa usadowił się w kapsule i zapiął uprząż. Nie dla niego pięćdziesięcioletni złom. Ta ślicznotka przed chwilą zeszła z taśmy montażowej. Srebrna i błyszcząca, miała nowoczesne, zębate stateczniki, które podobno umiały automatycznie dostosować się do strumieni magmy. Oczywiście, innowację tę wprowadził Ogierek. Od mniej więcej stulecia projektowane przezeń kapsuły cechowały się coraz bardziej futurystycznymi kształtami oraz dużą ilością gumy i neonowych świateł. Ostatnio jednak jego gusta stały się bardziej konserwatywne, a miejsce nowomodnych gadżetów zajęła skórzana tapicerka i deski rozdzielcze z orzechowego drewna. Ów staromodny wystrój wpływał na Bulwę dziwnie uspokajająco.

Ujmując drążki, nagle zdał sobie sprawę, jak wiele czasu minęło, odkąd „jechał na ogniu”. Ogierek zauważył jego niepokój.

–Niech się pan nie martwi, szefie – powiedział bez swego zwykłego cynizmu. – To jak jazda na jednorożcu. Nigdy się tego nie zapomina.

Bulwa stęknął, nieprzekonany.

–No, do roboty – mruknął. – Zanim zmienię zdanie.

Ogierek docisnął drzwi. Włączyły się ssawki, z sykiem uszczelniające właz. Twarz Bulwy widziana przez kwarcową szybkę nabrała zielonkawego odcienia. Komendant nie wyglądał już przerażająco. Wręcz przeciwnie.

Artemis postanowił poddać radiolokator niewielkiej improwizowanej rekonstrukcji. Przeróbka urządzenia tak niewielkiego bez zniszczenia jego mechanizmu stanowiła wyczyn nie lada, zwłaszcza że technologie ludzi i wróżek niewątpliwie różniły się od siebie. Spróbujcie wyobrazić sobie zabieg chirurgiczny na otwartym sercu dokonywany za pomocą młota pneumatycznego.

Pierwszy problem polegał na tym, że piekielny przyrząd nie dawał się otworzyć. Śrubki opierały się zarówno śrubokrętom zwykłym, jak i krzyżowym. Nawet żaden z sześciokątnych kluczy Artemisa nie pasował do maleńkich rowków. Myśl przyszłościowo, powiedział do siebie Artemis, myśl w kategoriach zaawansowanych technologii.

Po kilku chwilach cichego zastanowienia już wiedział. Magnetyczne wkręty! To oczywiste! Ale jak skonstruować wirowe pole magnetyczne na tylnym siedzeniu samochodu terenowego? Mógł jedynie obracać śrubki ręcznie za pomocą małego, kieszonkowego magnesu.

Wyłowiwszy magnes ze skrzynki z narzędziami, Artemis przyłożył go do maleńkich śrubek, które niebawem poruszyły się lekko pod wpływem bieguna ujemnego. Artemis zdołał je chwycić cienkimi szczypcami i wkrótce drukowana płytką radiolokatora leżała przed nim jak na dłoni.

Obwody były miniaturowe. Nigdzie ani śladu spawania. Pewnie używali spoiwa innego niż cyna. Mając więcej czasu, Artemis zapewne rozwikłałby tajniki działania urządzenia, ale na razie musiał improwizować. Uznał, że zapewne nikt nie będzie miał ochoty przyglądać się zbyt blisko. Jeżeli wróżki choć trochę przypominają ludzi, pomyślał, zobaczą to, co zechcą zobaczyć.

Podniósł okienko radiolokatora do światła. Było półprzezroczyste, lekko spolaryzowane, ale całkiem wystarczające do jego celów. Odsunął na bok pęk cieniutkich, połyskliwych drucików i umieścił w okienku miniaturowy ekranik. Za

pomocą kropli silikonu umocował obok niego nadajnik wielkości ziarnka grochu - chwyt prostacki, należało jednak wierzyć, że skuteczny. Pozbawiony odpowiedniego narzędzia nie zdołał przykręcić magnetycznych śrubek, więc do nich także użył kleju. Nie było to zbyt eleganckie, ale powinno wystarczyć, pod warunkiem, że radiolokator nie zostanie poddany uważniejszym oględzinom. A gdyby nawet? Cóż, po prostu utraciłby atut, którego na początku i tak się nie spodziewał.

Wjeżdżając do miasta, Butler zgasił długie światła. – Przed nami doki, Artemisie – rzucił przez ramię. – Gdzieś tu z pewnością kręci się ekipa urzędników cła i akcyzy.

Artemis skinął głową. Służący miał rację. Port był kwitnącym ośrodkiem nielegalnej działalności; przez ten niespełna kilometrowy odcinek wybrzeża przewijała się ponad połowa kontrabandy.

–W takim razie przeprowadź akcję dywersyjną. Potrzebuję dwóch minut.

Służący z namysłem przytaknął.

–Jak zwykle?

–Dlaczego nie. Przyłóż... Albo nie, lepiej nikomu nie przykładaj.

Artemis zamrugał. Ostatnio już po raz drugi pozwolił sobie na dowcip, tym razem na głos. Powinien uważać. To nie była pora na igraszki.

Kiedy człowiek ma paluchy jak ołowiane rurki, robienie skrętów nie należy do zadań łatwych. Ale dokerzy jakoś sobie radzili. A jeśli nawet kilka brunatnych strzępków rozsypało się na szorstkich płytach nabrzeża, to co? Mały człowiek, który dostarczał im całe pudła tytoniu, nie fatygował się, aby zwiększyć jego cenę o ustalony przez rząd podatek.

Z oczami skrytymi w cieniu czapki Butler niespiesznie podszedł do grupki mężczyzn.

–Zimna noc- powiedział.

Nikt nie zareagował. Policjanci pojawiają się w różnych postaciach i przebraniach.

Ale wielki nieznajomy nie rezygnował.

–Już chyba lepiej pracować niż wystawać godzinami w taki mróz.

Jeden z robotników, trochę słabszy na umyśle, nie umiał się powstrzymać i przytaknął. Sąsiad natychmiast szturchnął go w żebra.

–Chociaż, z drugiej strony... – ciągnął obcy – pewnie nie przepracowałyście

uczciwie ani jednego dnia w życiu? Co, dziewczyny?

Ł to pytanie pozostało bez odpowiedzi, tym razem jednak dlatego, że dokerom opadły szczęki ze zdumienia.

–Nie da się ukryć, jesteście żalosne – mówił Butler beztrąsko. – O, nie wąpię, że w czasach Wielkiego Głodu mogłybyście uchodzić za męczyzn. Ale dzisiaj wygląacie jak banda pętaków w bluzeczkach.

–Aaar...ch – wykrztusił jeden z robotników. Nic innego nie przeszło mu przez gardło.

–Aarch? Co za żalosne i bezmyślne sformułowanie. Mamusie byłyby z was dumne.

Obcy złamał tabu. Z chwilą, gdy z jego ust padło słowo „mamusie”, już nic nie mogło uchronić go przed laniem, nawet fakt, że najwyraźniej był niedorozwinięty. Choć miał bogate słownictwo.

Męczyźni rozdeptali niedopałki i półkolem otoczyli Butlera. Było ich sześciu na jednego. Wzbudzali jedynie litość. Butler dopiero zamierzał pokazać, co potrafi.

–Moje drogie panie, zanim cokolwiek się zacznie, pamiętajcie, żadnego drapania, plucia i biegania na skargę do mamy.

Ta kropla przepelniła czarę. Dokerzy zawyli i równocześnie rzucili się do ataku. Gdyby tuż przed starciem przyjrżeli się przeciwnikowi, być może dostrzegliby, że przykucnął, aby obniżyć swój środek ciężkości. Być może zauważyliby także, iż dłonie, które wyjął z kieszeni, miały wielkość i kształt łopat. Ale żaden z nich nie tracił czasu na takie drobiazgi – zbyt pochłonoło ich sprawdzanie, czy inni również biorą udział w napaści.

Istota działań dywersyjnych polega na tym, że naprawdę muszą odwracać uwagę. Muszą być prymitywne, brutalne i rzucać się w oczy – słowem, są zupełnie obce stylowi Butlera. Wolałyby użyć strzałek i zdjąć owych dżentelmenów z odległości pięciuset metrów, w najgorszym zaś razie, gdyby zaszła absolutna konieczność kontaktu, wybrałyby bezszelestną metodę szybkiego uderzenia kciukiem w splot nerwowy na karku. Ale wówczas, oczywiście, cała akcja mijałaby się z celem.

A więc Butler postąpił wbrew sobie i wrzeszcząc niczym demon, zaczął stosować najbardziej wulgarne taktyki walki wręcz. Ale taktyki owe, choć wulgarne, okazały się nader skuteczne. Owszem, być może mnich z klasztoru Shaolin potrafiłby odeprzeć niektóre z zamaszystych ciosów Butlera, lecz jego przeciwnicy nie zaliczali się do znawców – a prawdę mówiąc, nie byli nawet trzeźwi.

Pierwszego Butler powalił ciosem pięści z półobrotu. Kolejni dwaj zderzyli się

głowami, zupełnie jak w komiksie. Czwarty, ku wiecznej hańbie Butlera, poległ od zamaszystego kopnięcia. Lecz najbardziej ostentacyjną metodę służący zastosował w walce z ostatnimi dwoma. Padł mianowicie na plecy, schwycił ich za kołnierze roboczych kurtek i cisnął za siebie do wód portu dublińskiego. Nastąpił wielki plusk, a po nim straszliwe złorzeczenia. Doskonale.

W czarnym cieniu kontenera rozbłysły dwa reflektory i na płytach nabrzeża zapiszczały opony oficjalnie wyglądającego samochodu. Zgodnie z przewidywaniami, grupa czujnych celników i urzędników akcyzy zjawiała się wreszcie. Butler uśmiechnął się złowieszczo i dał nura za róg. Nim funkcjonariusze wylegitymowali się i przystąpili do czynności służbowych, znajdował się już daleko. Zresztą przesłuchania niewiele dały. Aby schwytać napastnika, nie wystarczy opis, że był „wielki jak szafa”.

Kiedy Butler dotarł do samochodu, zastał tam Artemisa, który już zrobił swoje.

–Dobra robota, przyjacielu – powiedział chłopiec. – Choć jestem pewien, że sensei, który uczył cię sztuk walki, przewraca się w grobie. Kopnięcie z obrotu? Jak mogłeś?

Powstrzymując się od komentarzy, Butler wycofał samochód z drewnianego pomostu. Nie oparł się jednak i spojrzał z wiaduktu na chaos, którego stał się przyczyną. Celnicy właśnie wyciągali przemoczonego dokera z zanieczyszczonych wód zatoki.

Zapewne istniał konkretny cel, wymagający przeprowadzenia dywersji, Butler wiedział wszakże, iż żadne pytania nie mają sensu. Jego pracodawca nie zwierzał się nikomu ze swoich zamierzeń, dopóki nie uznał, że nadeszła właściwa pora. A kiedy tak uznał, zazwyczaj miał rację.

Bulwa wysiadł z kapsuły, dygocąc na całym ciele. Za jego czasów podróż wyglądała jakoś inaczej. Chociaż, jeśli miał być szczery, zapewne było o wiele gorzej. W epoce cylindra i knuta nie istniały wymyślne polimerowe uprząże, autoodrzut ani zewnętrzne monitory. Elfy miały wówczas do dyspozycji jedynie instynkt i odrobinę czarów. Na swój sposób Bulwa nadal wolał takie metody. Nauka wyprała wszystko z magii.

Począł tunelem w stronę terminalu. Tara, jako główny ośrodek lotów pasażerskich, dysponowała prawdziwą poczekalnią i przyjmowała sześć lotów tygodniowo z samej Oazy. Rzecz jasna, turyści nie latali na flarach – zapłacili za bilet i nie lubili, kiedy nimi miotano, jeżeli oczywiście nie lecieli nielegalnie do Disneylandu.

W hali terminalu kłębił się tłum wrózek, które przyleciały obejrzeć pełnię księżyca i teraz narzekały, że loty wahadłowca zostały zawieszono. Udręczona chochliczka, oblężona przez rozwścieczone gremliny, schroniła się za kontuar biura podróży.

–Rzucanie na mnie uroku nic nie da – pisnęła rozpaczliwie. – Oto elf, którego

szukacie.

I wycelowała drżący, zielony palec prosto w nadchodzącego komendanta. Stłoczone gremliny zwróciły się w stronę Bulwy, lecz widząc trójlufowy miotacz na jego biodrze, natychmiast wykonały zwrot w tył.

Bulwa wyciągnął mikrofon spod kontuaru tak daleko, jak pozwalał mu kabel,

–Teraz słuchajcie – warknął, a jego chrapliwy głos rozległ się echem w hali lotniska.
– Mówi komendant Bulwa ze SKRZAT. Mamy na powierzchni poważny problem, więc będę wdzięczny za waszą współpracę. Po pierwsze, przestańcie jazgotać, żebym mógł usłyszeć własne myśli!

Urwał, sprawdzając, czy zebrani dostosowali się do jego życzeń.

–Po drugie, chciałbym, żebyście wszyscy wzięli wasze dziamgające dzieciaki, usiedli na ławkach i pozostali tam, póki się nie oddalę. Potem możecie robić, co chcecie – zrzędzić, napychać kałduny albo zająć się czymś, co zwykle robią cywile.

Nikt nie mógł Bulwie zarzucić poprawności politycznej. I zapewne nikt nie zamierzał.

–I chcę tu natychmiast widzieć osobnika, który odpowiada za ten bałagan!

Bulwa rzucił mikrofon z powrotem na biurko. Przeciągły wizg przesterowanego urządzenia wwiercił się w uszy wszystkich obecnych. W ułamku sekundy przy łokciu Bulwy pojawił się zasapany mieszaniec elfa z goblinem.

–Możemy w czymś pomóc, komendancie? Bulwa kiwnął głową, wpychając grube cygaro w otwór poniżej nosa.

–Otwórzcie mi bezpośrednio przejście przez ten lokal. Nie chcę, żeby celnicy lub służby graniczne zwracali mi głowę. A kiedy moi chłopcy tu dotrą, wyślijcie wszystkich pasażerów na dół.

Dyrektor lotniska przełknął ślinę.

–Wszystkich?

–Tak jest. Także personel terminalu. I zabierzcie wszystko, co da się unieść. Pełna ewakuacja. – Urwał i spojrzał wprost w fiołkowe oczy dyrektora. – To nie jest próbny alarm.

–To znaczy...

–Tak – potwierdził Bulwa, idąc rampą przeładunkową. – Błotni Ludzie dopuścili się aktu jawnej wrogości. Nikt nie wie, czym to się skończy.

Elfogoblin odprowadził wzrokiem sylwetkę Bulwy, znikającą w chmurze dymu z cygara. Akt jawnej wrogości? To mogła być wojna. Wyjął telefon komórkowy i wystukał numer swego księgowego.

–Pień? Tak, tu Nimbus. Chcę, żebyś sprzedał moje udziały w porcie lotniczym. Tak, wszystkie. Mam przeczucie, że niedługo ceny bardzo spadną.

Kapitan Holly Nieduża czuła się tak, jakby ślimak wysysał jej mózg przez ucho. Próbowwała zrozumieć, co mogło spowodować takie katusze, ale na razie jej zdolności umysłowe nie obejmowały jeszcze pamięci. Potrafiła jedynie leżeć i oddychać.

Musiała zdobyć się na jakieś słowo, coś krótkiego i rzeczowego. Pomocy! Tak będzie najlepiej, postanowiła. Zaczerpnęła drżącego oddechu i otworzyła usta.

–Oommy – zdradziecko wybełkotały jej wargi. Wszystko na nic. Nawet pijany gnom by tego nie zrozumiał.

Co się z nią właściwie działo? Leżała na wznak, pozbawiona siły niczym wilgotny korzonek. Kto mógł wyrządzić jej taką krzywdę? Skupiła uwagę, czując, że tuż-tuż czai się oślepiający ból.

Czyżby troll? Czyżby poturbował ją w restauracji? To by wiele wyjaśniało. Ale nie; miała wrażenie, że przypomina sobie stary kraj. I Rytuał. A poza tym coś uwierało ją w kostkę.

–Halo?

Głos. Nie jej. Nawet nie elfi.

–Obudziłaś się?

Jeden z języków europejskich, chyba nie z grupy łacińskiej. Angielski? A więc znajduje się w Anglii?

–Myślałam, że strzałka cię zabiła. Wnętrza Obcych są inne niż nasze. Widziałam w telewizji.

Bełkot. Wnętrza Obcych? O czym mówi to stworzenie?

–Jesteś w niezłej formie. Wyglądasz jak Muchacho Maria, ta karłowata zapaśniczka meksykańska.

Holly jęknęła. Chyba dar języków ją zawodził. Musiała sprawdzić, z jakim to szaleństwem ma do czynienia. Skupiwszy wszystkie siły w punkcie pośrodku czoła, z trudem rozwarła jedną powiekę... i natychmiast ją zamknęła. Odniosła nieodparte

wrażenie, że patrzy na nią ogromna, jasnowłosa mucha.

–Nic się nie bój – rzekła mucha. – To tylko ciemne okulary.

Tym razem Holly uniosła obie powieki. Stworzenie pukało się w srebrne oko. Nie, to nie było oko. Raczej soczewka. Lustrzana. Podobna do soczewek, jakie nosi-li tamci dwaj... Wspomnienia wróciły falą, wypełniając luki w pamięci Holly niczym wskazujące na miejsce zapadki zamka. Odprawiała Rytuał... i została uprowadzona. Przez dwóch ludzi – którzy posiadli nadzwyczajną wiedzę na temat wróżek.

–Gdzie... eee... gdzie ja jestem? – ponownie spróbowała się odezwać.

Ludzka istota zachichotała i klasnęła z zachwytu. Uwagę Holly zwróciły jej paznokcie, długie i jaskrawo pomalowane.

–Mówisz po angielsku! Ale co to za akcent? Wżyciu takiego nie słyszałam.

Holly skrzywiła się. Głos dziewczyny na wylot świdrował jej obolałą czaszkę. Uniosła rękę. Radiolokatora nie było.

–Gdzie moje rzeczy?

Dziewczyna pogroziła jej palcem niczym niegrzecznemu dziecku.

–Artemis zabrał twój pistolecik i inne zabawki, Jeszcze zrobiłabyś sobie krzywdę.

–Artemis?

–Artemis Fowl. To był jego pomysł. On ciągle ma jakieś pomysły.

Holly zamyśliła się. Artemis Fowl. Z jakiegoś powodu sam dźwięk tego nazwiska sprawił, że zadrżała. To był zły znak – intuicja wróżek jest nieomylna.

–Przyjdą mnie odbić – wychrypiała spieczonymi ustami. – Nie macie pojęcia, coście narobili.

–Masz absolutną rację – zasępiła się dziewczyna. – Ja w każdym razie w ogóle nie kumam, co się tu dzieje. Więc chyba nie ma sensu, żebyś mnie wypytywała.

Holly znów wpadła w zadumę. Gry umysłowe z tą istotą najwyraźniej miały się z celem. Jedyna nadzieja w mesmeryzacji, lecz jej moc nie przenikała przez lustrzane powierzchnie. Skąd, u licha, ludzie o tym wiedzą? Później się nad tym zastanowi; na razie musiała znaleźć sposób, by ta dziewczyna zdjęła okulary.

–Ładny z ciebie człowiek – powiedziała głosem ociekającym słodczą pochlebstwa.

–Ależ bardzo mi miło...

–Holly.

–Ależ Holly, bardzo mi miło. Kiedy w 1999 roku wygrałam konkurs na miss Buraka Cukrowego, zamieścili moje zdjęcie w miejscowej gazecie.

–Widać, że to naturalna uroda. Założę się, że masz przepiękne oczy.

–Wszyscy tak mówią – przytaknęła Julia. – Rzęsy jak sprężynki od zegarka.

–Szkoda, że nie mogę ich zobaczyć – westchnęła Holly.

–A czemuż by nie?

Palce Julii dotknęły zausznika okularów. Nagle zawahała się.

–Chyba nie powinnam...

–Dlaczego? Tylko na chwilę...

–No, nie wiem. Artemis powiedział, że mam ich nigdy nie zdejmować.

–Przecież się nie dowie.

Julia wskazała zawieszoną na ścianie kamerę.

–Och, na pewno się dowie. Artemis zawsze wszystko wie. – Nachyliła się ku wróżce.

– Czasem zdaje mi się, że on wie, co mam w głowie.

Holly zmarszczyła brew. Ten cały Artemis znów ją przechytrzył.

–No, bardzo cię proszę – powiedziała przymilnie. Tylko na chwilę. Co w tym złego?

–Pewnie nic. – Julia udała, że się zastanawia. – Chyba że chcesz mnie załatwić mesmeryzacją? Naprawdę uważasz mnie za idiotkę?

–Mam lepszy pomysł – rzekła Holly znacznie poważniejszym tonem. – Po prostu wstanę, dam ci w łeb i zdejmę ci te głupie okulary.

Julia roześmiała się z zachwytem, jakby właśnie usłyszała najzabawniejszą rzecz na świecie.

–Niezła myśl, wróżko.

–Mówię śmiertelnie poważnie, ludzka dziewczyno.

–No cóż, skoro mówisz poważnie – westchnęła Julia, sięgając delikatnym paluszkami za okulary, aby otrzeć łzę – to wyznam ci dwie rzeczy. Po pierwsze, Artemis powiedział, że dopóki jesteś w ludzkiej siedzibie, musisz robić to, co chcemy. A ja chcę, żebyś została na tej pryczy.

Holly zamknęła oczy. Znow trafili. Skąd wiedzą to wszystko?

–A po drugie – Julia ponownie wyszczerzyła zęby, co sprawiło, że zaczęła trochę przypominać swego brata – przeszłam taki sam trening jak Butler i umieram z chęcią, żeby wypróbować na kimś prawy prosty.

Zobaczymy jeszcze, ludzka kobieto, pomyślała Holly. Poczekaj, niech no tylko kapitan Nieduża odzyska pełną sprawność. A ponadto pozostawała jeszcze mała kwestia przedmiotu, który wpijał się w jej kostkę. Holly sądziła, że wie, jaki to przedmiot, a jeśli miała rację, to mogła na tym oprzeć pewien plan.

Komendant Bulwa dostroił ekran w kasku do częstotliwości radiolokatora Holly. Dotarcie do Dublina zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał. Nie był przyzwyczajony do tych skomplikowanych, nowo-modnych skrzydeł, a w dodatku zaniedbał kursy uzupełniające. Co więcej, mapa wyświetlana wewnątrz przyłbicy jego kasku prawie nakładała się na siatkę rzeczywistych dublińskich ulic. Prawie, ale nie całkiem.

–Ogierek, ty nadęty faunie – warknął w mikrofon.

–Jakiś problem, szefie? – zabręczała odpowiedź.

–Problem? Żebyś wiedział, że problem. Kiedyście ostatnio aktualizowali dane o Dublinie?

Do ucha Bulwy dobiegło mlaskanie. Najwyraźniej Ogierek właśnie spożywał obiad.

–Przepraszam, panie komendancie, tylko skończę marchewkę... Hmm, Dublin, popatrzmy... Siedemdziesiąty piąty... W tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym.

–Tak myślałem! Miasto wygląda zupełnie inaczej! Błotnym Ludziom udało się nawet zmienić zarys wybrzeża!

Ogierek zamilkł na chwilę. Bulwa ujrzał w wyobraźni, jak faun zмага się z myślami. Nie lubił, gdy ktoś mówił mu, że jego system jest nieaktualny.

–Dobra – powiedział wreszcie. – Zrobimy tak. Na satelicie telewizyjnym mamy teleskop z podglądem na Irlandię.

–Rozumiem – mruknął Bulwa, choć w zasadzie mijał się z prawdą.

–Prześle odczyt z ostatniego tygodnia pocztą elektroniczną bezpośrednio na pański ekran, sir. Na szczęście wszystkie nowe kaski są wyposażone w kartę wideo.

–Na szczęście.

–Trudność polega tylko na tym, jak skoordynować tor pańskiego lotu z przekazem wideo... Bulwa miał dość.

–Jak długo to potrwa, Ogierek?

–Ahmm... Dwie minuty, plus minus.

–Plus minus ile?

–Okolo dziesięciu lat. Oczywiście, jeżeli jestem w błędzie.

–To lepiej nie róbcie błędów. Powieszę tu sobie, dopóki tego nie sprawdzimy.

Sto dwadzieścia cztery sekundy później czarno-białe rysunki na ekranie Bulwy ustąpiły miejsca barwnym obrazom, nagrywanym w świetle dziennym, które przemieszczały się zgodnie z trasą lotu Bulwy. Na ich tle migotała czerwona kropka radiolokatora Holly.

–Robi wrażenie – rzekł Bulwa.

–Mówił pan coś, komendancie?

–Powiedziałem, że robi wrażenie! – wrzasnął Bulwa. – Tylko nie zadzierajcie nosa.

W mikrofonie rozległ się zbiorowy śmiech i komendant zdał sobie sprawę, że Ogierek transmitował ich rozmowę przez głośniki. Wszyscy słyszeli, jak chwalił pracę fauna, z którym teraz nie da się rozmawiać co najmniej przez miesiąc. Ale warto było. Miał przed sobą całkowicie aktualny przekaz. Jeżeli kapitan Niedużą przetrzymywano w jakimś budynku, komputer natychmiast udostępni mu jego trójwymiarowe plany. System działał niezawodnie. Chyba że...

–Ogierek, radiolokator oddala się na morze. Co to znaczy?

–Podejrzewalbym łódź albo statek, sir.

Bulwa zaklął. Powinien był sam na to wpaść. Na sali operacyjnej nieźle się uśmieją. Oczywiście, że statek. Bulwa obniżył lot o kilkaset metrów i ujrzał przed sobą jego sylwetkę, majaczącą we mgle. Sądząc po wyglądzie, był to statek wielorybiczny. Co prawda technika ewoluowała przez stulecia, ale gdy chciano zabić największego ssaka świata, nadal nic nie dorównywało harpunowi.

–Gdzieś na tym statku, pod pokładem, ukryta jest kapitan Nieduża. Macie coś dla mnie?

–Nic, sir. To nie jest konstrukcja lądowa. Zanim znajdziemy numer rejestracyjny tej jednostki, będzie o wiele za późno.

–A obraz termiczny?

–Nic z tego, komendancie. Kadłub ma co najmniej pięćdziesiąt lat i bardzo wysoką zawartość ołowiu. Nie da się przeniknąć nawet przez pierwszą warstwę. Obawiam się, że jest pan zdany na siebie.

–I po co wpakowaliśmy w wasz wydział te wszystkie miliony? – Bulwa pokręcił głową. – Przypomnijcie mi, żebym obciął wam budżet, kiedy wrócę.

–Tak jest, sir – zabrzmiał głos Ogierka, tym razem urażony. Faun nie lubił żartów na temat budżetu.

–Odzysk ma być w pełnej gotowości, zrozumiano? Mogą być potrzebni w każdej chwili.

–Dobrze, sir.

–Mam nadzieję. Bez odbioru.

Bulwa został sam. Prawdę mówiąc, wolał, kiedy tak było. Żadnych naukowych bajerów. Żadnych zarozumiałych faunów, rżących mu do ucha. Tylko elf, jego spryt i odrobina magii.

Nachylił polimerowe skrzydła, trzymając się obłoku mgły. Nie musiał zachowywać ostrożności; przy włączonej tarczy był niewidzialny dla oka ludzkiego. Nawet na najczulszym radarze stanowił ledwie zauważalne zakłócenie. Zszedł do poziomu burty. O tak, statek, który miał przed sobą, był paskudnym miejscem. Nieustannie zalewane krwią pokłady wciąż wydzierały woń bólu i śmierci. Umarło tu wiele dumnych stworzeń – umarło i zostało poćwiartowanych dla kilku kostek mydła i odrobiny oleju opałowego. Bulwa wzdrygnął się. Straszni barbarzyńcy ci Błotni Ludzie.

Światelko radiolokatora Holly mrugało doń ponagląco. Musiała przebywać gdzieś blisko, bardzo blisko.

Żywe – miał nadzieję Bulwa – ciało kapitan Niedużej znajdowało się mniej więcej w promieniu dwustu metrów. Pozbawiony planów komendant musiał zbadać wnętrze statku na własną rękę.

Bezszelestnie wylądował na pokładzie, a jego buty lekko przywarły do stalowej blachy pokrytej mydłem i łożem. Jednostka wyglądała na opuszczoną; na pomoście nie było wartownika, nikt nie stał na mostku, nie paliły się żadne światła. Mimo to należało zachować czujność. Nauczony gorzkim doświadczeniem Bulwa wiedział, że ludzie pojawiali się, kiedy się ich najmniej spodziewano. Kiedyś, gdy pomagał chłopcom z Odzysku zeszkrobywać wrak kapsuły ze ściany tunelu, dostrzegła ich grupa ludzi grotolazów. Ależ zrobiło się zamieszanie! Masowa histeria, błyskawiczne pościgi i wymazania pamięci. Cały repertuar. Bulwa zadrżał. Przez jedną taką noc elfy starzały się o całe dziesięciolecia.

Nadal pod osłoną tarczy schował skrzydła do pokrowca i ruszył pieszo po pokładzie. Ekran nie ukazywał żadnych form życia, ale – jak zwrócił uwagę Ogierek – kadłub zawierał wysokie stężenie ołowiu, nawet farbę wyprodukowaną na bazie tego pierwiastka. Statek stanowił pływające zagrożenie dla środowiska, a pod jego pokładem mógł się ukrywać cały oddział szturmowców, których nie wykryłby czujnik w kasku Bulwy. Wielce pocieszająca perspektywa. Ponadto nadajnik Holly jakby osłabł, a przecież impulsy wysyłała mikrobateria atomowa. Wszystko to nie podobało się

Bulwie ani trochę. Uspokój się, skarcił sam siebie. Masz tarczę. Żaden żywy człowiek nie może cię teraz zobaczyć.

Otworzył pierwszy luk. Pokrywa podniosła się z łatwością. Komendant powęszył chwilę – rzeczywiście, ludzie smarowali zawiasy wielorybim tłuszczem. Doprawdy, ich zwyrodnienie nie miało granic.

Korytarz tonął w lepkich ciemnościach, więc Bulwa włączył reflektor podczerwieni. Musiał przyznać, iż czasami technika się przydaje, ale nie zamierzał mówić tego Ogierkowi. Plątanina przewodów i kratownic, jaką ujrzał przed sobą, natychmiast rozjarzyła się niesamowitym zielonym światłem. Jednak po kilku chwilach Bulwa pożałował, iż myślał o wynalazkach fauna choćby z odrobiną uznania. Filtr podczerwieni zakłócał wyczucie odległości i komendant już dwukrotnie walnął głową o kolanka rur.

Nadal nie dostrzegał śladu życia, ani ludzkiego, ani elfiego, było tu natomiast mnóstwo zwierząt, głównie gryzoni. Dla kogoś, kto ma nieco ponad metr wzrostu, spory szczur może stanowić prawdziwe zagrożenie, zwłaszcza że szczury należą do nielicznych gatunków, widzących na wylot przez tarcze wróżek. Bulwa odpiął więc miotacz i ustawivszy go na poziom trzeci – średnio wysmażony, jak określano go w szatni męskiej -odprawił jednego ze szczurów z dymiącym zadkiem, aby stanowił przestrożę dla reszty; rana nie była groźna, po prostu nauczka, żeby nigdy już nie patrzył krzywo na wróżkę.

Przyspieszył kroku, miejsce bowiem, w którym się znajdował, idealnie nadawało się

na zasadzkę. Widoczność tu była ograniczona, a jedyne wyjście pozostało daleko za plecami. Po prostu koszmar zwiadowcy. Gdyby któryś z jego podwładnych wyciął taki numer, zostałby odesłany do drogówki. Ale rozpaczliwa sytuacja wymagała rozpaczliwych środków. Na tym polegało dowodzenie.

Idąc za sygnałem radiolokatora, Bulwa zignorował kilkoro drzwi po obu stronach korytarza. Już tylko dziesięć metrów. Korytarz zamykała stalowa grodź, po której drugiej stronie leżała kapitan Nieduża – albo jej martwe ciało.

Pchnął grodź ramieniem. Otworzyła się bez trudu. Niedobrze. Gdyby za drzwiami przetrzymywano żywą istotę, byłyby zamknięte. Przełączył miotacz na piątkę i przeszedł przez otwór. Broń w jego ręku cicho mrucała. Dysponował teraz taką mocą, że mógłby jednym strzałem obrócić dorosłego słonia w parę wodną.

Znajdował się w dużej chłodni. Ani śladu Holly bądź czegokolwiek istotnego. Ze splątanych rur zwieszały się stalaktyty, a wydychane przez Bulwę powietrze rozsnuwało się przed nim niczym lodowa chmura. Jak widziałby go człowiek? Jako oddech bez ciała?

–A- powiedział znajomy głos, – Mamy gościa. Bulwa opadł na jedno kolano, mierząc w kierunku źródła dźwięku.

–Przyszedłeś uratować zaginioną funkcjonariuszkę, jak miemam.

Komendant gwałtownie mrugnął, aby pozbyć się kropli potu, która wpadła mu do oka. Pot? Przy tej temperaturze?

–Cóż, obawiam się, że znalazłeś się w niewłaściwym miejscu.

Głos brzmiał metalicznie, jakby został sztucznie wzmocniony. Bulwa sprawdził, czy jego radiolokator wykrywa ślady życia. Nic, w każdym razie nie w tym pomieszczeniu. A jednak ktoś go obserwował. Może labirynt rur skrywał kamerę, która potrafiła przeniknąć przez tarczę elfa?

–Kim jesteś? Pokaż się – zażądał. Człowiek zachichotał. Jego śmiech rozległ się nienaturalnym echem w ogromnej ładowni.

–O, nie. Jeszcze nie, mój elfi przyjacielu. Ale już niedługo. I wierz mi, kiedy to zrobię, pożałujesz, że mnie zobaczyłeś.

Bulwa podążał za głosem. Niech człowiek nie przestaje mówić.

–Czego chcesz?

–Hmm... Czego chcę? Tego też wkrótce się dowiesz. Pośrodku ładowni znajdował

się otwór nakryty stalową siatką. Leżała na niej aktówka. Otwarta.

–Po co mnie tu ściągnąłeś? – Bulwa szturchnął aktówkę lufą miotacza. Nic się nie stało.

–Ściągnąłem cię tutaj, aby coś ci zademonstrować.

Komendant pochylił się nad otwartą teczką. Wewnątrz, ciasno owinięty folią, znajdował się płaski pakunek i trójzakresowy przekaźnik wysokiej częstotliwości. Na wierzchu leżał radiolokator Holly. Bulwa jęknął. Holly nie oddałaby dobrowolnie sprzętu, żaden oficer SKRZAT nie zrobiłby tego.

–Zademonstrować mi co, ty zboczony wariacie? Znów rozległ się lodowaty chichot.

–Moją całkowitą determinację w dążeniu do celu.

W zasadzie Bulwa w tej chwili powinien był zacząć myśleć o własnej skórze, ale wciąż zbytnio przejmował się Holly.

–Jeśli zraniłeś choćby koniuszek spiczastego ucha mojej podwładnej...

–Twojej podwładnej? Oho, proszę, mam do czynienia z kierownictwem. Jestem zaszczycony. Tym dobitniej pokażę, o co mi chodzi.

W głowie Bulwy zadźwięczał dzwonek alarmowy.

–Jak to?!

Głos, wydobywający się zza aluminiowej siatki głośnika, stał się posępny niczym zima po wojnie nuklearnej.

–Chodzi o to, mój mały elfie, że nie jestem osobą, którą można lekceważyć. A teraz, proszę, obserwuj pakiet.

Komendant posłusznie spojrział w dół. Pakiet miał nieokreślony kształt, piaski niczym krowi placek albo... Och, nie.

Pod pokrywą aktówki zapaliła się czerwona lampka.

–Leć, krasnoludku – powiedział głos. – I powiedz swoim kolegom, że kłania im się Artemis Fowl Drugi.

Obok czerwonej lampki zaczęły regularnie rozbłyskiwać zielone symbole. Bulwa widział podobne na wykładach ze spraw ludzkich w Akademii. To były... liczby. Malejące. Odliczanie!

–D'Arvit! – ryknął komendant. (Tłumaczenie tego wyrazu mija się z celem. I tak zostałyby ocenzurowane.)

Rzucił się do ucieczki korytarzem, ścigany przez drwiący głos Artemisa Fowla, który niósł się echem w metalowej rurze:

–Trzy... – mówił człowiek. – Dwa...

–D'Arvit – powtórzył zdyszany Bulwa. Tym razem korytarz wydał mu się znacznie dłuższy. Przez uchylone drzwi zamigotał skrawek rozgwieżdżonego nieba. Komendant uruchomił skrzydła. Lot w tych warunkach wymagał niezłej gimnastyki – rozpiętość skrzydeł kolibra była zaledwie odrobinę mniejsza niż szerokość korytarza.

–Jeden.

Elektroniczne skrzydła musnęły wystającą rurę, wzniecając snop iskier. Bulwa zrobił przewrót, powracając do pionu z prędkością jednego macha.

–Zero! – zawołał głos. – Bum!

W próżniowo zamkniętym pakunku uruchomił się detonator, powodując wybuch kilograma czystego semteksu. Reakcja chemiczna w ciągu nanosekundy pożarła cały tlen, rozgrzewając otoczenie do oślepiającej bieli, po czym błyskawicznie podążyła ścieżką najmniejszego oporu, czyli w ślad za komendantem Bulwą.

Komendant opuścił przyłbicę i maksymalnie zwiększył obroty. Drzwi wyjściowe miał zaledwie kilka metrów przed sobą. Chodziło tylko o to, co dotrze do nich pierwsze – elf czy ognista kula.

Ledwie zdążył – gdy wykonywał podwójną pętlę do tyłu, poczuł na plecach uderzenie eksplozji, Płomienie liznęły kombinezon, nogawki zajęły się ogniem. Nie przerywając manewru, Bulwa runął do lodowatej wody i z głośnym przekleństwem wynurzył się na powierzchnię.

Górujący nad nim statek wielorybiczny stał w płomieniach, wydzielając trujące wzyewy.

–Komendancie- odezwał się głos w mikrofonie. To Ogierek znów znalazł się w zasięgu. – Komendancie, proszę podać pańską pozycję i sytuację.

Bulwa wreszcie wyrwał się z wodnych odmętów.

–Ogierek, moja sytuacja jest taka, że szlag mnie trafia. Uruchom swoje komputery. Chcę wiedzieć wszystko o jakimś Artemisie Fowlu, i chcę to wiedzieć, zanim wrócę do bazy.

–Tak jest, komendancie, sir. Natychmiast, Żadnych dowcipów. Ogierek prawidłowo uznał,

że nie pora na żarty.

Unosząc się na wysokości trzystu metrów, Bulwa patrzył, jak płonący statek wielorybiczny ściąga jednostki ratunkowe niczym ćmy, lecące do światła. Otrzepał z łokci zwęglone nitki. Artemis Fowl, poprzysiągł sobie, zapłaci za to. Słono.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

OBLĘŻENIE

Wyciągnięty w skórzanym fotelu Artemis złożył dłonie i uśmiechnął się do siebie. Doskonale. Ta niewielka eksplozja odoczy wróżki nonszalancji. A poza tym światu ubędzie jeden statek wielorybiczny. Artemis Fowl nie lubił wielorybników. Istniały mniej kontrowersyjne metody pozyskiwania oleju i jego produktów.

Kamera otworkowa, umieszczona w radiolokatorze, sprawdziła się znakomicie. Dzięki przekazywanemu przez nią obrazowi wysokiej rozdzielczości Artemis bez trudu dostrzegł kryształki lodu, wytworzone przez oddech elfa w mroźnym powietrzu ładowni.

Spojrzał na ekran podglądu sutereny. Jego branka siedziała na prycy z głową ukrytą w dłoniach. Artemis zachmurzył się. Nie spodziewał się, że wróżka będzie wyglądać tak... tak po ludzku. Do tej chwili stanowiła tylko cel, zwierzę, które należało upolować. Ale jej widok z bliska wiele zmieniał, zwłaszcza że wyraźnie cierpiała.

Zawiesił działanie komputera i ruszył do wyjścia. Pora na małą pogawędkę z gościem. Lecz zanim jego ręka dotknęła klamki, drzwi otworzyły się z rozmachem i w progu stanęła zaróżowiona od pośpiechu Julia.

–Artemisie – wykrztusiła. – Twoja matka... Artemis poczuł w żołądku ołowiany ciężar.

–Tak?

–Mówi, że... Artemisie, ona mówi, że twój...

–Co, Julio? Na litość boską, co się dzieje?

Julia zakryła dłońmi usta, starając się opanować. Po kilku sekundach rozwarła nakrapiane lśniącym lakierem paznokcie i powiedziała przez palce:

–Chodzi o twego ojca, paniczu. Pani Fowl mówi, że Artemis senior wrócił!

Artemis gotów był przysiąc, że jego serce stanęło na ułamek sekundy. Ojciec? Wrócił? Czy to możliwe? Oczywiście, zawsze wierzył, iż ojciec wciąż żyje. Ale ostatnio, od czasu, gdy w jego mózgu wyląkł się występny plan, sprawa ojca jakby przeniosła się do głębszych pokładów myśli. Artemis poczuł, że poczucie winy skręca mu kiszki. Zrezygnował! Zrezygnował z własnego ojca!

–Widziałas go, Julio? Na własne oczy?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

–Nie, Artemisie. Tylko słyszałam głosy w sypialni. Ale ona nie chce mnie wpuścić do środka. Za żadne skarby. Nawet kiedy niosę coś gorącego do picia.

Artemis zaczął liczyć. Wrócili dopiero niecałą godzinę temu, zatem ojciec miał czas, aby prześlizgnąć się obok Julii. To mieściło się w granicach możliwości. Zerknął na zegarek, zsynchronizowany z czasem Greenwich dzięki stale aktualizowanym sygnałom radiowym. Trzecia rano. Czas uciekał. Artemis cały plan uzależniał od tego, by wróżki wykonały następny ruch jeszcze przed świtem.

Wzdrygnął się. Znowu to samo – znowu spycha na bok sprawy rodzinne. Co się z nim dzieje? Pierwszeństwo ma ojciec, a nie jakiś podejrzany sposób zdobycia pieniędzy.

Julia wciąż stała w drzwiach, patrząc nań wielkimi niebieskimi oczami. Jak zwykle czekała, aż panicz Artemis podejmie decyzję. Ale tym razem na bladej twarzy Artemisa malowało się tylko niezdecydowanie.

–No dobrze – wymamrotał w końcu. – Lepiej tam pójdę.

Odsunął dziewczynę na bok i skacząc po dwa stopnie, pobiegł do pokoju matki, mieszczącego się dwa piętra wyżej, na przerobionym poddaszu.

Przy drzwiach zawahał się. Co powie, jeżeli istotnie jego ojciec cudownym sposobem powrócił? Co zrobi? Ale zastanawianie się nad tym nie miało sensu. Nie mógł nic przewidzieć. Zapukał lekko.

–Mamo?

Nie usłyszał odpowiedzi, ale wydało mu się, że zza drzwi dobiega cichy śmiech i dźwięk ten natychmiast przeniósł go w przeszłość. Pierwotnie to pomieszczenie służyło jego rodzicom za salon. Całymi godzinami siadywali na szeszlengu, chichocząc niczym uczniaki, karmiąc gołębie lub patrząc na statki, przepływające Zatoką Dublińską. Po zaginięciu ojca Artemisa pani Angelina Fowl coraz bardziej przywiązywała się do tego pokoju, aż w końcu w ogóle przestała go opuszczać.

–Mamo? Dobrze się czujesz?

Wewnątrz rozległy się stłumione głosy i konspiracyjne szepty.

–Mamo, wchodzę.

–Poczekaj chwilę. Timmy, przestań, ty zwierzaku. Mamy gościa.

Timmy? Serce w piersi Artemisa załomotało niczym bęben. Timmy, pieśczone drobienie, jakim matka nazywała ojca. Timmy i Arty, dwóch mężczyzn w jej życiu. Nie mógł dłużej czekać. Pchnął podwójne drzwi.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, było światło. Matka zapaliła lampy – to chyba dobry znak? Artemis wiedział, gdzie siedzi, wiedział dokładnie, gdzie jej szukać. Ale nie mógł nawet spojrzeć w tamtą stronę. A jeżeli... a jeżeli...

–Tak, czym możemy służyć? Artemis odwrócił się ze wzrokiem wciąż wbitym w ziemię.

–To ja.

Matka roześmiała się swobodnie i beztrosko.

–Widzę, że to ty, papo. Nie możesz zwolnić syna nawet na jedną noc? W końcu to nasz miodowy miesiąc.

Artemis wiedział już wszystko. Szaleństwo matki pogłębiło się. *Papo?* Matka najwyraźniej wzięła Artemisa za jego własnego dziadka, który nie żył od dziesięciu lat! Powoli podniósł oczy.

Matka siedziała na szeslongu we wspaniałej sukni ślubnej, z twarzą grubo pokrytą niestarannie nałożonym makijażem. Ale nie to było najgorsze.

Naprzeciwko niej znajdowała się kukła ojca, zrobiona ze smokingu, który miał na sobie owego cudownego dnia w katedrze Christchurch czternaście lat temu. Ubranie zostało wypchane bibułą, a ponad wizytową koszulą widniała poduszka, na której namalowano szminką rysy twarzy. Wyglądało to niemal śmiesznie. Artemis zdławił łkanie, a jego nadzieje prysły niczym letnia tęcza.

–Co ty na to, papo? – powiedziała Angelina głębokim basem, poruszając poduszką niczym brzuchomówca, manipulujący kukielką. – Dasz swemu synowi wolny wieczór?

Artemis skinął głową. Cóż innego mógł zrobić?

Twarz Angeliny rozjaśniła szczera radość. Poderwała się z kanapy, ściskając nierozpoznanego syna.

–Dziękujemy ci, papo. Dziękujemy. Artemis odwzajemnił uścisk, choć miał wrażenie, że oszukuje.

–Proszę bardzo, ma... Angelino. No, muszę lecieć. Sprawy do załatwienia.

Matka spoczęła obok kukły męża.

–Tak, papo. Idź, nie martw się o nas, umiemy bawić się sami.

Artemis wyszedł, nie oglądając się. Istotnie, miał sprawy do załatwienia, na przykład musiał wymusić okup od pewnej wróżki. Nie miał czasu dla świata fantazji swojej matki.

Kapitan Holly Nieduża obejmowała głowę dłońmi. A konkretnie, jedną dłonią. Drugą, niewidoczną dla kamery, grzebała w cholewce buta. Nie zaszkodzi, myślała Holly, której umysł w rzeczywistości był kryształowo jasny, aby wrogowie nadal uważali ją za oszołomioną. Może wówczas zlekceważą jej możliwości; jeśli tak, będzie to ostatni błąd, jaki popełnią.

Palce Holly zamknęły się na przedmiocie, który uwierał ją w kostkę. Natychmiast rozpoznała znajomy kształt. Żołądz! W zamieszaniu pod dębem musiała wpaść jej do buta, a teraz stanowiła niezwykle istotny atut. Holly potrzebowała jedynie małego skrawka ziemi, aby odzyskać pełnię mocy.

Ukradkiem rozejrzała się po celi. Sądząc z wyglądu, beton był świeży. Ani jednego pęknięcia lub odprysku. Żadnego miejsca, gdzie mogłaby zakopać swoją tajemną broń. Wstała niepewnie, wypróbując nogi. Nie tak źle – trochę drżały w okolicy kolan, ale poza tym były całkiem sprawne. Podeszła do ściany, przywarła policzkiem i dłońmi do gładkiej powierzchni. Rzeczywiście, świeży beton, gdzieś tam jeszcze mokry. Najwyraźniej więzienie przygotowano specjalnie dla niej.

–Szukamy czegoś? – odezwał się głos, zimny i nieczuły.

Holly odskoczyła od ściany. Ludzki chłopiec stał niecałe dwa metry od niej. Jego oczy skrywały lustrzane okulary. Wszedł do pomieszczenia bez najmniejszego hałasu. Nadzwyczajne.

–Siądź, proszę.

Holly nie chciała sięść, proszę. Najbardziej na świecie pragnęła obezwładnić tego bezczelnego szczeniaka ciosem łokcia, dobrać się do jego żalosznej, bladej skóry. Artemis musiał dostrzec błysk w jej oczach, gdyż zapytał rozbawiony:

–Coś nam się roi, kapitan Nieduża?

W odpowiedzi Holly jedynie obnażyła zęby.

–Słuchaj, oboje doskonale zdajemy sobie sprawę z obowiązujących reguł. W moim

domu musisz stosować się do moich życzeń. To twoje zasady, nie moje. A ja, oczywiście, nie życzę sobie naruszenia mojej nietykalności cielesnej, nie chcę też, byś usiłowała opuścić budynek.

Do Holly nagle dotarło.

–Skąd znasz moje...

–Twoje nazwisko i stopień? – Artemis uśmiechnął się bezradośnie. – Skoro upierasz się, żeby nosić plaketkę...

Ręka Holly odruchowo powędrowała ku srebrnej plaketce na kombinezonie.

–Ale to jest napisane...

–Wiem, po gnomicku. Tak się składa, że dobrze władam tym językiem. Jak wszyscy w mojej organizacji.

Holly umilkła, przetrawiając tę horrendalną rewelację.

–Fowlu – powiedziała wreszcie z naciskiem. – Nie masz pojęcia, w co się pakujesz. Spotkanie naszych światów może oznaczać katastrofę.

Artemis wzruszył ramionami.

–Nie obchodzi mnie nikt z wyjątkiem mojej osoby. A mnie nic się nie stanie, możesz mi wierzyć. Teraz usiądź, proszę.

Holly usiadła, nie odrywając wzroku od młodocianego potwora.

–A cóż to za wielki plan, Fowlu? Niech zgadnę. Chodzi o panowanie nad światem?

–Jakież to melodramatyczne – zaśmiał się Artemis. – Nie, po prostu chcę bogactwa.

–Złodziej! – plunęła Holly. – Zwyczajny złodziej! Twarz Artemisa wykrzywił grymas złości, lecz natychmiast zastąpił go zwykły, szydery uśmiech.

–Owszem. Złodziej, skoro ci się tak podoba. Ale na pewno nie zwyczajny. Pierwszy na świecie złodziej międzygatunkowy.

–Pierwszy złodziej międzygatunkowy? – parsknęła kapitan Nieduża. – Błotni Ludzie okradają nas od tysięcy! Jak sądzisz, dlaczego mieszkamy pod ziemią?

–To prawda. Ale ja będę pierwszym, który odbierze skrzatom ich złoto.

Holly odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się serdecznie śmiać.

–Złoto? Złoto? Ty głupi człowieku! Naprawdę uwierzyłeś w te bzdury o garnku złota? Nie powinienieś wierzyć we wszystko, co słyszysz.

Artemis cierpliwie przyglądał się swoim paznokciom, czekając, aż paroksyzm śmiechu SKRZATki osłabnie. Kiedy wreszcie się uspokoiła, wycelował w nią palec wskazujący i oznajmił:

–Słusznie się śmiejesz, kapitan Nieduża. Przez jakiś czas rzeczywiście wierzyłem w bajdy o garnku złota na końcu tęczy, ale teraz jestem już mądrzejszy. Teraz wiem, że istnieje fundusz okupowy.

Holly z trudem zapanowała nad wyrazem twarzy.

–Jaki fundusz okupowy?

–Och, przestań. Po co te zabawy? Sama mi o nim powiedziałaś.

–Ja... ja ci powiedziałam! – zawołała Holly. – To śmieszne!

–Spójrz na swoją rękę.

Holly podwinęła prawy rękaw. Do żyły przyklejony był kawałek gazy.

–W tym miejscu wstrzyknęliśmy ci pentatol sodu. Powszechnie znany jako serum prawdy. Śpiewałaś niczym ptaszek.

Holly zrozumiała, że chłopiec mówi prawdę. Jakże inaczej by się dowiedział?

–Oszalałeś!

Artemis pobłażliwie pokiwał głową.

–Jeżeli przegram, to wszyscy uznają, że istotnie oszalałem, lecz jeśli wygram, będę geniuszem. Tak tworzy się historię.

Rzecz jasna, nie zastosował pentatolu sodu, jedynie nieszkodliwe ukłucie wystrylizowaną igłą; nie chciał przecież uszkodzić mózgu osobniczki, która dawała mu szansę na bogactwo. Ale nie mógł ujawnić, że korzysta z Księgi jako źródła informacji. Niech lepiej zakładniczka wierzy, iż zdradziła swój Lud. To obniży jej morale, przez co stanie się bardziej podatna na manipulacje intelektualne. Niemniej wybieg, jakiego użył, wytrącił go z równowagi, gdyż był niewątpliwie okrutny. Jak daleko zamierzał się posunąć w celu zdobycia złota? Nie wiedział, co więcej, sądził, że dowie się dopiero, gdy nadejdzie pora.

Holly opadła z sił, chwilowo zdruzgotana usłyszaną informacją. Wygadała się. Wyjawiała najświętsze tajemnice swego Ludu. Nawet gdyby udało jej się stąd uciec,

zostanie zesłana do jakiegoś lodowatego tunelu pod kręgiem polarnym.

–To nie koniec, Fowlu – powiedziała wreszcie. – Mamy możliwości, o których nic nie wiesz. Opisanie ich zajęłoby wiele dni.

Chłopak znów się roześmiał, co doprowadziło ją do wściekłości.

–A jak ci się zdaje, jak długo tu jesteś?

Holly jęknęła w duchu. Wiedziała już, co usłyszy.

–Kilka godzin? Artemis pokręcił głową.

–Trzy dni – skłamał. – Sześćdziesiąt godzin trzymaliśmy cię pod kroplówką... aż powiedziałaś nam wszystko, co wiesz.

Jednak czuł się winny, mówiąc te słowa. Cała zabawa wyraźnie źle działała na Holly, niszcząc jej psychikę. Czy naprawdę musiał to robić?

–Trzy dni? Mogłeś mnie zabić! Ależ z ciebie...

I właśnie fakt, że Holly zabrakło słów, sprawił, iż umysł Artemisa przeszyła straszna wątpliwość. Wróżka najwyraźniej uznała go za tak złego, że nie znalazła dlań określenia.

Tymczasem Holly wzięła się w garść.

–No, cóż, Fowlu – plunęła pogardliwie – skoro wiesz o nas tak wiele, to pewnie wiesz również, co się stanie, kiedy mnie znajdą.

–O tak, wiem – przytaknął Artemis z roztargnieniem. – Prawdę mówiąc, liczę na to.

Tym razem Holly uśmiechnęła się szeroko.

–Och, doprawdy? Powiedz mi, chłopcze, widziałeś kiedy trolla?

Po raz pierwszy tupet człowieka odrobinę się zmniejszył.

–Nie. Nigdy.

Uśmiech Holly stał się jeszcze bardziej zębaty.

–No, to zobaczysz, Fowlu. Zobaczysz. I mam nadzieję przy tym być.

Główną bazę operacyjną SKRZAT umieszczono na powierzchni, przy wylocie szybu E1. Tara.

–No i co? – zagaił Bulwa, odruchowo poklepując krasnoludzkiego sanitariusza, który smarował mu czoło maścią przeciw oparzeniom. – Zostawcie to już, zostawcie. Resztę załatwią czary.

–Z czym? – odparł Ogierek.

–Ogierek, oszczędźcie mi waszych bezczelnych uwag przynajmniej dzisiaj. Nie mam ochoty zachwycać się zdobyczami waszej kopytnej technologii. Gadajcie, coście znaleźli na tego człowieka.

Ogierek, krzywiąc się, umocował czapkę z folii między rogami i otworzył pokrywę cienkiego jak opłatek laptopa.

–Włamałem się do Interpolu. Przyznaję, że nie było to zbyt trudne. Mogliby równie dobrze rozłożyć czerwony dywanik...

–Pośpieszcie się – Bulwa zabębnił palcami o stół konferencyjny.

–Tak jest. Fowl. Dziesięciogigabajtowy plik. Na papierze to byłoby pół biblioteki.

–Obrotny facet – gwizdnął komendant.

–Cała rodzina- sprostował Ogierek. – Fowlowie od pokoleń kpią z wymiaru sprawiedliwości. Wymuszenia, przemyt, napady z bronią w rękę. W tym stuleciu głównie przestępczość zorganizowana.

–Mamy jakieś namiary?

–To akurat łatwe. Dwór Fowlów. Osiem tysięcy kilometrów kwadratowych majątku pod Dublinem. Załedwie dwadzieścia klików od miejsca naszego pobytu.

Bulwa zagryzł dolną wargę.

–Tylko dwadzieścia? To znaczy, że możemy tam dotrzeć przed brzaskiem.

–Tak jest. Uprzątnąć cały ten kram, zanim wszystko się spaskudzi w promieniach słońca.

Komendant przytaknął. Po raz pierwszy w tej sprawie coś obróciło się na ich korzyść. Wróżki od stuleci nie prowadziły działań przy naturalnym świetle. Nawet te, które żyły na powierzchni, pozostawały stworzeniami zasadniczo nocnymi. Słońce sprawiało, że ich czarodziejska moc blakła niczym stara fotografia. Gdyby z wysłaniem grupy uderzeniowej musiały czekać do następnej nocy, kto wie, jakich szkód zdążyłby narobić ten Fowl.

Istniała możliwość, że cała afera została zmontowana na użytek mediów i jutro rano

twarz kapitan Niedużej znajdzie się na okładce każdego czasopisma na świecie. Bulwa wzdrygnął się. To oznaczałoby koniec wszystkiego – chyba że Błotni Ludzie umieją już współ-egzystować z innymi gatunkami. Ale jeśli historia czegoś Bulwę nauczyła, to właśnie tego jednego – ludzie nie potrafili współżyć z nikim, nawet sami ze sobą.

–Dobrze. Wszyscy załadować broń. Lot w szyku bojowym. Otoczyć teren dworu.

W odzwie Grupa Odzysku ryknęła po wojskowemu, metalicznie chrzęszcząc i zgrzytając bronią, ile się dało.

–Ogierek, zbierzcie techników. Weźcie wahadłowiec i lećcie za nami. Zabierzcie duże tarcze – odetniemy cały teren i zyskamy trochę przestrzeni do manewru.

–Jest jedna sprawa, komendancie – zamyślił się Ogierek.

–Co? – warknął Bulwa niecierpliwie.

–Dlaczego ten człowiek powiedział nam, kim jest? Przecież musiał wiedzieć, że go znajdziemy. Bulwa wzruszył ramionami.

–Może nie taki z niego cwaniak, jak mu się zdaje.

–Nie, mam wrażenie, że nie w tym rzecz. Wręcz przeciwnie. Uważam, że on przez cały czas wyprzedza nas o krok, również teraz.

–Nie mam czasu na teorie, Ogierek. Brzask już blisko.

–I jeszcze coś...

–Czy to ważne?

–Tak sądzę.

–No?

Ogierek stuknął w klawisz laptopa i jeszcze raz przejrzał dane o Artemisie.

–Ten superprzestępca, ten król zbrodni, który wymyślił cały misterny plan...

–No, co takiego?

Ogierek podniósł wzrok, a w jego złocistych oczach zaśniło coś na kształt podziwu.

–On ma dwanaście lat. To niewiele, nawet jak na człowieka.

Bulwa sarknął i wsunął nową baterię do trójlufowe-go miotacza.

–Pewnie ogląda za dużo telewizji. Myśli, że jest Sherlockiem Holmesem.

–Raczej profesorem Moriartym – sprostował Ogierek.

–Holmes, Moriarty, co za różnica. Obaj będą wyglądali tak samo, kiedy obedrę ich ze skóry.

I wygłosivszy tę elegancką ripostę, Bulwa wzniósł się w ślad za swoją grupą w nocne niebo.

Grupa Odzysku leciała w szyku bojowym z Bulwą na czele. Zmierzali na południowy zachód, kierując się obrazem, przekazywanym na ekrany w ich kaskach. Ogierek nawet zaznaczył dwór Fowlów czerwoną kropką. Dla idiotów, mruknął do mikrofonu, akurat dość głośno, by usłyszał go komendant.

Posiadłość Fowlów rozciągała się wokół zmodernizowanego późnośredniowiecznego zamku, wzniesionego w piętnastym wieku przez lorda Hugona Fowla. Przez wieki Fowlom udało się uchronić rodową siedzibę przed zniszczeniem. Przetrwała wojny, zamieszki oraz kilka inspekcji podatkowych, więc Artemis nie zamierzał być pierwszym, który ją utraci.

Majątek otaczał pięciometrowy kamienny mur z blankami, w którym zachowały się oryginalne przejścia i wieże strażnicze. Funkcjonariusze Odzysku wylądowali tuż w obrębie umocnień i natychmiast zaczęli badać okolicę, szukając ewentualnych wrogów.

–Zająć pozycje co dwadzieścia metrów - zarządził Bulwa. – Przeczesać teren. Meldunek co sześćdziesiąt sekund. Jasne?

Grupa przytaknęła. Jasne, że jasne. W końcu byli zawodowcami.

Porucznik Pałka, dowódca grupy Odzysku, podążył za Bulwą na wieżę strażniczą.

–Wiesz, co robić, Juliuszu?

Obaj studiowali razem w Akademii i wychowali się w tym samym tunelu. Pałka był jednym z pięciorga elfów, którzy zwracali się do Bulwy po imieniu.

–Wiem, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić -odparł komendant.

–Wysadzić cały interes w powietrze.

–A to ci niespodzianka.

–Tak będzie najczyściej. Jedna płukanka i po kłopotcie. Minimalne straty.

„Płukanka” stanowiła żargonowe określenie straszliwej bomby biologicznej, której SKRZAT używał niezwykle rzadko. Odznaczała się tą niezwykłą zaletą, że niszczyła tylko żywą tkankę. Krajobraz pozostawał niezmienny.

–Tak się składa, że wśród owych „minimalnych strat”, o których mówisz, jest moja podwładna.

–A, tak – cmoknął Pałka. – Kobieta w SKRZAT. Przyjęta na próbę. No cóż, nie sądzę, żebyś miał problemy z uzasadnieniem rozwiązania taktycznego.

Oblicze Bulwy nabrało znajomego, fioletowego odcienia.

–Najlepiej zrobisz, jak zejdziesz mi z oczu, bo inaczej będę zmuszony spuścić płukankę prosto w bagno, które nazywasz swoim mózgiem!

–Obelgi niczego nie zmieniają, Juliuszu – rzekł niewzruszony Pałka. – Wiesz, co mówi Księża. Pod żadnym pozorem nie wolno nam dopuścić do ujawnienia Sił Krasnoludzkich. Masz do dyspozycji jedno zatrzymanie czasu, a potem...

Porucznik nie dokończył wypowiedzi. Nie musiał.

–Wiem, co mówi Księża – odciął się Bulwa. – Po prostu wolałbym, żebyś nie przejawiał takiej beztroski.

Gdybym cię nie znał, powiedziałbym, że w twoich żyłach płynie ludzka krew.

–Wypraszam sobie – nadał się Pałka. – Wykonuję po prostu swoją pracę.

–No dobrze, przepraszam – ustąpił komendant.

Rzadko kto słyszał to słowo z ust Bulwy, ale tym razem komendant rzeczywiście bardzo obraził rozmówcę.

Butler siedział przy monitorach.

–Jest coś? – zapytał Artemis.

Służący aż podskoczył; nie słyszał, kiedy jego miody pan wszedł do pokoju.

–Nie, nic. Raz czy drugi wydawało mi się, że widzę jakiś błysk, ale okazało się, że to nic takiego.

–Nic to nic – oznajmił Artemis zagadkowo. – Skorzystaj z nowej kamery.

Butler skinął głową. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu panicz Fowl nabył przez Internet kamerę filmową – dwa tysiące klatek na sekundę, najnowszy produkt Industrial Light and Magic, przeznaczony do kręcenia filmów przyrodniczych, skrzydeł kolibra i temu podobnych, przetwarzający obrazy wielokrotnie szybciej niż ludzkie oko. Została zainstalowana za cherubinkiem nad głównym wejściem.

Służący uruchomił konsolę.

–Gdzie?

–Spróbuj w alei. Mam przeczucie, że nasi goście są już w drodze.

Masywne palce służącego z trudem manipulowały joystickiem wielkości wykałaczki. Na monitorze ukazał się obraz na żywo.

–Nic- mruknął Butler. – Cicho jak w grobowcu. Artemis puknął w konsolę.

–Zatrzymaj obraz.

Butler omal nie zakwestionował polecenia. Omal. Jednak w ostatniej chwili ugryzł się w język i nacisnął klawisz. Kwiaty wiśni na ekranie zamarły, schwytane w locie. Ale, co ważniejsze, zatrzymały się także czarne sylwetki, które nagle pojawiły się w alei.

–Co to? – zawołał Butler. – Skąd oni się tu wzięli?

–Mają tarcze osłonowe – wyjaśnił Artemis. – Wibrują z ogromną częstotliwością. Zbyt szybko dla ludzkiego oka...

–...ale nie dla kamery – dokończył Butler. Panicz Artemis zawsze wyprzedzał wszystkich o dwa kroki. – Gdybym tylko mógł ją wziąć ze sobą...

–Gdyby... Ale mamy tutaj coś prawie równie dobrego.

Artemis ostrożnie podniósł ze stołu roboczego resztki słuchawek Holly. Każda próba wtłoczenia głowy Butlera w oryginalny elfi kask z pewnością przypominałaby wpychanie ziemniaka w naporstek, toteż z pierwotnego wyposażenia została tylko przyłbica i przyciski kontrolne, do których Artemis przymocował paski od zwykłego hełmu roboczego.

–To urządzenie ma kilka filtrów. Logika wskazuje, że jeden z nich musi działać przeciwtarczowo. Spróbujmy, dobrze? – rzeki, umieszczając resztki kasku na uszach Butlera. – Przy twoim rozstawie oczu nie zobaczysz wszystkiego, ale to nie powinno zanadto przeszkadzać. Uruchom kamerę.

Butler obserwował ekran przyłbicy, podczas gdy Artemis umieszczał na obiektywie kamery kolejne filtry.

–Teraz?

–Nic.

–A teraz?

–Wszystko czerwone. Ultrafiolet. Wrózek nie widać.

–A ten?

–Nic. To chyba szkło spolaryzowane.

–To już ostatni.

Butler uśmiechnął się niczym rekin na widok gołego zadka.

–Mamy ich!

Zobaczył świat, jakim był naprawdę, a w nim grupę Odzysku, przeczesującą aleję.

–Hmm – rzekł Artemis. – Wariacje stroboskopowe, jak mi się wydaje. Bardzo wysoka częstotliwość.

–Widzę – zażartował Butler.

–Dosłownie czy w przenośni?– uśmiechnął się jego pracodawca.

–Wyraźnie.

Artemis otrząsnął się. Znowu dowcipy? Jak tak dalej pójdzie, niedługo włoży błazeńskie buty i zacznie fikać koziółki w głównym holu.

–Doskonale, Butler. Czas, żebyś zajął się tym, co robisz najlepiej. Na naszym terenie są intruzi.

Butler wstał. Nie potrzebował dalszych instrukcji. Zacisnął paski kasku i ciężkimi krokami ruszył ku drzwiom.

–Ale, Butler...

–Tak, Artemisie?

–Wolałbym, żebyś ich wystraszył, nie zabił. W miarę możliwości.

Butler skinął głową. W miarę możliwości.

Członkowie pierwszej grupy Odzysku należeli do najlepszych i najszybszych. Każda mała wróżka marzyła o tym, by pewnego dnia, kiedy dorośnie, przywdziać czarny maskujący kombinezon komandosów. Oddział ten należał do elity, której drugie imię brzmiało „kłopot”.

Kapitan Wodorost wręcz nosił imię Kłopot. Otrzymał je na swoje wyraźne życzenie z okazji osiągnięcia dojrzałości, zaraz po tym, jak przyjęto go do Akademii. Obecnie prowadził swój oddział aleją, zajmując zwykłą pozycję na czele szyku, chciał bowiem pierwszy ruszyć do boju – oczywiście, jeżeli w ogóle miał nastąpić jakiś bój, czego Wodorost gorąco pragnął.

–Meldujcie – szepnął do mikrofonu, który zwisał mu z kasku niczym wąż.

–Jedynka nic.

–Dwójka nic, panie kapitanie. – Kłopot? Zero.

Wodorost aż drgnął.

–Przypominam, kapralu, że jesteśmy w terenie, więc postępujcie zgodnie z procedurą.

–Ale mamusia mówiła...

–Kapralu, nie obchodzi mnie, co mówiła mamusia! Szarża to szarża! Będziecie się do mnie zwracać „kapitanie Wodorost”!

–Tak jest, kapitanie – nadąsał się kapral. – Ale nie prosź mnie więcej, żebym prasował ci mundur.

Kłopot odłączył resztę grupy i wysterował odbiór na kanał swego brata.

–Przestań w kółko gadać o mamusi, dobra? I o prasowaniu. Bierzesz udział w tym zadaniu tylko dlatego, że o to prosiłem! Zachowuj się jak zawodowiec albo wracaj poza granicę posiadłości!

–Jasne, Kłopot!

–Kłopot! – wrzasnął kapitan Wodorost. – Mam na imię Kłopot! Nie Kłop, nie Kłopotek, tylko Kłopot! Dobra?

–Dobra, Kłopot. Mamusia miała rację. Straszny dzidzius z ciebie.

Przeklinając w sposób nader niezawodowy, kapitan Wodorost przełączył się z

powrotem na kanał ogólny i zdążył jeszcze usłyszeć niezwykły dźwięk:

–Arrk,

–Co to było?

–Gdzie?

–Nie wiem.

–Nic, kapitanie.

Ale Kłopot, który przed egzaminem na kapitana musiał zaliczyć kurs rozpoznawania dźwięków, był prawie pewien, że odgłos *Arrk* wydał ktoś, komu właśnie zadano cios w tchawicę. Zapewne jego brat wlaź na jakiś krzak.

–Pędrak? Wszystko w porządku?

–Dla ciebie kapral Pędrak. Wodorost mściwie kopnął stokrotkę.

–Meldować się po kolei.

–Jedynka, okej.

–Dwa, w porządku.

–Trzy, znudzony, ale żywy.

–Pięć, zbliżam się do zachodniego skrzydła. Wodorost zamarł.

–Czekajcie. Cztery? Cztery, jesteś tam? Co się dzieje?

W słuchawkach rozlegał się jedynie szum.

–Uwaga. Czwórka nie odpowiada. Pewnie to tylko awaria sprzętu. Ale nie możemy ryzykować. Przegrupować się przy głównej bramie.

Grupa Odzysku skradała się przed siebie, robiąc mniej hałasu niż larwa jedwabnika. Wodorost szybko ocenił stan osobowy. Jedenastu, czyli brakuje jednego. Czwórka zapewne błąka się między krzakami róż, zastanawiając się, czemu nikt się doń nie odzywa.

Lecz nagle Wodorost zauważył dwie rzeczy – po pierwsze, z krzaków przy bramie wystawały dwa czarne buty, po drugie, w drzwiach stał potężny człowiek. W zgięciu łokcia trzymał szkaradny pistolet maszynowy.

–Cisza – szepnął Wodorost i jedenaście przyłbic natychmiast opadło na twarze, tłumiąc wszelkie rozmowy i westchnienia.

–Słuchajcie, tylko bez paniki. Chyba rozumiem, co się stało. Czwórka czał się pod drzwiami, kiedy Błotny Człowiek je otworzył, oberwał cios w czerep i wylądował w krzakach. Nie ma sprawy. Nikt nas nie widzi. Powtarzam, jesteście niewidzialni. Więc niech was nie świerzbią palce. Pędrak... Przepraszam, kapralu Wodorost, sprawdźcie stan Czwórki. Reszta odsunąć się i milczeć.

Członkowie grupy cofnęli się ostrożnie, stając na krawędzi wypieczzonego trawnika. Postać przed nimi zaiste wyglądała imponująco – był to największy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkali.

–D'Arvit – jęknął Dwójka.

–Cisza radiowa! – rozkazał Wodorost. – Przeklinanie to nie powód, żeby gadać.

Jednakże Kłopot w duchu podzielał uczucia Dwójki. Przy takich okazjach cieszył się, że jest wyposażony w tarczę. Potężne pięści tego człowieka mogłyby zmiażdżyć pół tuzina wrózek.

Pędrak wrócił na miejsce.

–Stan Czwórki stabilny. Chyba ma wstrząs mózgu. Ale poza tym w porządku. Tylko jego tarcza nie działa, więc wepchnąłem go w krzaki.

–Dobra robota, kapralu. Świetna myśl... Brakowało tylko, żeby ktoś zauważył buty Czwórki!

Człowiek spokojnie ruszył ścieżką. Być może rozglądał się na boki, ale tego skrzaty nie dostrzegły, gdyż jego głowę okrywał kaptur. Swoją drogą, dziwne, że ktoś chodzi w kapturze w taką piękną noc.

–Odbezpieczyć – zarządził Wodorost.

Wyobraził sobie, jak jego ludzie, zniecierpliwieni, przewracają oczami. Przecież odbezpieczyli broń już pół godziny temu! Niemniej musiał postępować według regulaminu. Nigdy nie wiadomo, czy nie dojdzie do rozprawy sądowej. Minęły już czasy, kiedy Odzysk najpierw strzelał, a później odpowiadał na pytania. Teraz zawsze się znalazł jakiś cywil, który jazgotał coś o prawach człowieka. Nawet dla ludzi, proszę ja was.

Człowiek góra zatrzymał się w samym środku grupy. Można wręcz rzec, iż z punktu widzenia taktyki zajął doskonałą pozycję, zupełnie jakby ich widział. Nie mogli użyć przeciw niemu broni, gdyż wówczas sami ponieśliby ogromne straty. Co za

szczęście, że cała grupa – z wyjątkiem Czwórki, bezpiecznie ukrytego w krzakach rododendronu – pozostawała niewidzialna.

–Elektryczne pałki. Naładować.

Na wszelki wypadek. Ostrożność nie zawadzi.

I właśnie w chwili, gdy funkcjonariusze SKR grzebali przy kaburach, aby zmienić broń, Błotny Człowiek przemówił.

–Dobry wieczór panom – rzekł, odrzucając kaptur. Dziwne, pomyślał Kłopot, wygląda prawie jakby... Wtem ujrzał prowizoryczne gogle.

–Kryć się! – wrzasnął. – Kryć się! Ale było już za późno. Nie mieli wyjścia, musieli walczyć. A to, niestety, nie było żadne wyjście.

Z parapetu Butler mógł ich wystrzelać jak kaczki, używając strzelby łowcy słoni. Ale plan był inny. Tu chodziło o to, żeby zrobić wrażenie. Coś przekazać. Każda policja świata przed przystąpieniem do negocjacji standardowo wysyła najpierw w bój mięso armatnie, niemal oczekując oporu, więc Butler z przyjemnością się dostosował.

Wyjrzał przez skrzynkę na listy i – o szczęśny przypadku! – zobaczył parę oczu w goglach, patrzących wprost na niego. Zbieg okoliczności był zbyt korzystny, aby go zlekceważyć.

–Pora spać! – zawołał Butler, otwierając drzwi jednym pchnięciem mocarnego ramienia. Odrzucony o kilka metrów elf wylądował wśród zarośli. Julia, która uwielbiała rododendrony, zapewne byłaby niepokieszona. Jeden załatwiony.

Naciągnął na głowę spiczasty kaptur i wyszedł na ganek. No proszę, elfy zbliżyły się ku niemu w szyku bojowym niczym eskadra statków kosmicznych. Gdyby nie budząca respekt broń, jaką każdy z nich nosił u pasa, wyglądałyby niemal komicznie.

Ruszył w ich stronę, od niechcienia wsunąwszy palec pod zabezpieczenie spustu. Głowy napastników zwrócone były ku krępemu elfowi z prawej strony, skąd należało wnosić, iż to on pełni obowiązki dowódcy. Teraz też wydał jakiś rozkaz, gdyż członkowie oddziału odłożyli broń palną i sięgnęli po pałki do walki wręcz. To miało sens – strzelając z miotaczy, posiekaliby się wzajemnie na kawałki. Czas podjąć zdecydowane kroki.

–Dobry wieczór panom – powiedział Butler. Nie mógł się oprzeć, by tego nie powiedzieć, aczkolwiek wiedział, że nie powinien. Jednakże owa chwila konsternacji przeciwnika wynagrodziła mu zwłokę. W następnej chwili otworzył ogień.

Pierwszą ofiarą był kapitan Wodorost, ugodzony w szyję strzałką z tytanowym

grotem. Strzałka bez trudu przebiła kombinezon i Kłopot z wolna osunął się na ziemię, jakby powietrze wokół niego zamieniło się w wodę. Zanim elfy zorientowały się w sytuacji, straciły jeszcze dwóch funkcjonariuszy.

To musi być niezły szok, pomyślał Butler bez emocji, kiedy się traci przewagę, posiadaną od wieków.

Niedobitki pierwszej grupy Odzysku zdążyły już uzbroić elektryczne pałki. Ale czekając na rozkaz, który nie nadchodził, funkcjonariusze popełnili błąd. Butler postanowił zatem skorzystać z okazji – której wcale nie potrzebował – i zaatakować z bliska.

Jednak zawahał się przed użyciem siły. Te istoty były takie małe. Jak dzieci. Lecz wówczas Pędrak smagnął go pałką po łokciu i pierś Butlera przeszyły tysiące woltów. Natychmiast stracił całą sympatię, jaką żywił dla Małego Ludu. Chwycił pałkę winowajcy i miotnął jej właścicielem niczym cepem. Znienacka uwolniony Pędrak pisnął głośno i z całym impetem zderzył się z trzema kolegami. Butler z rozmachem natarł na dwa kolejne elfy, podczas gdy trzeci, uczepiony jego pleców, zawzięcie raził go patką. Butler rzucił się na wznak, coś trzasnęło i dżganie ustało.

Nagle poczuł lufę pod brodą. Jednemu z funkcjonariuszy Odzysku udało się wreszcie odbezpieczyć broń.

–Ani się waż, Błotny Chłoptasiu – zabręczał głos przepuszczony przez filtr kasku. Broń wyglądała pokaźnie, a wzdłuż jej lufy bulgotał płyn chłodzący. – Daj mi tylko pretekst.

Butler westchnął. Rasa niby inna, ale stereotypowe odżywki twardzieli – identyczne. Od niechcienia zdzielił elfa otwartą dłonią. Nieszczęsny, pewnie odniósł wrażenie, że niebo zważyło mu się na głowę.

–Taki pretekst ci wystarczy?

Podniósł się na równe nogi. Dokoła wały się ciała elfów w różnych stadiach szoku i nieprzytomności. Z pewnością wystraszone, raczej nie zabite. Zadanie zostało wykonane.

Jeden z małych ludzi chyba udawał, jego kolana bowiem zanadto się trzęsły. Butler złapał go za szyję, z łatwością obejmując ją kciukiem i palcem wskazującym.

–Jak się nazywasz?

–P... Pędrak – wyjąkał Pędrak. – To znaczy kapral Wodorost.

–No cóż, kapralu. Przekażcie swemu dowódcy, że kiedy następnym razem zobaczę

tu uzbrojony oddział, zdejmę was po jednym niczym strzelec wyborowy. I nie będę używał strzałek, lecz pocisków przeciwpancernych.

–Tak jest, sir. Strzelec wyborowy. Jasne. W porządku, sir.

–Dobrze. Możecie zabrać swoich rannych.

–To bardzo wielkoduszne z pana strony.

–Ale niech mi jakiś sanitariusz choćby błysnie bronią, a niewykluczone, że nie zdołam się powstrzymać i zdetonuję kilka min przeciwpiechotnych, które położyłem na terenie posiadłości.

Pędrak przełknął nerwowo ślinę, a jego okryta przyłbicą bladość wyraźnie się pogłębiła.

–Sanitariusze bez broni. Jasne, sir. Butler postawił elfa na ziemi, gładząc jego mundur potężnymi palcami.

–A teraz ostatnia sprawa. Słuchacie uważnie? Pędrak potwierdził skwapliwie.

–Chcę negocjatora. Kogoś, kto może podejmować decyzje. Nie jakiegoś łachmytę, który będzie biegał do sztabu po każdym żądaniu. Zrozumiano?

–Oczywiście. To znaczy, oczywiście, mam nadzieję, że to się da załatwić. Ale niestety ja jestem właśnie takim łachmytą. Więc, rozumie pan, właściwie nie mogę nic zagwarantować...

Butler miał wielką ochotę posłać tego kurdupla kopniakiem do jego obozu.

–Doskonale. Rozumiem. A teraz... zamknąć się! Pędrak w ostatniej chwili powstrzymał się od przytaknięcia.

–Dobrze. Przed odejściem złożcie na stos wszystkie kaski i całą broń.

Pędrak odetchnął głęboko. No cóż, jeśli ma umrzeć, zrobi to jak bohater.

–Tego nie mogę zrobić.

–Doprawdy? A to dlaczego? Elf wyprostował się.

–Funkcjonariusz SKRZAT nigdy nie składa broni.

–Niech będzie – kiwnął głową Butler. – Nigdy nie szkodzi zapytać. No, to lećcie.

Nie wierząc własnemu szczęściu, Pędrak pognał do dowództwa na wieży. Był

Jedynym elfem ocalałym na polu walki. Jego brat Kłopot, charcząc, leżał na pokrytej żwirem alejce, ale on, Pędrak Wodorost, stawiał czoło Błotnemu Potworowi. Niech no tylko mama się o tym dowie.

Holly przycupnęła na krawędzi pryczy z palcami zaciśniętymi na metalowej ramie. Uniosła ją powoli i przez chwilę sądziła, że z wysiłku łokcie wyskoczą jej ze stawów. Przytrzymała łożko w górze, po czym z całej siły gruchnęła nim o podłogę. Wokół jej kolan wzbił się wysoce zadowolający obłok pyłu i gruzu.

–Świetnie – mruknęła.

Spojrzała w kamerę. Bez wątpienia ją obserwowali. Nie miała czasu do stracenia. Rozprostowała palce, po czym jęła powtarzać manewr raz za razem, aż rama odcisnęła na jej dłoniach czerwone pręgi. Jednakże za każdym uderzeniem ze świeżo wylanej betonowej posadzki pryskało coraz więcej okruchów.

Po kilku chwilach drzwi celi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła Julia.

–Co robisz? – zawołała, dysząc. – Chcesz, żeby dom się zawalił?

–Jestem głodna! – wrzasnęła Holly. – Mam dosyć machania do tej głupiej kamery! Nie karmicie tu więźniów? Dajcie mi coś do jedzenia!

Julia zacisnęła pięści. Artemis uprzedził ją, że powinna być grzeczna, ale wszystko miało swoje granice.

–Nie ma potrzeby się tak wkurz... albo coś tam. Co wy wróżki jecie?

–Masz delfina? – zapytała Holly sarkastycznie.

–Ty zwierzaku! – wzdrygnęła się Julia.

–No, to mogą być owoce. Albo warzywa. Tylko umyj porządnie. Nie chcę, żeby wasze chemiczne trucizny dostały mi się do krwi.

–Ha, ha, ale z ciebie kupa śmiechu. Nie martw się, wszystkie warzywa uprawiamy na miejscu, ekologicznie. – Julia zatrzymała się z ręką na drzwiach. – I nie zapominaj, jakie są zasady. Nie próbuj uciekać z domu. Nie ma też potrzeby rozbijać mebli. Nie zmuszaj mnie, żebym zademonstrowała ci pełnego nelsona.

Kiedy kroki Julii ucichły, Holly znów zaczęła walić pryczą w podłogę. Zobowiązania nakładane na wróżki na tym właśnie polegały – należało je formułować, patrząc prosto w oczy, ponadto musiały być niezwykle dokładne. Żeby powstrzymać elfa przed zrobieniem czegoś, nie wystarczyło mu po prostu oznajmić, że nie ma potrzeby, aby to robił. A poza tym Holly wcale nie zamierzała uciekać z domu. Co

jednak nie oznaczało, że nie miała zamiaru wydostać się z celi.

Artemis spojrzął na monitor, połączony z kamerą, zainstalowaną w sypialni Angeliny Fowl. Nareszcie znalazł chwilę, by sprawdzić, co się dzieje na poddaszu matki. Czasem gryzł się myślą, że umieścił kamerę w jej pokoju, prawie tak, jakby ją szpiegował. Ale zrobił to dla jej dobra; istniało niebezpieczeństwo, że matka wyrządzi sobie krzywdę. W tej chwili błogo spała, zażywszy tabletkę nasenną, którą Julia zostawiła jej na tacy. Wszystko to stanowiło część planu – tak się składało, że niezwykle istotną część.

Do sterowni, pocierając kark, wszedł Butler z naręczem sprzętu wróżek.

–Cwane małe skurczybyki.

Artemis odwrócił wzrok od monitorów.

–Jakieś problemy?

–Nic wielkiego. Ale te elektryczne pałeczki mają niezłego kopa. Jak tam nasza uwięziona?

–Świetnie. Julia robi jej coś do jedzenia. Obawiam się jednak, że kapitan Nieduża zaczyna trochę wariować w zaniknięciu.

Na ekranie Holly wciąż waliła pryczą o beton.

–To zrozumiałe – powiedział służący. – Ależ musi być sfrustrowana. Nie może wykopać tunelu na zewnątrz.

–Nie – uśmiechnął się Artemis. – Cały dwór stoi na podłożu z wapienia. Nawet krasnal by się nie podkopał.

Błąd. Duży błąd. Punkt zwrotny w planie Artemisa Fowla.

W Siłach Krasnoludzkiego Reagowania obowiązywały konkretne procedury. Rzeczywiście, nie uwzględniały one sytuacji, kiedy pojedynczy nieprzyjaciel spuszcza lanie całej grupie Odzysku. Ale to oznaczało jedynie, że czym prędzej należy podjąć stosowne kroki – zwłaszcza że niebo na wschodzie nabrało już lekko pomarańczowego odcienia.

–Jedziemy? – ryknął Bulwa w mikrofon, który odbierał przecież najmniejszy szept.

Jedziemy, dobre sobie, pomyślał Ogierek, podłączając ostatnią antenę satelitarną na wieży kontrolnej. Zupacy i ich powiedzonka. Gotowi do jazdy, ładuj i odbezpiecz, nie wiem, ale mam takie rozkazy. Kompletny brak pewności siebie.

–Nie ma potrzeby krzyczeć, komendancie – powiedział głośno. – Ten sprzęt zarejestruje drapanie pająka na Madagaskarze.

–I co, na Madagaskarze drapie się jakiś pająk?

–No... nie wiem. One chyba nie umieją...

–To nie zmieniajcie tematu, Ogierek, i odpowiadajcie na pytania!

Faun wykrzywił się do mikrofonu; komendant traktował wszystko tak dosłownie. Wpiął modemowy kabel anteny do swojego laptopa.

–Tak jest. Je... jedziemy.

–Najwyższa pora. Dobra, włączaj.

Po raz trzeci w ciągu trzech minut Ogierek zgrzytnął końskimi zębami. To doprawdy typowe, że nikt tutaj nie docenia jego geniuszu. Włączaj, ładne rzeczy. Bulwie po prostu nie mieści się w czaszce, co on, Ogierek, próbuje zrobić.

Zatrzymanie czasu nie polegało na zwykłym naciśnięciu guzika; na tę operację składała się cała seria subtelnych czynności, które należało wykonać z najwyższą dokładnością. Inaczej strefa zatrzymania mogła w okamgnieniu obrócić się w kupkę popiołu i odpadów radioaktywnych.

Oczywiście, wróżki zatrzymywały czas od tysiącleci, ale w dzisiejszej dobie komunikacji satelitarnej i Internetu ludzie mogli zauważyć, że jakiś obszar wypadł z czasu na kilka godzin. W dawnych epokach, kiedy zatrzymywano czas w całych krajach, Błotni Ludzie po prostu myśleli, że bogowie się gniewają. Ale nie dzisiaj. Teraz ludzie mieli narzędzia do pomiaru wszystkiego, więc jeśli wróżki manipulowały przy czasie, musiały wykazać staranność i precyzję.

Niegdyś pięciu wojowników elfów ustawiało się w pięciokąt wokół docelowego obszaru i rozpościerało nad nim magiczną tarczę, która chwilowo wstrzymywała bieg czasu w zaczarowanej strefie. I wszystko szło bardzo dobrze, pod warunkiem, że żaden z nich nie musiał akurat iść do toalety. Niejedno obłężenie poniosło klęskę, bo jakiś elf wypił o kieliszek za dużo. Ponadto wojownicy szybko się męczyli i bolały ich ramiona. Nawet kiedy mieli dobry dzień, wytrzymywali najwyżej półtorej godziny, na co w ogóle szkoda zachodu.

To Ogierek wpadł na pomysł, aby zmechanizować całe przedsięwzięcie. Kazał wojownikom oddziaływać na baterie litowe, po czym wokół wyznaczonego obszaru ustawiał sieć anten odbiorczych. Proste? Bynajmniej. Ale stanowczo opłacalne. Po pierwsze, znikły wahania natężenia – baterie nie popisywały się przed sobą nawzajem. Po drugie, można było dokładnie obliczyć potrzebną moc, a także

przedłużyć obłączenie nawet do ośmiu godzin.

Tak się złożyło, że majątek Fowlów, odosobniony i mający wyraźne granice, stanowił doskonały cel tej operacji. Do licha, miał nawet wysokie wieże, na których bez trudu dało się ustawić talerze anten. Prawie tak, jakby Artemis chciał, aby zatrzymano czas... Palec Ogierka zatrzymał się nad przyciskiem. Możliwe, że... W końcu ten dzieciak przez cały czas wyprzedza ich o krok...

–Komendancie?

–Już włączyłeś?

–Nie całkiem. Coś tu nie gra...

Odpowiedź Bulwy prawie zdmuchnęła słuchawki z głowy Ogierka.

–Nie, Ogierek! Wszystko gra! Żadnych wspaniałych pomysłów, dziękuję bardzo! Chodzi o życie kapitan Niedużej, więc naciskaj guzik albo wejdę na wieżę i rozbiję o niego twój nos!

–Jaki wrażliwy – mruknął Ogierek i nacisnął przycisk.

Porucznik Pałka sprawdził księżycemierz.

–Zostało ci osiem godzin.

–Sam wiem, ile mam czasu – burknął Bulwa. – I przestań za mną chodzić. Nie masz nic do roboty?

–Właściwie, skoro o tym mówisz, muszę uzbroić biobombę.

Bulwa odwrócił się do niego.

–Nie wyprowadzajcie mnie z równowagi, poruczniku. Wasze nieustające komentarze nie wpływają korzystnie na moją koncentrację. Po prostu róbcie, co uważacie za konieczne, ale bądźcie gotowi do obrony przed trybunałem. Jeżeli coś się nie uda, polecą głowy.

–Co ty powiesz – burknął pod wąsem Pałka. – Ale mojej wśród nich nie będzie.

Bulwa spojrzął na niebo. Nad majątkiem Fowlów rozpostarła się migocąca, lazururowa chmura. Dobrze. Weszli w stan zatrzymania. Za murami życie pędziło w przyspieszonym rytmie, lecz gdyby pomimo umocnień i wysokiej bramy ktoś dostał się do środka, ujrzaliby opuszczony dwór, gdyż jego mieszkańcy uwięzieni zostali w przeszłości.

Przez następne osiem godzin w majątku Fowlów miał panować zmierzch. Potem Bulwa nie mógł gwarantować bezpieczeństwa Holly. Zważywszy powagę sytuacji, Pałka zapewne dostanie wówczas zezwolenie, aby zrzucić na cały teren bombę biologiczną. Komendant widział już płukanek w działaniu. Nie zostało się nic żywego, nawet szczury.

Bulwa przyłapał Ogiereka u stóp wieży północnej. Faun postawił wahadłowiec, stanowiący centrum dowodzenia, pod metrowej grubości murem. Już teraz obszar roboczy wokół niego zalegała plątanina kabli i pulsujących włókien optycznych.

–Ogierek? Jesteście tam?

Okryta folią głowa fauna wyłoniła się z wnętrza twardego dysku.

–Tutaj, komendancie. Przyszedł pan rozwalić mi nos o guzik?

Bulwa niemal się roześmiał.

–Nie mówcie mi, Ogierek, że czekacie na przeprosiny. Wykorzystałem już limit na dzisiaj. I to wobec wieloletniego przyjaciela.

–Mówi pan o Pałce? Za pozwoleniem, komendancie, ale ja bym nie marnował uprzejmości na pana porucznika. On nie będzie pana przepraszał, kiedy zada panu cios w plecy.

–Źle go oceniacie, Ogierek. Pałka to dobry oficer. Trochę nadgorliwy, przyznaję, ale robi, co należy, kiedy przyjdzie pora.

–Co się jemu należy, oczywiście. Nie sądzę, aby Holly znajdowała się na czele jego listy priorytetów. Bulwa nie odpowiedział. Nie potrafił.

–I jeszcze jedno. Męczy mnie podejrzenie, że młody Artemis Fowl chciał, żebyśmy zatrzymali czas. W końcu wszystko, co robiliśmy dotąd, było wodą na jego młyn.

Bulwa potarł skronie.

–To niemożliwe. Skąd człowiek miałby wiedzieć o zatrzymaniu czasu? A poza tym, nie czas na teorie, Ogierek. Zostało mi niecałe osiem godzin, żeby posprzątać ten bałagan. Masz coś dla mnie?

Ogierek poczłapał do przytwierdzonego do muru stojaka na sprzęt.

–Żadnej ciężkiej broni, oczywiście. Nie po tym, co się stało z Jedyneką Odzysku. Ani kasku – ten potworny Błotny Człowiek chyba je kolekcjonuje. Nie, żeby okazać dobrą wolę, pošlemy pana do nich bez broni i tarczy.

–Na podstawie jakiej instrukcji? – parsknął Bulwa.

–Standardowa procedura operacyjna. Zaufanie przyspiesza porozumienie.

–Och, skończ wreszcie z tymi cytatami i daj mi coś do strzelania.

–Jak pan chce – westchnął Ogierek i wziął ze stojaka coś, co wyglądało jak palec.

–Co to?

–Palec. A jak wygląda?

–Jak palec – przyznał Bulwa.

–Owszem, ale to nie jest zwykły palec. – Ogierek rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nikt nie patrzy. – W jego czubku mieści się strzałka pod ciśnieniem. Tylko jeden strzał. Stuka pan kciukiem w knykcie, o, tak, i ktoś idzie lulu.

–Czemu dotychczas tego nie widziałem?

–To jest przeznaczone do tajnych zadań...

–I co? – zapytał Bulwa podejrzliwie.

–No, zdarzały się wypadki...

–Taaak?

–Nasi agenci wciąż zapominają, że go mają...

–Chcesz powiedzieć, że strzelają sami do siebie. Ogierek przytaknął z nieszczęśliwą miną.

–Jeden z naszych najlepszych chochlików dłużej właśnie w nosie. Trzy dni w stanie krytycznym.

Bulwa naciągnął na palec wskazujący plastikową atrapę, która natychmiast przyjęła kształt i barwę pozostałych palców gospodarza,

–Nie martw się, Ogierek. Nie jestem pełnym idiotą. Coś jeszcze?

Ogierek odpiął ze stojaka przedmiot, przypominający sztuczny tyłek.

–Jakieś żarty? A to po co?

–Właściwie po nic – przyznał faun. – Ale na imprezach jest z tego kupa śmiechu.

Bulwa roześmiał się. Dwukrotnie. Jak na niego, to było duże ustępstwo.

–No dobra, koniec zabawy. Założysz mi coś?

–Naturalnie. Kamerę w tęczęwce. Jaki kolor? – Ogierek zajął w oczy komendanta.

– Hmm. Brudnobrązowy.

Odnalazł na półce małą fiolkę wypełnioną płynem, z której wyjął elektroniczną soczewkę kontaktową. Następnie kciukiem i palcem wskazującym chwycił powiekę Bulwy, po czym zręcznie założył urządzenie.

–Będzie trochę drażnić, ale proszę, niech pan postara się nie trzeć, bo kamera wyląduje na dnie oczodołu.

Wtedy będziemy widzieli wnętrze pańskiej głowy, a Bóg jeden wie, że nie ma tam nic ciekawego.

Bulwa zamrugał, z trudem odpierając pokusę potarcia łzawiącego oka.

–To wszystko?

–Więcej nie śmiemy ryzykować – powiedział Ogierek.

Komendant niechętnie skinął głową. Czuł się dziwnie lekki bez znajomego ciężaru miotacza na biodrze.

–No dobra. Widać musi mi wystarczyć ten zdumiewający palec, który strzela. Ale daję słowo, Ogierek, jeżeli to nie wypali, znajdziesz się w następnym wahadłowcu do nieba.

Faun zachichotał.

–Tylko niech pan uważa w toalecie. Bulwa nie roześmiał się. Z pewnych rzeczy nie wolno żartować.

Zegarek Artemisa stanął. Zupełnie jakby zniknęło obserwatorium w Greenwich. Albo, zamyślił się Artemis, jakbyśmy to my zniknęli. Zerknął na kanał CNN. Obraz zamarł; na lekko drżącym ekranie widniała nieruchoma twarz Riz Chana. Artemis nie umiał pohamować uśmiechu satysfakcji. Zatrzymali czas, dokładnie tak, jak to opisano w Księdze. Wszystko szło zgodnie z planem.

Przyszła pora, aby sprawdzić pewną teorię. Artemis podszedł do rzędu monitorów i na głównym dwudziestośmiodobowym ekranie wybrał opcję MamKam.

Angelina Fowl nie leżała już na szezlongu. Artemis omiół kamerą pokój. Był pusty. Matka zniknęła. Na twarzy chłopca wykwitł szeroki uśmiech. Doskonale, właśnie tak,

jak podejrzewał.

Zajrzał do Holly Niedużej. Znowu waliła łóżkiem. Czasami wstawiała z pryczy i bębniła w ścianę gołymi pięściami. Może czaiło się w tym coś więcej niż frustracja? Czyżby w jej szaleństwie była metoda? Artemis postukał smukłym palcem w monitor.

–Co ty knujesz, wróżko? Jaki masz plan? Wtem uwagę Artemisa przykuł ruch na ekranie, ukazującym główną aleję.

–Nareszcie – odetchnął głęboko. – Igrzyska się zaczęły.

Aleją nadchodziła jakaś postać. Mała, lecz mimo to pełna godności. I to bez tarczy. A więc koniec wygłupów.

Artemis nacisnął guzik głośnika wewnętrznego.

–Butler? Mamy gościa. Sam go wpuszczę. Chodź tutaj i zastąp mnie przy kamerach obserwacyjnych.

–Robi się, Artemisie. Już idę – zabrzączał w głośniku głos Butlera.

Artemis zapiął marynarkę, uszytą na miarę u dobrego krawca. Zatrzymał się przed lustrem i poprawił krawat. Sztuka negocjacji polegała na tym, by jak najdłużej zachować wszystkie atuty, a gdy się ich nie miało, przynajmniej udawać, że jest inaczej.

Podchodząc do drzwi wejściowych, Artemis przybrał najgroźniejszą minę, jaką znał. Muszę być zły, powtarzał sobie, zły, ale wysoce inteligentny. I zdecydowany, nie zapominać o zdecydowaniu. Położył dłoń na klamce. Spokojnie, tylko spokojnie. Głęboko oddychać, nie dopuszczać możliwości, że źle oceniłem sytuację i zaraz ktoś mnie zastrzeli. Raz, dwa, trzy... Popchnął drzwi.

–Dobry wieczór- powiedział.

Gospodarz w każdym calu – uprzejmy, acz groźny, zły, inteligentny i zdecydowany.

Na progu stał Bulwa z rękami wzniesionymi do góry w uniwersalnym geście, oznaczającym: Spójrz, nie mam przy sobie żadnej morderczej broni.

–Ty jesteś Fowl?

–Artemis Fowl, do usług. A pan?

–Komendant Bulwa, SKRZAT. Dobra, skoro już wiemy, jak się nazywamy, czy możemy przystąpić do rzeczy?

–Oczywiście.

Bulwa postanowił spróbować,

–No, to wyjdź na zewnątrz, żebym cię mógł obejrzeć.

Twarz Artemisa stężała.

–Niczego się pan nie nauczył z moich lekcji? A statek wiele rybni czy? A komandosi? Czy będę musiał w końcu kogoś zabić?

–Nie – odparł pośpiesznie Bulwa. – Ja tylko...

–Tylko chciał pan wywabić mnie na zewnątrz, żeby mnie porwać i wymienić na zakładniczkę. Proszę, komendancie Bulwa, niech pan zacznie prezentować wyższy poziom albo przyśle kogoś o większej inteligencji.

Bulwa poczuł, jak do policzków napływa mu krew.

–Zaraz, posłuchaj no, ty mały...

Artemis uśmiechnął się. Znow był panem sytuacji.

–Niezbyt dobra technika negocjacyjna, komendancie. Traci pan panowanie nad sobą, zanim jeszcze siedliśmy do stołu?

Bulwa kilkakrotnie odetchnął głęboko.

–Świetnie. Jak sobie życzysz. Gdzie chcesz prowadzić rozmowy?

–W środku, oczywiście. Pozwalam panu wejść, ale proszę pamiętać, życie kapitan Niedużej jest w pańskich rękach. Niech pan będzie ostrożny.

Bulwa podążył za gospodarzem pod wysokim sklepieniem korytarza. Z klasycznych portretów wpatrywały się weń pokolenia Fowlów. Przez pociemniałe, dębowe drzwi weszli do podłużnej sali konferencyjnej, gdzie przy okrągłym stole przygotowano dwa miejsca – notesy, popielniczki i dzbanki z wodą.

Bulwa z zachwytem powitał popielniczkę i natychmiast wyciągnął z kamizelki ogryzek cygara.

–Może nie jesteś aż takim barbarzyńcą – mruknął, wypuszczając z ust ogromny obłok zielonego dymu. Ignorując dzbanki z wodą, wyjął piersiówkę i nalał do szklanki fioletowego płynu. Wypił do dna, beknął i usiadł.

–Gotowy?

Artemis układał przed sobą notatki niczym spiker telewizyjny.

–Oto sytuacja, jak ja ją widzę. Mogę ujawnić wasze istnienie pod ziemią, a wy nie jesteście w stanie mnie

powstrzymać, A zatem to, czego żądam, to właściwie niewielka cena za milczenie.

–Aha, wydaje ci się, że możesz po prostu umieścić tę informację w Internecie? –
Bulwa wypluł strzępek grzybowego tytoniu.

–No cóż, oczywiście nie w tej chwili, na razie działa zatrzymanie czasu.

Bulwa zakrztusił się dymem. Smarkacz znał ich główny atut! Zostali zdemaskowani!

–Skoro wiesz o naszej operacji – rzekł mężnie – to wiesz również, że jesteś całkowicie odcięty od świata zewnętrznego. Prawdę mówiąc, jesteś bezsilny.

Artemis zanotował coś na kartce.

–Oszczędźmy sobie gadania. Znużyły mnie pańskie nieudolne sztuczki. W wypadku uprowadzenia SKRZAT najpierw wysłała uderzeniowy oddział Odzysku, aby odnaleźć zgubę. Pan wybaczy, że chichoczę. To miała być grupa uderzeniowa? Słowo daję, patrol zuchów z pistoletami na wodę poradziłby sobie z nimi bez trudu.

Bulwa w milczeniu rozładował furię na niedopałku cygara.

–Następny krok stanowią negocjacje. Aż w końcu, jeśli nie osiągnięto żadnego porozumienia i upływa ośmiogodzinny termin, detonowana jest biobomba o zasięgu ograniczonym przez pole czasowe.

–Wygląda na to, że wiesz o nas okropnie dużo, paniczu Fowl. Pewnie nie zechcesz mi powiedzieć skąd?

–Słusznie.

Bulwa rozgniół resztki cygara w kryształowej popielniczce.

–No dobra, do rzeczy, jakie są twoje żądania?

–Jedno żądanie. Liczba pojedyncza – Artemis przesunął notes po wypolerowanym stole. Bulwa przeczytał:

–"Jedna tona dwudziestoczworokaratowego złota. W małych, nieoznakowanych sztabkach". Chyba żartujesz?

–Nic podobnego.

Bulwa pochylił się ku niemu.

–Nie rozumiesz? Twoja sytuacja jest beznadziejna. Albo oddasz nam kapitan Niedużą, albo będziemy zmuszeni zabić was wszystkich. Możliwości pośrednie nie istnieją. My w gruncie rzeczy nie negocjujemy. Przybyłem tu tylko po to, żeby ci wyjaśnić, jakie są fakty.

Artemis uśmiechnął się wampirycznie.

–Och, ale ze mną będziecie negocjować, komendancie.

–Tak? A co w tobie takiego wyjątkowego?

–Jestem wyjątkowy, bo wiem, jak uciec z pola czasowego.

–To niemożliwe – parsknął Bulwa. – Nie da się zrobić.

–Ależ tak. Proszę mi wierzyć, jeszcze nie zdarzyło mi się pomylić.

Bulwa wydarł kartkę z notatnika Artemisa, złożył ją i schował do kieszeni.

–Pomyślę nad tym.

–Proszę się nie spieszyć. Mamy osiem godzin, *pardon*, siedem i pół, a potem termin upłynie dla wszystkich.

Bulwa nie odzywał się przez dłuższy czas, bębniąc paznokciami o blat stołu. W pewnej chwili nabrał powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i raptownie wstał.

–Będziemy w kontakcie. Nie martw się, sam znajdę wyjście.

Artemis odepchnął krzesło.

–Proszę bardzo. Ale niech pan pamięta, nikt z waszej rasy nie ma tu wstępu, póki ja żyję.

Bulwa wielkimi krokami podążył do wyjścia, łypiąc spod oka na olejne portrety. Uznał, że lepiej zrobi, jeśli opuści dom i jak najszybciej odda uzyskane informacje do analizy. Ten mały Fowl to naprawdę śliski zawodnik. Ale zrobił jeden błąd – założył, że Bulwa będzie przestrzegał zasad. Tymczasem Juliusz Bulwa nie zdobył stanowiska komendanta dzięki stosowaniu regulaminu. Nadszedł czas, aby zacząć działać nietypowo.

Eksperci analizowali nagranie z kamery umieszczonej w tęczówce Bulwy.

–Zwróćcie uwagę, panowie – rzekł profesor Kumulus, behawiorysta. – Ten skurcz oznacza, że kłamie.

–Bzdura – sapnął profesor Argon, psycholog, zamieszkujący podziemia Stanów Zjednoczonych. – Swędzi go, to wszystko. Swędzi go, więc się drapie. Nic w tym złowieszczego.

–Niech pan tylko posłucha – zwrócił się Kumulus do Ogierka – co on wygaduje. Jak można oczekiwać, że będę współpracował z tym szarlatanem?

–Kuglarz- odciął się Argon. Ogierek podniósł owłosione dłonie.

–Panowie, bardzo proszę. Musimy jakoś dojść do porozumienia i stworzyć konkretną sylwetkę przestępcy.

–Nic z tego – oznajmił Argon. – W tych warunkach nie da się pracować. Kumulus założył ręce.

–Jak on nie może pracować, to ja tym bardziej.

Przez podwójne, wahadłowe drzwi wszedł Bulwa. Typowy dlań pąsowy kolor twarzy był intensywniejszy niż zazwyczaj.

–Ten człowiek bawi się z nami. To nie do zniesienia. No więc, co fachowcy sądzą o naszym nagraniu?

Ogierek odsunął się na bok, dając komendantowi swobodny dostęp do tak zwanych fachowców.

–Podobno nie mogą pracować w tych warunkach. Oczy Bulwy zwężyły się i wpatrzyły w ofiary.

–Co proszę?

–Nasz pan doktor jest półgłówkiem – rzekł Kumulus, nieświadom temperamentu komendanta.

–Ja... ja jestem półgłówkiem? – zachnął się Argon, równie nieświadom. – A co powiesz o sobie, ty wróżko jaskiniowa? Przyklejasz kretyńskie interpretacje do najbardziej niewinnych gestów!

–Niewinnych? Ten chłopak to kłębek nerwów! Wyraźnie widać, że kłamie. Książkowy przypadek.

Bulwa walnął pięścią w stół, aż po blacie rozbiegła się pajęczna siatka pęknięć.

–Milczeć!

Obaj zamilkli. Od razu.

–No. Dostajecie spore honoraria za przygotowanie sylwetki psychologicznej, prawda, panowie fachowcy?

Eksperci tylko kiwnęli głowami w obawie, iż głośna odpowiedź złamie zakaz milczenia.

–Macie tu zapewne do czynienia ze sprawą waszego życia, więc chciałbym, żebyście się porządnie skupili. Zrozumiano?

Nastąpiły dalsze kiwnięcia głową.

Bulwa wyłuskał kamerę z zażawionego oka.

–Przewińcie to, Ogierek. Pod sam koniec. Taśma kręciła się naprzód skokami. Na ekranie Bulwa wchodził za człowiekiem do sali konferencyjnej.

–Teraz. Zatrzymajcie. Możecie zrobić zbliżenie jego twarzy?

–Czy mogę zrobić zbliżenie jego twarzy? – zaśmiał się Ogierek. – Czy krasnal może wykraść pajakowi sieć?

–Tak – odparł Bulwa.

–W zasadzie to pytanie retoryczne.

–Niepotrzebna mi lekcja retoryki, Ogierek, po prostu zróbcie zbliżenie, dobrze?

Ogierek zgrzytnął końskimi zębami.

–Okej, okej, szefie, już się robi.

Palce fauna przebiegły klawiaturę z prędkością błyskawicy. Oblicze Artemisa wypełniło cały ekran plazmowy.

–Radzę wam słuchać – uprzedził Bulwa, ściskając naukowców za ramiona. – To punkt zwrotny w waszych karierach.

–Jestem wyjątkowy – powiedziały usta na ekranie – bo wiem, jak uciec z pola czasowego.

–A teraz mówcie. Czy on kłamie? – zapytał komendant.

–Puśćcie to jeszcze raz – rzekł Kumulus. – I pokażcie oczy.

–Tak – przytaknął Argon. – Tylko oczy. Ogierek uderzył w kolejne klawisze i ciemnoniebieskie oczy Artemisa zajęły całą szerokość ekranu.

–Jestem wyjątkowy – zahuczał ludzki głos – bo wiem, jak uciec z pola czasowego.

–No, kłamie czy nie?

Kumulus i Argon spojrzeli po sobie bez śladu poprzedniej wrogości.

–Nie- odparli jednocześnie.

–Mówi prawdę – dodał behawiorysta.

–Albo – wyjaśnił psycholog – tak sądzi. Bulwa przetarł oko środkiem dezynfekującym.

–Tak też myślałem. Kiedy spojrzałem mu w twarz, uznałem, że albo jest geniuszem, albo wariatem. Z ekranu śledził ich chłodny wzrok Artemisa.

–No, więc? – zapytał Ogierek. – Geniusz czy wariat?

Bulwa ściągnął ze stojaka swój trójlufowy miotacz.

–A jaka to różnica? – warknął, przypinając do biodra zaufaną broń. – Dajcie mi zewnętrzną linię do El. Zdaje się, że ten cały Fowl poznał wszystkie nasze zasady, pora więc, żebyśmy złamali kilka z nich.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

MIERZWA

Pora przedstawić kolejnego uczestnika naszej nadprzyrodzonej rewii. Ścisk biorąc, nie jest to postać całkiem nowa. Spotkaliśmy go już, stojącego w kolejce do spisania na posterunku SKR. Oto Mierzwa Grzebaczek, krasnal kleptoman, recydywista z wyrokami za liczne wykroczenia – podejrzan indywiduum nawet wedle miary Artemisa Fowla. Stanowczo w tej relacji występuje zbyt wielu amoralnych osobników.

Mierzwa urodził się w typowej rodzinie krasnali jaskiniowych, lecz szybko doszedł do wniosku, że górnictwo nie jest zajęciem dla niego, i postanowił wykorzystać swe zdolności w innym celu. Zajął się podkopami i włamaniami, przy czym tych ostatnich zazwyczaj dokonywał do siedzib Błotnych Ludzi. Oczywiście, oznaczało to utratę czarodziejskich mocy. Mały Lud uważał za święte wszelkie siedziby; kto łamał tę zasadę, musiał być przygotowany na konsekwencje. Mierzwie wszakże to nie przeszkadzało. Nigdy specjalnie nie cenił czarów. W kopalniach i tak były niezbyt przydatne.

Przez kilka stuleci wszystko szło jak po maśle. Mierzwa założył na powierzchni dochodowy interes pamiątkarski, który świetnie prosperował aż do chwili, gdy usiłował sprzedać Puchar Świata tajniakowi z SKR. Wtedy szczęście się od niego odwróciło i przez następne kilkaset lat ponad dwadzieścia razy trafiał do mamra. W sumie spędził w więzieniu ponad trzy stulecia.

Mierzwa miał ogromny apetyt na tunele – co niestety należy rozumieć dosłownie. Dla tych, którzy nie orientują się, w jaki sposób krasnale drążą przejścia, spróbuję czynność tę objaśnić jak najtaktowniej. Wzorem niektórych przedstawicieli rodziny gadów, krasnale płci męskiej potrafią rozewrzeć stawy szczękowe, co pozwala im pożerać kilka kilogramów gruntu na sekundę. Wchłonięty surowiec zostaje poddany nadzwyczaj sprawnej przemianie materii i... jakby to powiedzieć... wydalony z drugiego końca. Urocze, nieprawdaż?

W chwili obecnej Mierzwa przebywał w kamiennej celi na Komendzie Głównej SKR, gdzie usiłował robić wrażenie swobodnego, zblazowanego krasnala. Naprawdę jednak trząsał się ze strachu aż po czubki swoich okutych metalem butów.

Wojna trawnikowa między goblinami i krasnalami rozgorzała właśnie na nowo i jakiś bystry żółtodziób umieścił Mierzwę w jednej celi z gangiem rozjuszonych goblinów. Być może stało się tak przez nieuwagę, wszystko wskazywało jednak na to, że chodzi o zemstę za obrobienie kieszeni funkcjonariusza, który krasnala aresztował.

–No i co, kurdupłu – szydził główny herszt goblinów, krostowaty osobnik, pokryty tatuażem na całym ciele. – Nie umiesz wygryźć sobie drogi na wolność?

Mierzwa popukał w ścianę.

–Lita skała.

–Coś takiego! – zaśmiał się goblin. – Chyba nie twardsza niż twój krasnalowy czerep?

Kumple goblina wybuchnęli śmiechem. Mierzwa przyłączył się do nich. Myślał, że postępuje sprytnie, ale się mylił.

–Śmiejesz się ze mnie, krasnalu? – zapytał groźnie krostowaty.

Mierzwa przestał się śmiać.

–Śmieję się z twojego dowcipu – sprostował. – Ten kawałek o czerepie był dość zabawny.

Goblin zbliżył się, aż jego oślizgły nos znalazł się centymetr od nosa Mierzwy.

–Traktujesz mnie pro-tek-cjo-nal-nie?

Mierzwa przełknął ślinę, kalkulując szansę. Gdyby teraz rozwarł szczęki, pewnie połknąłby przywódcę, zanim pozostali zdążyliby zareagować. Z drugiej strony, gobliny bardzo źle wpływały na trawienie. Strasznie kościste.

Goblin zacisnął kułak i wyczarował ognistą kulę.

–Zadałem ci pytanie, pniaku. Mierzwa poczuł, że wszystkie gruczoły potowe na jego ciele ruszyły pełną parą. Krasnale nie znoszą ognia.

Nie mogą wytrzymać nawet myśli o płomieniach. Inaczej niż pozostałe rasy wrózek, nie mają ciągotek do życia na powierzchni ziemi, która jak dla nich znajduje się za blisko słońca. Cóż za ironiczna sytuacja dla kogoś działającego w Ruchu Uwalniania Błotnych Ludzi od Własności.

–P...po co t...to robisz? – wyjąkał. – Ja tylko chciałem być miły.

–Miły – zaszydził krostowaty. – Wy nie wiecie, co to znaczy. Tchórze, potraficie tylko wsadzić nóż w plecy. Mierzwa dyplomatycznie przytaknął.

–Owszem, zdarzało nam się zachowywać trochę podstępnie.

–Podstępnie! Podstępnie! Trochę! Na mojego brata Flegmę napadła banda krasnali, przebranych za kupy gnoju! Do tej pory leży na wyciągu!

–Stara sztuczka z tym gnojem – zgodził się Mierzwa współczująco. – To

rzeczywiście haniebne. Jedna z przyczyn, dla których nie zadaję się z bractwem.

Krostowaty zakręcił ognistą kulą na palcu.

–Są tylko dwie rzeczy na świecie, których naprawdę nienawidzę.

Mierzwę ogarnęło przemożne przeczucie, że zaraz się dowie, co to za rzeczy.

–Jedną jest śmierdzący krasnal. A to ci niespodzianka.

–A druga to osobnik, który zdradza swoich. Z tego, co słyszę, świetnie pasujesz do obu kategorii.

–Takie mam szczęście – uśmiechnął się słabo Mierzwa.

–Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu los pchnął cię w moje ręce.

Przy innej okazji Mierzwa mógłby wytknąć goblinowi, że szczęście i los to w gruncie rzeczy to samo. Ale nie dzisiaj.

–Lubisz ogień, krasnalu? Mierzwa pokręcił głową. Krostowaty wyszczerzył zęby.

–A, to szkoda, bo zaraz wepchnę ci tę ognistą kulę do gardła.

Krasnalowi zaschło w gardle. Czy to nie typowe dla Bractwa Krasnali? Czego krasnale nienawidzą? Ognia. Jakie są jedyne istoty, potrafiące wyczarować ognistą kulę? Goblino. Z kim więc krasnale wszczynają wojnę? Co za bezmyślność.

Cofnął się pod ścianę.

–Ostrożnie! Wszyscy się spalimy.

–My nie – zarechotał krostowaty, wciągając ogień w dwa podłużne nozdrza. – Jesteśmy całkowicie ognioodporni.

Mierzwa doskonale wiedział, co się zaraz wydarzy. Zbyt wiele razy widywał tę sytuację. Banda goblinów dopadała samotnego, zbłąkanego krasnala w jakimś zaułku, trzymała go za ręce, podczas gdy przywódca ładował mu z obu luf prosto w twarz.

Nozdrza krostowatego rozdęły się, przygotowane do wydmuchnięcia ognia. Mierzwa zadrżał. Miał tylko jedno wyjście. Goblino popęlniły zasadniczy błąd – zapomniały przytrzymać mu ręce.

Goblin wciągnął powietrze ustami i zamknął je, zwiększając ciśnienie wzbierających w nim płomieni. Odchylił głowę do tyłu, wycelował nos w krasnala i... kiedy

dmuchnął, Mierzwa błyskawicznie wraził kciuki w jego nozdrza. Obrzydliwe, nie ma co – ale znacznie lepsze niż krasnal z rusztu.

Ognista kula nie znalazła ujścia. Odbiła się od kciuków Mierzwy i poleciała w głąb głowy krostowatego. Sprężone płomienie pomknęły drogą najmniejszego oporu przez przewody łzowe goblina i buchnęły pod jego oczami, zamieniając sufit celi w morze ognia.

Mierzwa wyciągnął kciuki, otarł je pośpiesznie i wsadził do ust, by naturalny środek leczniczy zawarty w ślinie rozpoczął proces gojenia. Oczywiście, gdyby krasnal nadal dysponował czarodziejską mocą, mógłby po prostu zażyczyć sobie, aby przypalone palce wyzdrowiały. Ale wejście na drogę przestępstwa ma swoją cenę.

Krostowaty wyglądał nie najlepiej. Ze wszystkich otworów w jego głowie leciał gęsty dym – gobliny istotnie są żaroodporne, niemniej wędrująca kula ognia nieźle przeczyściła mu rurki. Zachwiał się niczym trzcina na wietrze i padł twarzą w dół na betonową podłogę. Coś chrupnęło, zapewne duży nos goblina.

Pozostali członkowie gangu bynajmniej się nie ucieszyli.

–Patrzcie, jak załatwił szefa!

–Śmierdzący pniak!

–Chodźcie, usmażymy go!

Mierzwa cofnął się jeszcze bardziej. Miał nadzieję, że reszta goblinów przestraszy się, widząc pokonanego przywódcę, ale najwyraźniej tak się nie stało. Choć zatem nie leżało to w jego naturze, Mierzwa nie miał wyjścia – musiał atakować.

Rozwarł stawy szczęk i rzuciwszy się naprzód, zacisnął zęby na głowie najbliższego przeciwnika.

–Erasz szofnicze sze! – wrzasnął przez ten osobliwy tłumik, – Szofnicze sze, bo ykonce aszego umpla!

Gobliny znieruchomiały, niepewne, co robić dalej. Rzecz jasna, wiedziały, jakie spustoszenia w głowie goblina mogą wyrządzić siekacze krasnala. Nie był to ładny widok.

W ich dłoniach pojawiły się ogniste kule.

–Oszegam wasz!

–Wszystkich nie dopadniesz, pniaku!

Mierzwa z trudem oparł się odruchowi, by przygryźć. Jest to najsilniejszy z krasnalich popędów, pamięć genetyczna, zrodzona z tysiącleci kopania tuneli. Sprawę utrudniał fakt, że oślizgły goblin się wiercił. Krasnalowi nie zostało wiele możliwości – gang nacierał, on zaś, dopóki miał pełne usta, był bezsilny. Ale zgryz. Wybaczcie grę słów.

Nagle drzwi celi otworzyły się ze szczękiem i do niewielkiego pomieszczenia wtargnęła co najmniej kompania funkcjonariuszy SKR. Mierzwa poczuł na skroni zimny dotyk stalowej lufy pistoletu.

–Wypluć więźnia – rozkazał głos. Mierzwa z rozkoszą posłuchał. Całkowicie obśliniony goblin zwałił się, kaszląc u jego stóp.

–Wy, gobliny, zgaście to.

Jedna za drugą ogniste kule zagasły.

–To nie moja wina – jęknął Mierzwa, wskazując zwijającego się z bólu krostowatego.
– Sam się podpalił. Policjant schował broń do kabury i wyjął kajdanki.

–Mam gdzieś, co robicie sobie nawzajem – powiedział, obracając Mierzwę i skuwając mu ręce za plecami. – Gdyby to ode mnie zależało, wsadziłbym was wszystkich razem do dużej sali i przyszedł po tygodniu, żeby splukać ją szlauchem. Ale komendant Bulwa chce cię widzieć na górze w tej chwili.

–W tej chwili?

–Albo jeszcze wcześniej.

Mierzwa znał Bulwę. Komendant odpowiadał za kilka pobytów krasnala na państwowym wikcie, jeśli zatem chciał się z nim widzieć, to raczej nie chodziło o kawę i kino.

–Teraz? Ale na górze jest dzień. Spalę się. Policjant roześmiał się.

–Koleś, tam, gdzie ty idziesz, nie ma dnia. Tam, gdzie ty idziesz, w ogóle nic nie ma.

Bulwa czekał na krasnala wewnątrz portalu pola czasowego. Portal stanowił kolejny wynalazek Ogierka. Dzięki niemu wróżki mogły wchodzić do pola czasowego i opuszczać je przy zachowaniu warunków czasowych. W praktyce oznaczało to, że chociaż dostarczenie Mierzwy na powierzchnię trwało sześć godzin, został wprowadzony do pola zaledwie kilka chwil po tym, jak Bulwie przyszło do głowy, żeby go ściągnąć.

Mierzwa pierwszy raz przebywał wewnątrz pola i z ciekawością patrzył na

przyśpieszone tempo życia na zewnątrz jego migotliwej korony. Widziane stąd samochody śmigały z niemożliwą prędkością, a chmury pędziły po niebie, jakby gnane huraganem.

–Mierzwa, wy mały recydywisto – ryknął Bulwa. – Możecie już zdjąć ubranko. Pole ma własności filtrujące, przynajmniej tak mówią.

Mierzwa ściągnął obcisły kombinezon, blokujący promienie słoneczne, w który został wyposażony przed podróżą szybem El. Krasnale, pomimo grubej skóry, są niezwykle wrażliwe na światło słońca i w ciągu trzech minut ulegają oparzeniom.

–Miło cię widzieć, Juliuszu.

–Dla was jestem komendant Bulwa.

–No, proszę, zostałeś komendantem. Słyszałem, słyszałem. Ktoś w dowództwie się pomylił? Zęby Bulwy zgmiotły cygaro na miazgę.

–Osadzony, nie mam czasu na impertynencje. Gdyby nie to, że mam dla was robotę, kopnąłbym was w tyłek.

–Osadzony? – Mierzwa zmarszczył brwi. – Juliuszu, przecież wiesz, jak mi na imię.

Bulwa schylił się i jego oczy znalazły się na poziomie twarzy krasnala.

–Osadzony, nie wiem, w jakim świecie fantazji żyjecie, ale w rzeczywistości jesteście przestępcą, a moim zadaniem jest uprzykrzenie wam życia. Więc jeśli się spodziewacie, że będę uprzejmy tylko dlatego, że piętnaście razy zeznawałem przeciwko wami wybijcie to sobie z głowy!

Mierzwa roztarł nadgarstki w miejscach, gdzie kajdanki zostawiły czerwone pręgi.

–Doskonale, komendancie. Po co się tak indyczyć? Nie jestem mordercą, wiesz o tym, tylko drobnym kryminalistą.

–Z tego, co słyszę o waszych wyczynach w celi, prawie udało wam się zmienić ten stan rzeczy.

–Nie moja wina. Napadli na mnie. Bulwa wetknął w usta świeże cygaro.

–Dobrze już, dobrze. Idźcie za mną i postarajcie się nic nie ukraść.

–Tak jest, komendancie – powiedział Mierzwa niewinnie. Nie musiał już nic kraść. Wykorzystał błąd Bulwy i kiedy ten pochylił się ku niemu, zdążył podwędzić mu kartę wstępu do pola czasowego.

Minęli kordon utworzony przez grupę Odzysku i weszli w aleję.

–Widzicie ten dwór?

–Jaki dwór?

–Nie mam czasu na wygłupy, osadzony! – natarł na krasnala Bulwa. – Minęła prawie połowa zatrzymania czasu. Jeszcze kilka godzin i moja najlepsza funkcjonariuszka zostanie potraktowana płukanką!

–A co mnie to obchodzi – wzruszył ramionami Mierzwa. – Pamiętaj, jestem tylko przestępcą. A poza tym, wiem, czego ode mnie chcesz, i moja odpowiedź brzmi: nie.

–Jeszcze was o nic nie prosiłem.

–To oczywiste. Jestem włamywaczem. Tam stoi dom. Nie możecie wdrzeć się do niego sami, bo utracicie czarodziejską moc, gdy tymczasem ja swoją moc utraciłem dawno temu. Dwa dodać dwa.

Bulwa wypluł cygaro.

–Nie ma w was żadnej obywatelskiej dumy? Tu idzie o cały nasz styl życia.

–To nie jest mój styl życia. Więzienie u wrózek czy u ludzi, mnie tam wszystko jedno. Komendant zastanowił się.

–No dobra, ty oślizgły śmieciu. Zmniejszymy ci wyrok o pięćdziesiąt lat.

–Chcę amnestii.

–Marzenia, Mierzwa.

–Nie to nie.

–Siedemdziesiąt pięć lat najłagodniejszego rygoru. To moje ostatnie słowo.

Mierzwa udał, że się namyśla. Dyskusja była akademicka, albowiem i tak zamierzał zwać.

–W pojedynce?

–Dobra, niech będzie, pojedynka. No, zgadzacie się?

–Niech będzie, Juliuszu. Robię to tylko dla ciebie.

Ogierek szukał odpowiedniej kamery tęczątkowej.

–Chyba orzechowa. Albo płowa. Doprawdy, masz niesamowite oczy, Mierzwa.

–Dziękuję, Ogierek. Mama zawsze mówiła, że oczy mam najładniejsze.

Bulwa tam i z powrotem przemierzał kabinę wahadłowca.

–Czy chociaż zdajecie sobie sprawę, jak mało czasu nam zostało? Dajcie sobie spokój z kolorem. Wsadźcie mu kamerę i już.

Ogierek za pomocą pesety wyjął soczewkę z roztworu soli fizjologicznej.

–Tu nie chodzi o urodę, komendancie. Im lepiej dobrany kolor, tym mniejsze zakłócenia z własnego oka nosiciela.

–No, dobra, róbcie, jak chcecie, tylko się pośpieszcie.

Ogierek unieruchomił Mierzwę, łapiąc go za brodę.

–No i po krzyku. Będziemy z tobą przez cały czas. Wkręcił maleńki pręcik w gęste kłaczki, wyrastające z ucha Mierzwy.

–Dźwięk też odbieramy. Na wypadek, gdybyś wołał o pomoc.

Krasnal uśmiechnął się kwaśno.

–Wybaczcie, że nie rozpira mnie pewność siebie. Zawsze jakoś lepiej radziłem sobie sam.

–Jeśli można tak określić siedemnaście wyroków -zachichotał Bulwa.

–A mamy jeszcze czas na żarciki? Bulwa złapał krasnała za ramię.

–Słusznie. Nie mamy. Idziemy. Powłókł Mierzwę przez trawnik ku wiśniowemu sadowi.

–Chcę, żebyście podkopali się do dworu i dowiedzieli się, skąd ten cały Fowl tyle o nas wie. Pewnie ma jakieś urządzenia szpiegowskie. Musicie je zniszczyć, nieważne, co to jest. W miarę możliwości spróbujcie też odnaleźć kapitan Niedużą i udzielić jej pomocy. Jeżeli nie żyje, to przynajmniej spokojnie rzucimy biobombę.

–Nie podoba mi się to – Mierzwa spojrzał przed siebie spode łba.

–Co mianowicie?

–Okolica. Węszę wapień. Fundament na litej skale. Wejście może się nie udać.

Ogierek podbiegł do nich truchtem.

–Przejrzałem dane z komputera. Pierwotna budowla stoi na skale, jednak niektóre późniejsze dobudówki postawiono na gliniastym podłożu. Podłoga piwnicy z winami w południowym skrzydle jest chyba drewniana. Nie sądzę, aby stanowiła przeszkodę dla kogoś z taką paszczą jak twoja.

Mierzwa postanowił uznać tę uwagę za stwierdzenie faktu, a nie za obelgę. Odpiął klapkę na siedzeniu swoich specjalnych tunelowych portek.

–No, to idę. Odsuńcie się.

Bulwa i pozostali funkcjonariusze rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia, lecz Ogierek, który nigdy nie widział krasnala przy pracy, chciał jeszcze rzucić okiem.

–Powodzenia, Mierzwa. Krasnal rozwarł szczękę.

–Uje – wystękał, pochylony do startu. Faun rozejrzył się.

–Gdzie są wszy...

Nie dokończył pytania, gdyż w twarz uderzyła go pecyna świeżo przełkniętej i równie świeżo przetrawionej mazi. Kiedy wreszcie udało mu się. przejrzeć na oczy, Mierzwa zniknął już w rozwibrowanym otworze, a drzewa wiśni aż się trzęsły od serdecznego śmiechu kolegów.

Mierzwa posuwał się gliniastą żyłą przez złożę wulkanicznej skały. Przyjemna konsystencja, niezbyt wiele luźnych kamieni. Obfite życie owadzie, niezbędne dla zdrowia i siły zębów, najważniejszego atrybutu krasnali, pierwszej rzeczy, której przyglądała się potencjalna partnerka. Mierzwa przybliżył się do pokładów wapienia, niemal szorując brzuchem o skałę. Im głębszy tunel, tym mniejsza groźba zapadnięcia się powierzchni; w dzisiejszych czasach, przy tych wszystkich wykrywaczach ruchu i minach polowych, nigdy dość ostrożności. Doprawdy, Błotni Ludzie podejmują zdumiewające kroki, aby chronić swoją własność. I jak widać, mają po temu powody.

Z lewej strony krasnal poczuł silne wibracje. Króliki. Zapamiętał to miejsce na przyszłość – zawsze warto wiedzieć, gdzie znajduje się tutejsza zwierzyna. Łukiem ominął norę i zakręcając na północny zachód, podążył wzdłuż fundamentów dworu.

Bez trudu umiejscowił piwnice z winem. Przez całe wieki rozmaite szlachetne trunki przeciekały przez podłogę, nasycając grunt upojnym tchnieniem. Tym razem aromat był surowy i majestatyczny, lekko owocowy, lecz pozbawiony frywolności. Stanowczo, wino z najniższej półki, dość ciężkie, stosowne na uroczyste okazje. Mierzwa beknął. Świetna glina.

Skierował wymiatające szczęki ku górze i przebił drewniane deski podłogi. Przez najeżony drzazgami otwór wylazł na wierzch, po czym wytrząsnął z portek pozostałości przetworzonego błota.

Znajdował się w pomieszczeniu, gdzie panowały błogosławione ciemności, wręcz wymarzone dla wzroku krasnala. Wewnętrzny radar bezbłędnie skierował go ku jedynej wolnej przestrzeni na podłodze; metr w lewo, a wynurzyłyby się w ogromnej beczce czerwonego włoskiego wina.

Osadził szczęki na miejscu i poczapawszy do ściany, rozpląszczył na ceglach muszlowate ucho. Przez chwilę stał nieruchomo, absorbując drżenia budynku. Silny pomruk niskiej częstotliwości – gdzieś w pobliżu pracowała prądnica, a w przewodach krążyło mnóstwo elektryczności.

Słyszał także kroki – wysoko, chyba na drugim piętrze, oraz trochę bliżej. I łoskot, jakby metalu uderzającego o beton. Dźwięk powtórzył się. Ktoś coś budował. Albo rozwalał.

Jakieś stworzenie przebiegło przez jego stopę. Mierzwa rozgniółł je instyktownie. Pająk, zaledwie pająk.

–Przepraszam, przyjacielu – powiedział krasnal do szarej rozmazanej smugi. – Jestem trochę roztrzęsiony. Schody oczywiście były drewniane. I sądząc po zapachu, przeszlostuletnie. Takie stopnie skrzypiały od samego patrzenia i dawały znać o włamywaczach lepiej niż jakikolwiek alarm. Mierzwa stanął tuż przy ścianie, gdzie drewno najmniej trzeszczało, i ruszył w górę, ostrożnie stawiając stopy.

Nie było to takie proste, jak się wydaje. Stopy krasnali są przeznaczone do kopania, nie do zawiłych baletowych kroczków lub ewolucji na drewnianych stopniach. Niemniej Mierzwa bez przeszkód dotarł do drzwi piwnicy. Kilka cichych skrzypnięć, ale nic, co dosłyszałoby ludzkie ucho lub sprzęt.

Rzecz jasna, drzwi były zamknięte, lecz mogłyby równie dobrze stać otworem – z taką bowiem łatwością pokonał je kleptomański krasnal. Mierzwa pogrzebał w brodzie i wyrwał z niej krzepki włos. Owłosienie krasnali skrajnie różni się od ludzkiego; broda Mierzwy i włosy na jego głowie stanowiły w istocie siatkę anten, pomocnych w poruszaniu się i unikaniu zagrożeń, czyhających pod ziemią. Wyrwany z cebulki pojedynczy włos natychmiast sztywniał w stężeniu pośmiertnym. Mierzwa zdążył jeszcze wygiąć jego koniec. Trzymał w dłoni wytrych doskonały.

Jeden szybki ruch i zamek ustąpił. Tylko dwie zapadki. Marne zabezpieczenia. Typowe, że ludzie nigdy nie spodziewali się ataku od spodu.

Znalazł się w wykładanym parkietem korytarzu. Cała chałupa śmierdziała forszą. Mógłby się tu nieźle obłowić, gdyby tylko miał czas.

Tuż pod architrawem umieszczono kamery, czujne, lecz gustownie ukryte w naturalnym cieniu. Mierzwa stał przez chwilę, obliczając, gdzie znajduje się ślepe pole. Trzy kamery, z których każda wykonywała obrót o 270 stopni. Przejścia nie było.

–Mógłbyś poprosić o pomoc – odezwał się głos w jego uchu.

Ogierek.

Mierzwa wycelował uzbrojoną źrenicę w najbliższą kamerę.

–Możesz coś z tym zrobić? – szepnął. Usłyszał klekot klawiatury i nagle jego prawe oko wykonało najazd niczym teleobiektyw.

–Sprytne – odetchnął Mierzwa. – Muszę sobie takie sprawić.

–Nie ma mowy, osadzony – zatrzeszczał w maleńkim głośniczku głos Bulwy. – To z przydziału służbowego. A poza tym, co wam z tego przyjdzie w więzieniu? Będziecie robili zbliżenia ściany celi?

–Uroczy jesteś, Juliuszu, nie ma co. Czyżbyś zazdrościł, że udało mi się dostać tam, gdzie tobie się nie powiodło?

Grube przekleństwa Bulwy zagłuszył głos Ogierka.

–Okej, załatwione. To prosty system wideo. Nawet nie cyfrowy. Przekażę do każdej kamery obraz z ostatnich dziesięciu sekund, powtarzający się w pętli. Dzięki temu zyskasz kilka minut.

Mierzwa poruszył się niespokojnie.

–Ile muszę czekać? Jestem tu trochę na widelcu, rozumiesz.

–Już nadaję – odparł Ogierek. – Więc rusz się.

–Jesteś pewien?

–Pewnie, że jestem pewien. Elementarna elektronika. Od przedszkola zajmuję się ludzkimi systemami ochrony. Po prostu musisz mi zaufać.

Prędzej uwierzę, że kupa Błotnych Ludzi nie spowoduje wymarcia jakiegoś gatunku, niż zaufam specjalście z SKR, pomyślał Mierzwa. Ale głośno jedynie potwierdził:

–Dobra, to idę. Bez odbioru.

Skradając się, ruszył korytarzem. Nawet jego dłonie zdawały się skradać, płynąc w

powietrzu, jakby dzięki nim krasnal stawał się lżejszy. Pomysł fauna okazał się skuteczny; na schodach nie pojawił się żaden wzburzony człowiek, wymachujący prymitywną prochową bronią.

Schody, ach, schody. Mierzwa miał słabość do schodów. Wyglądały niczym pierwociny szybów kopalnianych, jakby czekały specjalnie na niego, a u ich szczytu nieodmiennie znajdował się najlepszy łup. Tutejsze były imponujące – pociemniały dąb, misternie rzeźbiony w stylu, który patrzącemu zazwyczaj kojarzył się z osiemnastym wiekiem lub obrzydliwym bogactwem. Mierzwa przeciągnął palcem po wymyślnej poręczy.

W tym wypadku, pomyślał, pewnie mamy i jedno, i drugie.

Jednak nie miał czasu na zachwyty. Schody zazwyczaj niedługo pozostawały puste, zwłaszcza podczas oblężenia. Kto wie, ilu krwiożerczych żołdaków czaiło się za każdymi drzwiami, pragnąc dodać do swoich trofeów wypchaną głowę wróżki?

Ostrożnie wchodził coraz wyżej, gotów na niespodzianki – nawet lity dąb niekiedy skrzypi. Posuwał się przy ścianie, unikając biegnącego środkiem chodnika. Wiedział z doświadczenia, jak łatwo ukryć alarm uciskowy pod grubym włosiem starego kobierca.

Na półpiętro dotarł cały i zdrowy; niemniej groziła mu, całkiem dosłownie, erupcja kolejnego problemu. Trawienie krasnali odbywa się w sposób przyspieszony i miewa wybuchowy przebieg. Luźny grunt, na którym leżał majątek Fowlów, zawierał sporo powietrza, którego duża część, wraz z ziemią i minerałami, znajdowała się obecnie w jelitach Mierzwy. Powietrze to bardzo pragnęło wydostać się na zewnątrz.

Krasnalowa etykieta wymaga, by wiatry puszczają tylko w tunelach, lecz Mierzwa na ogół nie miał cierpliwości do manier. Teraz jednak żałował, że nie poświęcił chwili, aby pozbyć się gazów w piwnicy. Gazy krasnali wydobywają się w dół, nigdy do góry – wyobraźcie sobie, jeśli łaska, katastrofalne skutki beknięcia w chwili, gdy przełykacie kęs gliny. Całkowita zapaść systemu. Niepiękny widok. A zatem anatomia gwarantuje, że wszystkie gazy wędrują w dół, wręcz wspomagając wydalanie niepożądanego błota. Notabene, mógłbym to wszystko sformułować prościej, ale wówczas ta książka nadawałaby się raczej dla dorosłych.

Mierzwa objął brzuch ramionami. Musiał wydostać się na świeże powietrze – od wybuchu na półpiętrze wyleciałyby okna. Pośpiesznie podreptał korytarzem i wpadł w pierwsze napotkane drzwi.

Znowu kamery, nawet dość dużo. Mierzwa przyjrzał się zasięgowi obiektywów. Cztery z nich śledziły większą część podłogi, pozostałe trzy stały nieruchomo.

–Ogierek? Jesteś tam? – szepnął krasnal.

–Nie – padła typowa, sarkastyczna odpowiedź. – Mam lepsze rzeczy do roboty niż martwić się o upadek cywilizacji w postaci, jaką znamy.

–Ależ proszę bardzo, baw się dalej. Nie możemy przecież pozwolić, aby zagrożenie dla mojego życia zakłóciło twoją radość.

–W żadnym wypadku.

–Mam dla ciebie zadanie.

Ogierek natychmiast się zainteresował.

–Tak? Mów.

Mierzwa spojrział w stronę kamer, na poły ukrytych w zawijasach architrawy.

–Muszę wiedzieć, gdzie są wycelowane te kamery. Dokładnie.

–To żadne zadanie – zaśmiał się Ogierek. – Stare systemy wideo emitują słabe promieniowanie jonizujące. Oczywiście, niewidzialne dla nieuzbrojonego oka, ale twoja kamera tęcząkowa...

Sprzęt w oku Mierzwy zaiskrzył, obraz zamigotał.

–Auu!

–Przepraszam. Mały ładunek.

–Mogłeś mnie uprzedzić.

–Dam ci buzi, jak będzie po wszystkim. A ja myślałem, że krasnale są odporne...

–Dobrze myślałeś. Jak wrócę, to ci pokażę, jakie jesteśmy odporne.

–Nic nikomu nie pokażecie, osadzony – głos Bulwy wdarł się między te popisy. – Chyba że kibel pod celą. No, mówcie, co widzicie?

Mierzwa jeszcze raz obrzucił pokój wzrokiem, uwrażliwionym na jony. Każda kamera rzucała cienki promień, podobny ostatnim blaskom zachodzącego słońca. Promienie zlewały się w jedno na portrecie Artemisa Fowla seniora.

–No nie, tylko nie za obrazem, jak zwykle...

Mierzwa przyłożył ucho do szkła portretu. Żadnej elektryczności, zatem nie było tu alarmu. Na wszelki wypadek powąchał krawędź ramy. Żadnego plastiku ani miedzi; nic, tylko drewno, stal i szkło. Trochę ołowiu w farbie. Wsadził paznokiec za ramę i

pociągnął. Obraz odchylił się gładko na umieszczonych z boku zawiasach. A za nim ukazał się sejf.

–To sejf- powiedział Ogierek.

–Wiem, idioto. Próbuję się skupić! Jeżeli chcesz pomóc, podaj mi kombinację.

–Nie ma sprawy. Czeka cię następny wstrząsik. Może dzidzia chciałaby na pociechę possać paluszek?

–Ogierek, niech no ja cię... Auu!

–Już. Włączyłem ci rentgen.

Mierzwa spojrział na sejf. To było niesamowite! Wyraźnie widział jego mechanizm, ciemne zarysy zapadek i bębneków rysowały się jak na dłoni. Dmuchnął na owłosione paluchy i obrócił tarczę. Po kilku sekundach sejf stał przed nim otworem.

–Och – powiedział zawiedziony.

–Co się stało?

–Nic. Ludzka waluta. Nic wartościowego.

–Zostawcie – rozkazał Bulwa. – Spróbujcie w innym pokoju. Do roboty.

Mierzwa skinął głową. Musiał spróbować gdzie indziej. Czas naglił. Ale coś nie dawało mu spokoju. Skoro ten facet jest taki cwany, czemu ukrył sejf za obrazem? Przecież to kompletny banał. Obniżenie poziomu. Nie, coś tu nie pasuje. Ktoś ich nabiera.

Zamknął sejf i pchnął obraz ku ścianie. Portret obrócił się na zawiasach gładko, jakby nic nie ważył. Nic nie ważył? Mierzwa znów odchylił obraz i ponownie go domknął.

–Osadzony, co robicie?

–Zamknij się, Juliusz! Znaczy się, proszę o chwilę ciszy, komendancie.

Mrużąc oczy, Mierzwa przyjrzał się ramie z profilu. Trochę grubsza niż zwykle. Właściwie, znacznie grubsza. Nawet biorąc pod uwagę szkło. Pięć centymetrów. Przeciągnął paznokciem wzdłuż grubych pleców obrazu, które odpadły, ukazując...

–Drugi sejf.

Mniejszy, najwyraźniej robiony na zamówienie.

–Ogierek, rentgen nie działa.

–Wyściółka z ołowiu. Musisz radzić sobie sam, włamywaczu. W końcu to właśnie robisz najlepiej.

–Typowe – mruknął Mierzwa, rozplaszczając ucho o zimną stal.

Eksperymentalnie pokręcił tarczą. Chodziła świetnie. Ołów tłumił stuknięcia, będzie trzeba nieźle się skoncentrować. Na szczęście zamek tak cienki mógł mieć najwyżej trzy bębunki.

Wstrzymując oddech, zaczął obracać tarczę po jednym zębku. Dla zwykłego ucha stuknięcia, nawet wzmocnione, wydawały się takie same. Ale dla Mierzwy każdy ząbek miał odrębną, charakterystyczną sygnaturę dźwiękową, a kiedy zaskakiwał, wydawał hałas wręcz ogłuszający.

–Jeden – odetchnął głęboko.

–Pośpieszcie się, osadzony. Czas wam się kończy.

–Przerwałeś mi, żeby to oznajmić? Już rozumiem, w jaki sposób dorobiłeś się rangi komendanta.

–Osadzony, mam zamiar...

Ale mówił na próżno. Mierzwa wyjął słuchawkę z ucha i wsunął ją do kieszeni. Teraz mógł całkowicie poświęcić się zadaniu.

–Dwa.

Na zewnątrz rozległ się jakiś hałas. Ktoś szedł korytarzem – sądząc z odgłosów, osobnik rozmiaru słonia. Niewątpliwie ów osławiony człowiek góra, który zdziesiątkował grupę Odzysku.

Mierzwa zamrugał, gdyż pot kapał mu do oka. Skupić się. Skupić się. Zębki przesuwają się ze stukiem milimetr po milimetrze. Nic. Podłoga wydawała się lekko podskakiwać, choć może był to tylko skutek pobudzonej wyobraźni.

Stuk, stuk. No, chodźże. Szybciej. Szybciej. Tarcza ślizgała się pod spoconymi palcami krasnala. Mierzwa otarł dłoń o kurtkę,

–No, kotku, no, już. Powiedz coś. *Stuk. Łup.*

–Tak!

Mierzwa przekręcił uchwyt. Nic. Jakaś przeszkoda. Przeciągnął czubkiem palca po

metalowej powierzchni. Tam. Mała nierówność. Mikroskopijna dziurka, za mała na zwykły wytrych. Pora zastosować sztuczkę, której nauczył się w więzieniu. Ale szybko, gdyż brzuch bulgotał mu coraz bardziej, jak zupa, gotująca się w garnku, a ponadto kroki za drzwiami zbliżały się nieubłagane.

Wybrał z brody mocny włos i delikatnie wsunął go do dziurki. Kiedy koniuszek włosa ponownie się wynurzył, krasnal szybko wyrwał go z podbródka. Włos od razu zeszywniał, zachowując kształt wnętrza zamka.

Mierzwa wstrzymał oddech i przekręcił. Zamek ustąpił gładko niczym kłamstwo płynące z ust goblina. Cudnie, Dla chwil takich jak ta niemal warto siedzieć w kryminale.

Drzwiczki otwały się na oścież. Były lekkie jak opłatek – śliczna robota, godna kuźni elfów. Wewnątrz znajdowała się mała komora, a w niej...

–Bogowie miłosierni – tchnął Mierzwa.

I wówczas wydarzenia uległy przyśpieszeniu. Wstrząs, jaki krasnal przeżył na widok zawartości sejfu, udzielił się jego kiszkom, te zaś uznały, że muszą wreszcie pozbyć się nadmiaru powietrza. Mierzwa rozpoznał objawy – nogi jak z galarety, bulgot i skurcze brzucha, drżenie zadka. Wykorzystując nieliczne sekundy, które mu zostały, porwał za pazuchę przedmiot leżący w sejfie i pochylił się, wsparłszy ręce na kolanach.

Powstrzymywane dotychczas wiatry wezbrały niczym minicyklon i nie dały się już opanować. Podmuch wyrwał się brutalnie z Mierzwy, rozerwał klapkę na tyłku i z całą mocą uderzył rozbryzgiem w dużego dżentelmena, skradającego się tuż za plecami krasnala.

Artemis siedział przy monitorach jak przyklejony. Teraz, gdy minęła połowa przewidywanego czasu operacji, kidnaperom zazwyczaj powijała się noga. Uśpieni dotychczasowym powodzeniem osłabiali czujność, zapalali papierosa i wdawali się w pogawędki z zakładnikami. I zanim się obejrzel, leżeli na brzuchu z tuzinem luf wbitych w tył głowy. Ale Artemis Fowl nie robił takich błędów.

Wróżki niewątpliwie przejrzały nagrania pierwszej tury negocjacji, szukając punktu zaczepienia. I rzeczywiście, istniała tam pewna wskazówka. Wystarczyło tylko dobrze się przyjrzeć. Ukryta dostatecznie głęboko, by wyglądała na przypadkową.

Możliwe również, iż komendant Bulwa spróbuje innego wybiegu. Niezły z niego chytrus, bez dwóch zdań. Tacy jak on nie godzą się łatwo z porażką, zwłaszcza z rąk dziecka. Należy bacznie go śledzić.

Na myśl o Bulwie Artemis zadrżał; lepiej wszystko sprawdzić jeszcze raz. Julia nadal

przebywała w kuchni, szorując warzywa przy zlewie. Kapitan Nieduża leżała na pryczy nieruchoma jak trup. Przestała już walić w podłogę. Być może mylił się co do niej; być może nie miała żadnego planu.

Butler stał na posterunku na zewnątrz celi Holly. Dziwne. Powinien był już udać się na obchód. Artemis chwycił przenośne radio,

–Butler?

–Do bazy. Odbiór.

–Nie powinienes iść na obchód?

–Właśnie idę, Artemisie – odparł służący po niewielkiej przerwie. – Patroluję główny korytarz. Ten, który prowadzi do pokoju z sejfem. Teraz macham do ciebie.

Artemis zerknął na obraz z korytarza. Pusto. We wszystkich kątach. Żadnego machającego sługi. Przyjrzał się monitorom, licząc pod nosem... Aaa! Co dziesięć sekund następowało drgnięcie obrazu. Na wszystkich ekranach.

–Pętla! – wrzasnął, zrywając się z fotela. – Transmitują nam obraz w pętli!

Przez głośniki usłyszał, jak Butler zrywa się do biegu.

–Sejf!

Żołądek Artemisa pograżył się w piekle mdłości. Nabrany! On, Artemis Fowl, dał się nabrać, a przecież spodziewał się tego! Nie do wiary! Przez arogancję, przez własną, oślepiającą arogancję, doprowadził do zawalenia się planu!

Przełączył przenośne radio na pasmo Julii. Żałował teraz, że wyłączył domowy system głośników, ale nie działały na bezpiecznej częstotliwości.

–Julia?

–Odbiór.

–Gdzie jesteś?

–W kuchni. Na tej tarce kompletnie zniszczę sobie paznokcie.

–Zostaw to i sprawdź, co robi uwięziona.

–Ale, Artemisie, obrane marchewki mi wyschną!

–Zostaw to, Julio! – krzyknął Artemis. – Rzuć wszystko i sprawdź zakładniczkę!

Julia posłusznie wszystko rzuciła, w tym również przenośne radio. Teraz przez tydzień będzie się dąsać. Trudno. Nie pora, by przejmować się przewrażliwioną nastolatką. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

Nacisnął główny przełącznik skomputeryzowanej sieci obserwacyjnej. Jedyne sposoby pozbycia się pętli polegały na uruchomieniu systemu od nowa. Po kilku dręczących momentach obraz na ekranach podskoczył i ustabilizował się. Ale nie był on bynajmniej taki, jak przed chwilą.

W pokoju z sejfem znajdowała się groteskowa istota, której najwyraźniej udało się odkryć sekretną komorę.

Nie dość na tym – udało się jej również otworzyć zamek włosowy. Zdumiewające. Na szczęście na miejscu był już Butler. Właśnie skradał się za stworzeniem, które lada chwila ocknie się z nosem w dywanie...

Artemis przeniósł uwagę na Holly. Wróżka znów waliła pryczą w podłogę, raz za razem, jakby chciała...

Objawienie spadło na Artemisa niczym strumień z armatki wodnej. Jeżeli Holly jakoś przemyciła tu żołądź, to wystarczył jej jeden centymetr kwadratowy ziemi. A gdyby Julia zostawiła otwarte drzwi...

–Julio! – krzyknął do przenośnego radia.-Julio, nie wchodź tam!

Jednak na nic się to nie zdało. Przenośne radio dziewczyny brzęczało bezsilnie na podłodze kuchni i Artemis mógł tylko z rozpaczą patrzeć, jak siostra Butlera zmierza wielkimi krokami ku drzwiom celi, mamrocząc coś o marchewkach.

–Sejf! – zawołał Butler, przyspieszając kroku. Instynkt podpowiadał mu, by natychmiast otworzyć ogień z miotacza, ale wyszkolenie wzięło górę. Sprzęt wróżek stanowczo przewyższał jego własny, a któż mógł wiedzieć, ile luf celuje w tej chwili w drzwi od środka. Nie, z całą pewnością w tej konkretnej sytuacji męstwo powinno polegać na ostrożności.

Położył dłoń na drzwiach, próbując wyczuć wibracje. Nic. A więc w środku nie ma żadnej maszyny. Ujął klamkę i lekko ją nacisnął. Drugą dłonią wymacał automat w kaburze pod pachą. Nie miał czasu szukać karabinu strzałkowego – będzie musiał strzelać, aby zabić.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, czego Butler się spodziewał, albowiem własnoręcznie naoliwił zawiasy w całym domu. Ujrzał... Szczerze mówiąc, Butler nie był całkiem pewien, co właściwie ma przed sobą. Gdyby nie wiedział, że jest inaczej, to na pierwszy rzut oka uznałby, że ta rzecz przypomina ogromną, drżącą...

I wówczas ta rzecz wybuchła, wyrzucając z siebie niesłychaną ilość przetrawionej tunelowej materii! Nieszczęsny służący miał uczucie, że wali weń sto młotów pneumatycznych naraz. Siła uderzenia uniosła go w górę i cisnęła o ścianę.

Resztkami umykającej świadomości zdążył się jeszcze pomodlić, by panicz Artemis nie uwiecznił tej chwili na wideo.

Holly słabła. Rama pryczy ważyła prawie dwukrotnie tyle, co ona sama, a ostre krawędzie okrutnie rozdzierały jej dłonie. Ale nie mogła przestać. Nie teraz, kiedy cel był tak blisko.

Ponownie spuściła pryczę na beton. Wokół jej nóg podniosła się spirala szarego pyłu. Lada sekunda Fowl zorientuje się, co wymyśliła, i znowu potraktuje ją zastrzykiem. Ale na razie...

Holly zacisnęła z bólu zęby i dźwignęła ramę do wysokości kolan. I wtedy zobaczyła. Smuga brązu na tle szarości. Czyżby się udało?

Zapominając o cierpieniu, kapitan Nieduża puściła łóżko i opadła na kolana. Rzeczywiście, spomiędzy okruchów betonu wзираła mała plamka ziemi. Grzebiąc kurczowo w bucie, Holly chwyciła żołędź i mocno zacisnęła w zakrwawionych palcach,

–Zwracam cię ziemi – szepnęła, wpychając palec w maleńki otwór. – A w zamian żądam należnego mi daru.

Przez jedno, być może dwa uderzenia serca nic się nie działo. I wtem Holly poczuła, jak czarodziejska moc wstrząsa jej ramieniem niczym szarpnięcie elektrycznego ogrodzenia przeciw trollom. Wirując, przeleciała przez pomieszczenie, świat zamigotał dziwnym kalejdoskopem barw, lecz kiedy wreszcie się uspokoił, Holly nie była już zwyciężonym, bezradnym elfem,

–Dobra, panie Fowl – zarechotała, patrząc, jak błękitne czarodziejskie iskierki błyskawicznie zamykają jej rany. – Zobaczmy, co da się zrobić, żeby otrzymać pańskie pozwolenie na opuszczenie tego miejsca.

–Rzuć wszystko – powtarzała nadąsana Julia. – Rzuć wszystko i sprawdź, co robi uwięziona. – Wprawną ręką odrzuciła jasne loki na ramiona. – Myśli, że jestem jego służącą, czy co?

Załomotała dłonią w drzwi celi.

–Wchodzę, droga wróżko, więc jeśli robisz coś krępującego, proszę, przestań.

Wybrała kombinację na zamku elektronicznym.

–Nie, nie przyniosłam ci warzyw ani wymytych owoców. Ale to nie moja wina. Artemis *na-le-gał*, żebym natychmiast tu przyszła...

Julia przestała mówić, ponieważ nikt jej nie słuchał. Przemawiała do pustego pokoju. Zaczekała, aż umysł podsunie jej jakieś rozwiązanie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. W końcu przez mgłę niezrozumienia przedarła się myśl, by spojrzeć jeszcze raz.

Niepewnie zrobiła krok do środka betonowej celi. Nic. Tylko lekkie migotanie, jakby opar w cieniu. To pewnie przez te głupie okulary. Jakże mogła dostrzec coś w podziemiach, mając na nosie okulary odblaskowe? I to w dodatku z lat dziewięćdziesiątych, nawet nie porządny stylowy model.

Spojrzała w kamerę z miną winowajczynie. Cóż mogło zaszkodzić jedno małe spojrzenie? Szybkim ruchem uniosła oprawkę i potoczyła wzrokiem po pomieszczeniu.

I w owej chwili, jakby z powietrza, zmaterializowała się przed nią jakaś postać. Była to Holly. Uśmiechała się.

–Ach, to ty. Jak ci się udało... Wróżka przerwała jej ruchem ręki.

–Julio, czemu nie zdejmiesz tych okularów? Naprawdę, niezbyt ci w nich do twarzy.

Ma rację, pomyślała Julia. Cóż za piękny głos, jakby cały chór. Czy można się spierać z kimś o takim głosie?

–Jasne. Jaskiniowe okulary precz. Fajny głos, nawiasem mówiąc. Do re mi i tak dalej.

Holly postanowiła nie wgłębiać się w komentarze Julii. Już wtedy, gdy dziewczyna dysponowała pełnią władz umysłowych, porozumienie z nią było dostatecznie trudne.

–A teraz proste pytanie.

–Nie ma sprawy. – Jaki cudowny pomysł, pomyślała Julia.

–Ile osób jest w domu? Julia zadumała się. Jeden i jeden, i jedna. I jeszcze jedna? Nie, pani Fowl zachowywała się jak nieobecna.

–Troje – powiedziała w końcu. – Butler i ja oraz Artemis, oczywiście. Była tu także pani Fowl, ale zrobiła pa-pa, a potem zrobiła pa-pa.

Zachichotała. Całkiem dobry dowcip, prawda?

Holly zaczerpnęła tchu, aby poprosić o wyjaśnienie, lecz zmieniła zdanie.

Niesłusznie, jak się okazało.

–Widziałaś tu kogoś jeszcze? Takiego jak ja? Julia przygryzła wargę.

–Przyszedł tu pewien człowieczek. W takim samym mundurze jak twój. Ale niezbyt przyjemny, właściwie wcale a wcale. Tylko krzyczał i palił śmierdzące cygara. Miał okropną cerę, czerwoną jak burak.

Holly niemal się uśmiechnęła. No proszę, Bulwa zjawił się we własnej osobie. Nic dziwnego, że negocjacje skończyły się katastrofą.

–Nikogo poza tym?

–O ile mi wiadomo, nikogo. Kiedy zobaczysz się z tym gościem, powiedz mu, żeby odpuścił sobie czerwone mięso. Aż się prosi o zawał.

Holly z trudem powstrzymywała śmiech. Julia była jedyną znaną jej osobą ludzką, która pod wpływem mesmeryzacji wyrażała się bardziej zrozumiale niż przedtem.

–Dobrze, powtórzę. A teraz, Julio, chciałabym, żebyś została w tym pokoju i nie wychodziła stąd, bez względu na to, co usłyszysz.

–Tutaj? – skrzywiła się Julia. – Tu jest nudno. Nie ma telewizora ani nic. Może pójde do salonu?

–Nie. Musisz tu zostać. Zobacz, właśnie zainstalowali telewizję. Ekran jak w kinie. Wolna amerykanka dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Julia niemal omdlała z rozkoszy. Wbiegła do celi, wzdychając z zachwytu na widok obrazów, których dostarczała jej wyobraźnia.

Holly pokręciła głową z niedowierzaniem. No cóż, pomyślała, przynajmniej jedna z nas jest zadowolona.

Mierzwa potrząsnął zadkiem, aby pozbyć się zawieruszonych grud ziemi. Gdyby tylko mama mogła zobaczyć, jak ciska błotem w Błotnych Ludzi! To chyba nazywało się ironia, albo jakoś tak. W szkole Mierzwa nigdy nie wyróżniał się znajomością retoryki. Zresztą poezji też nie; nigdy nie wiedział, co autor chciał przez to powiedzieć. W kopalniach liczyły się tylko dwa zdania: „Patrzcie, złoto!”, oraz: „Wszyscy uciekać, zawał”! Żadne tam rymy ani ukryte znaczenia.

Zapiął klapak w portkach, otwartą przez huragan, który przed chwilą wydobył się z jego zadniego końca.

Pora zwiewać. Wszelką nadzieję, że uda się niepostrzeżenie uciec, porwał wiatr –

dosłownie,

Ponownie nałożył słuchawkę, wkręcając ją mocno w ucho. Nigdy nic nie wiadomo, czasem nawet SKR mogły okazać się użyteczne.

–...a kiedy was dopadnę, osadzony, pożałujecie, że nie zostaliście na dole w kopalni...

Mierzwa westchnął. No cóż, nic nowego.

Ściskając w garści skarb znaleziony w sejfie, krasnal odwrócił się i ruszył tam, skąd przyszedł. Jakież było jego zaskoczenie, gdy ujrzał człowieka, zaplątanego w balustradę schodów. Nie poczuł się bynajmniej zdziwiony faktem, że jego procesy trawienne odrzuciły słoniowatego Błotnego Człowieka o kilkanaście metrów; gazy krasnali bywały już przyczyną alpejskich lawin. Nie, zdumiał się tym, że człowiekowi udało się tak blisko go podejść.

–Nieży jesteś – rzekł, grożąc palcem nieprzytomnemu słudze. – Ale nikt, kogo dosięgnie podmuch Mierzwy Grzebaczka, nie ma prawa ustać na nogach.

Błotny Człowiek poruszył się i zamrugał, ukazując białka oczu.

W uszach krasnala zazgrzytał głos Bulwy: – Ruszcie się, Mierzwa Grzebaczek, zanim ten Błotniak wstanie i przefasonuje wam wątpia. Wiecie, że załatwił całą grupę Odzysku?

Mierzwa przełknął nerwowo ślinę, nagle tracąc cały animusz.

–Całą grupę Odzysku? Może powinienem zejść na dół... dla dobra operacji...

Przeskoczył stękającego ochroniarza i czym prędzej zbiegł na dół. Nie pora martwić się skrzypiącymi schodami, kiedy po korytarzu szaleje uruchomiony przed chwilą jelitowy odpowiednik huraganu „Hal”.

Docierał już do drzwi piwnicy, gdy wtem zogniskowała się przed nim migotliwa postać. Mierzwa rozpoznał funkcjonariuszkę, która aresztowała go za przemyt malowideł mistrzów renesansu.

–Kapitan Nieduża.

–Mierzwa. Nie spodziewałam się was tutaj spotkać.

–Juliusz miał brudną robotę – wzruszył ramionami krasnal. – Ktoś musiał ją wykonać.

–Kojarzę – kiwnęła głową Holly. – To dlatego, że straciliście czarodziejską moc.

Sprytnie. Czego się dowiedzieliście?

–To było u niego w sejfie – Mierzwa pokazał Holly znalezisko.

–Kopia Księgi! – zachłysnęła się Holly. – Nic dziwnego, że mamy taki pasztet. Cały czas tańczyliśmy, jak nam zagrał.

Mierzwa uchylił drzwi do piwnicy.

–Idziemy?

–Nie mogę. Dostałam wzrokowe polecenie, by nie opuszczać domu.

–Te wasze magiczne rytuały i przesady. Nie macie pojęcia, jak przyjemnie uwolnić się od zabobonów.

Z góry dobiegła seria głośnych dźwięków, jakby jakiś troll miotał się po sklepie z kryształami,

–O etyce porozmawiamy przy innej okazji. Teraz proponuje, byśmy stąd zniknęli.

–Zgoda – przytaknął Mierzwa. – Podobno ten koleś samodzielnie załatwił całą grupę? Odzysku.

Holly, na poły już osłonięta tarczą, zatrzymała się.

–Całą grupę? Hmm. W pełnym rynsztunku? Ciekawe...

I rozplynęła się w powietrzu. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał Mierzwa, był jej szeroki uśmiech.

Krasnala kuśilo, aby jeszcze przez chwilę zostać na miejscu. Nie znał większej uciechy niż widok oddziału SKR w ciężkim ekwipunku, wyżywającego się na gromadzie niczego niepodważających ludzi. Kiedy kapitan Nieduża skończy robotę, ten cały Fowl będzie ją błagał, żeby wyniosła się z jego dworu.

Wzmiankowany typ Fowl oglądał całą scenę na ekranach kontrolnych. Nie ma co ukrywać, sprawy nie wyglądały dobrze. Wyglądały wręcz fatalnie. Ale nie stało się nic nieodwracalnego. Była jeszcze nadzieja.

Podsumował wydarzenia ostatnich kilku minut. Bezpieczeństwo dworu zostało nadwerżone. Pokój z sejfem, zdemolowany przez jakieś wzdęte stworzenie, zamienił się w pobożowisko. Butler leżał nieprzytomny, być może sparaliżowany wskutek tej samej gazowej anomalii. Zakładniczka, której przywrócona została magiczna moc, poruszała się swobodnie po domu.

Obmierzły typ w skórzanych portkach rył pod fundamentami, najwyraźniej nie zwracając uwagi na przykazania Małego Ludu. A ponadto elfom udało się odzyskać egzemplarz Księgi, choć były jeszcze inne, a wśród nich zapisana na dysku kopia, zamknięta w szwajcarskim skarbcu.

Artemis powoli gładził zablakany kosmyk ciemnych włosów. Z ogromnym trudem szukał dobrych stron powyższego scenariusza. Kilkakrotnie odetchnął głęboko; musiał odnaleźć swoje *chi*, tak jak nauczył go Butler.

Po kilku chwilach kontemplacji zdał sobie sprawę, że nic z tego, co zaszło, nie wpływa znacząco na całościową strategię obu stron. Kapitan Nieduża nadal pozostaje uwięziona we dworze, ponadto okres zatrzymania czasu nieubłaganie zbliża się do końca. Niedługo jedynym wyjściem dla SKR będzie zdetonowanie biobomby, a wówczas on, Artemis Fowl, zada śmiertelny cios. Oczywiście, teraz wszystko zależało od komendanta Bulwy. Jeśli jego możliwości intelektualne były tak nikłe, na jakie wyglądały, cały plan Artemisa mógł lec w gruzach. Chłopiec żywił gorącą nadzieję, że ktoś w zespole wróżek ma dość rozumu, aby dostrzec błąd, popełniony przezeń w czasie spotkania negocjacyjnego.

Mierzwa odpiął klapkę w portkach. Pora napchać się piachu, jak mawiali w kopalni. Tunele krasnali miały tę wadę, że zamykały się za nimi, więc kiedy ktoś chciał się cofnąć tą samą drogą, musiał kopać dziurę od nowa. Niektóre krasnale wracały po swoich śladach, przeżuwając mniej zbitą, już przetrawioną ziemię. Mierzwa wolał wykopać świeży tunel. Z jakiegoś powodu powtórne zjedanie tego, co przerobił, niezbyt mu odpowiadało.

Rozluźnił szczęki i wycelował ciało niczym torpedę ku dziurze w deskach podłogi. Zapach minerałów wypełnił mu nozdrza, natychmiast łagodząc jego niepokój. Bezpieczny, nareszcie bezpieczny. Nic nie mogło dogonić krasnala pod ziemią, nawet skaliański smok skalny. To znaczy, gdyby zdołał dostać się pod ziemię...

Dziesięć potężnych palców chwyciło Mierzwę za kostki nóg. Ależ pechowy dzień – najpierw krostowaty, a teraz ten człowiek zabójca. Niektórzy ludzie niczego się nie uczą. Zwłaszcza Błotni Ludzie.

–Uuu – wymamrotał krasnal, bezsilnie kłapiąc luźną szczęką.

–Nie ma szans – dobiegła go odpowiedź. – Z tego domu wyjdiesz tylko w foliowym worku.

Mierzwa poczuł, że ktoś ciągnie go do tyłu. Człowiek musiał być bardzo silny – niewiele stworzeń umiało oderwać krasnala od tego, co raz chwycił. Jął pośpiesznie kopać nasyconą winem ziemię i wpychać ją garściami do przepastnej gęby. Miał tylko jedną szansę.

–Chodź, ty mały goblinie. Wylaż.

Goblinie! Gdyby nie konieczność zjadania gliny, którą zamierzał wystrzelić w swego wroga, Mierzwa z pewnością dałby wyraz oburzeniu.

Człowiek zamilkł. Być może zauważył odpiętą klapkę na tyłku, a być może sam tyłek. W każdym razie, na pewno przypomniał sobie, co go spotkało w pokoju z sejfem...

–O...

Możemy się jedynie domyślać, co miało nastąpić po owym „O”, ale gotów jestem iść o zakład, że bynajmniej nie sformułowanie „to ci dopiero”. Butler po prostu nie dokończył zdania, albowiem nader roztropnie postanowił rozluźnić uścisk i puścić krasnala. Mądra to była decyzja, gdyż Mierzwa wybrał właśnie ten moment, aby przypuścić ziemną ofensywę.

Bryła zbitej gliny pędząca z prędkością kuli armatniej ugodziła w punkt, gdzie dosłownie przed sekundą znajdowała się głowa Butlera. Gdyby owa część ciała sługi pozostała na dawnym miejscu, zapewne straciłaby kontakt z resztą jego osoby – niegodny koniec dla ochroniarza takiego kalibru. Teraz mokry pocisk zaledwie musnął go w ucho, lecz i to wystarczyło, by obrócić nim niczym łyżwiarzem w piruecie i rzucić go na tyłek po raz drugi w ciągu kilku minut.

Kiedy Butler odzyskał ostrość widzenia, krasnal zniknął już w wirze błotnistej mazi. Służący zrezygnował z pościgu; podziemna śmierć nie figurowała na jego liście pilnych spraw do załatwienia. Jeszcze się spotkamy, maluchu, pomyślał ponuro. I rzeczywiście. Ale to już zupełnie inna historia.

Zanim Mierzwa zorientował się, że nikt go nie ściga, z rozpędu pokonał kilka metrów gliniastej gleby. Jego tętno uspokajało się z wolna pod wpływem smaku ziemi. Postanowił wprowadzić w życie plan ucieczki.

Zmienił kurs, kierując się ku zauważonej wcześniej króliczej norze. Liczył na to, że szczęśliwym trafem Ogierek nie poddał okolic majątku badaniom seismologicznym – w przeciwnym razie podstęp niechybnie zostałby odkryty. Całą nadzieję Mierzwa pokładał w tym, że na razie wróżki miały na głowie ważniejsze sprawy niż zbiegłego więźnia. Oszukanie Juliusza nie stanowiło problemu, ale faun – o, to była chytra sztuka.

Podążając za niezawodnym kompasem wewnętrznym, po kilku minutach wyczuł pierwsze, łagodne wibracje królików, biegających po korytarzach nory. Jeżeli złudzenie miało być całkowite, od tej chwili synchronizacja nabierała kluczowego znaczenia. Mierzwa zwolnił tempo kopania, delikatnie wybierając miękki grunt, aż poczuł, że ściana tunelu kruszy się pod jego ręką. Starał się patrzeć w drugą stronę – pamiętał, że wszystko, co widzi, pojawia się na ekranach w komendzie głównej

SKR.

Przystanął i opierając dłoń o ziemię, rozpostarł palce na podobieństwo pająka. Nie czekał długo. Już po chwili usłyszał rytmiczne ruchy zbliżającego się królika i poczuł muśnięcie jego zadnich nóg. Zacisnął potężny uchwyt na szyi zwierzątka. Biedaczysko, nie miał najmniejszych szans.

Przykro mi, przyjacielu, pomyślał krasnal. Gdyby istniał jakiś inny sposób... Wciągając zwłoki królika do dziury, zważył zawiasy szczęk i zaczął krzyczeć:

–Zawał! Obryw! Pomocy! Pomocy!

Przyszła pora na najbardziej brawurową część planu. Mierzwa jedną ręką jął kopać i drapać otaczający go grunt, sypiąc sobie na głowę deszcz piachu, drugą zaś wyciągnął z oka kamerę tęczówkową i wsunął ją do żrenicy królika. Zakładał, że w prawie zupełnej ciemności, wśród osuwającej się ziemi, wykrycie zamiany będzie niemal niemożliwe.

–Juliuszu! Proszę, pomóż mi!

–Mierzwa? Co się dzieje? Jaka jest twoja sytuacja?

Jaka jest sytuacja? – pomyślał osłupiały krasnal. Czy nawet w chwili domniemanego kryzysu ten cały komendant musi wciąż mówić biurokratycznym żargonem?

–Ja... Aach... – krasnal wydał przeciągły krzyk rozpacz, kończąc go śmiertelnym, dławiącym klekotem.

Zabrzmiało to trochę melodramatycznie, ale Mierzwa nigdy nie umiał się oprzeć teatralnym efektom. Rzucając pożegnalne, pełne żalu spojrzenie na zdechłą zwierzę, rozluźnił ponownie szczęki i ruszył na południowy wschód. Słyszał zew wolności.

ROZDZIAŁ ÓSMY

TROLL

Bulwa wisiał nad mikrofonem i ryczał:

–Mierzwa! Co się dzieje? Podaj swoją pozycję! Ogierek wściekle walił w klawiaturę.

–Straciliśmy fonię. Czujniki ruchu nie reagują.

–Mierzwa! Odezwij się, do cholery.

–Sprawdzam jego funkcje życiowe... Hej!

–Co? Co się stało?

–Serce mu oszalało. Bije jak u królika...

–Królik?

–Nie, proszę zaczekać, chyba...

–Co? – wstrzymał oddech komendant, straszliwie pewien, że już wie, co się stało. Ogierek opadł na krzesło.

–Stanęło. Nie ma tętna.

–Jesteście pewni?

–Urządzenia nie kłamią. Za pośrednictwem kamery tęczątkowej można śledzić wszystkie funkcje organizmu. Ani drgnie. Nie żyje.

Bulwa nie mógł tego pojąć. Mierzwa Grzebaczek, jeden ze stałych elementów w jego życiu, umarł? Nie do wiary.

–Ale wiecie co, Ogierek? On zrobił swoje. Odzyskał kopię Księgi, ni mniej, ni więcej, a w dodatku potwierdził, że kapitan Nieduża żyje.

–Tak, tyle że... – faun zmarszczył brew.

–Co? – zapytał podejrzliwie Bulwa.

–Nic, tylko wydaje mi się, że tuż przed końcem miał nienormalnie szybkie tętno.

–Pewnie jakieś zakłócenia.

–Wątpię – Ogierek pozostawał nieprzekonany. – Moje pluskwy nie miewają pluskiew.

–Więc jak w takim razie wytłumaczycie to, co zaszło? Przecież macie jeszcze wizję?

–Tak. Ale oko jest niewątpliwie martwe. W mózgu nie ma już żadnej elektrycznej iskry, kamera działa dzięki własnej baterii.

–No, to po wszystkim. Nie istnieje inne wyjaśnienie.

–Na to wygląda – przytaknął Ogierek. – Chyba, że... Ale nie, to fantastyczne...

–Przypominam, że mówimy o Mierzwie Grzebacz-ku. W jego wypadku nic nie jest zbyt fantastyczne.

Ogierek otworzył usta, by dać wyraz swej nieprawdopodobnej teorii, lecz zanim zdążył przemówić, drzwi wahadłowca otworzyły się.

–Mamy go! – zawołał triumfalny głos.

–Tak! – zawtórował mu drugi. – Fowl się pomylił!

Bulwa obrócił się na krześle. Stali przed nim Argon i Kumulus, tak zwani analitycy behawioralni.

–A, postanowiliśmy wreszcie zapracować na honorarium?

Lecz zjednoczeni w swoim entuzjazmie profesorowie tym razem nie dali się zastraszyć. Kumulus miał wręcz śmiałość machnąć ręką na sarkazm komendanta. Ten właśnie gest, bardziej niż cokolwiek innego, kazał Bulwie słuchać uważnie.

Argon przepchnął się obok Ogierka i wsunął płytę optyczną do odtwarzacza na konsoli. Ukazała się twarz Artemisa Fowla, sfilmowana przez kamerę, umieszczoną w tęczęwce Bulwy.

–Będziemy w kontakcie – powiedział nagrany głos komendanta. – Nie martw się, sam znajdę wyjście.

Twaz wstającego z krzesła Fowla znikła na chwilę poza kadrem. Bulwa podniósł wzrok i zdążył uchwycić następną, lodowatą wypowiedź:

–Proszę bardzo. Ale niech pan pamięta, nikt z waszej rasy nie ma tu wstępu, póki ja żyję. Argon triumfalnie nacisnął przycisk pauzy.

–No, widzicie!

Z twarzy Bulwy znikły resztki bladości.

–Widzimy? Widzimy co? Co widzimy?

Kumulus cmoknął, jakby miał przed sobą zapóźnione w rozwoju dziecko. Okazało się, że był to błąd. Nie minęła sekunda, a komendant trzymał go za spiczastą bródkę.

–A teraz – powiedział ze złudnym spokojem – spróbujcie przyjąć, że czas nagli, i wytłumaczcie mi wszystko bez żadnych pów i komentarzy.

–Człowiek powiedział, że nie możemy wejść, póki on żyje – pisnął Kumulus.

–No i?

–No i... Skoro nie możemy wejść, póki on żyje... -podjął wyjaśnienie Argon.

Bulwa odetchnął gwałtownie.

–To wejdziemy, kiedy umrze – dokończył. Kumulus i Argon rozpromienili się.

–Właśnie – odpowiedzieli zgodnym chórem.

–Nie wiem- podrapał się w brodę Bulwa.– Z punktu widzenia prawa stoimy na niepewnym gruncie.

–Wcale nie – zaprzeczył Kumulus. – To elementarne zasady gramatyki. Człowiek wyraźnie oświadczył, że dopóki on żyje, wstęp jest wzbroniony. Oznacza to, że wzywa nas, gdy umrze.

Komendant nie był przekonany.

–Możemy co najwyżej domniemywać, że zostaliśmy wezwań i.

–Nie – przerwał Ogierek. – Oni mają rację. Wszystko za tym przemawia. Kiedy Fowl umrze, drzwi będą szeroko otwarte, sam tak powiedział.

–Być może.

–Co być może? – wybuchnął Ogierek. – Na litość boską, Juliuszu, czego ci jeszcze trzeba? Może nie zauważyłeś, ale mamy tu sytuację kryzysową.

Bulwa powoli skinął głową.

–Po pierwsze, chyba macie słuszność. Po drugie, wyrażam zgodę. Po trzecie, dobra robota, wy dwaj. Po czwarte, Ogierek, jeśli jeszcze raz nazwiecie mnie Juliuszem, każę wam pożreć własne kopyta. A teraz połączcie mnie z Radą, muszą mi

zatwierdzić to złoto.

–Już się robi, wasza wysokość komendancie Bulwa -uśmiechnął się szeroko Ogierek, postanawiając dla dobra Holly puścić uwagę o kopytach mimo uszu.

–A więc przekazujemy im złoto – rozmyślał na głos Bulwa. – Oni wypuszczają Holly, my spuszczaemy na nich płukankę i spacerkiem odzyskujemy okup. Proste.

–Tak proste, że wręcz genialne – entuzjazmował się Argon. – A jaki sukces dla naszej profesji, zgodzi się pan, profesorze Kumulus?

Kumulusowi zakręciło się w głowie od nadmiaru możliwości.

–Cykle wykładów, publikacje... Co ja mówię, same prawa do filmu będą warte fortunę.

–Niech no socjologowie spróbują to wytłumaczyć. Mogą się wypchać ze swoim oklepanym schematem, że przyczyną społecznych zachowań jest trudne dzieciństwo. Ten smarkacz Fowl nigdy w życiu nie chodził głodny.

–Istnieją różne rodzaje głodu – zwrócił uwagę Argon.

–Słusznie. Głód sukcesu. Głód dominacji. Głód...

–Wynocha! – wrzasnął Bulwa. – Wynocha, zanim uduszę was obu! A jeśli usłyszę na ten temat choćby słowo w popołudniowym talk-show, będę wiedział, komu to zawdzięczać.

Konsultanci oddalili się ostrożnie z mocnym postanowieniem, by nie dzwonić do swoich agentów, dopóki znajdują się w zasięgu wzroku komendanta.

–Nie wiem, czy Rada na to pójdzie – wyznał Bulwa po ich odejściu. – To dużo złota.

–Ile dokładnie? – Ogierek podniósł wzrok znad konsoli.

Komendant pchnął w jego stronę kartkę papieru.

–Tyle.

–Rzeczywiście, sporo – gwizdnął Ogierek. – Tona. W niewielkich, nieoznakowanych sztabkach. Wyłącznie dwudziestoczworokaratowy kruszec. Cóż, przynajmniej liczba jest miła i okrągła.

–Bardzo pocieszające. Nie omieszkać nadmienić o tym Radzie. Masz już to połączenie?

Faun chrząknął. Przecząco. Właściwie to bezczelność, chrząkać na przełożonego. Bulwa nie miał siły przywoływać go do porządku, jednak odnotował sobie to zdarzenie w pamięci. Kiedy będzie po wszystkim, wstrzyma Ogierkowi wypłatę na kilka dziesięcioleci. Potarł zmęczone oczy. Różnica czasu zaczynała nań oddziaływać; umysł nie pozwalał mu zasnąć, nie spał bowiem, gdy zaczęło się zatrzymanie czasu, ale znużone ciało domagało się należytego odpoczynku.

Wstał z fotela i otworzył szeroko drzwi, aby wpuścić trochę powietrza. Nieświeżego. Zatrzymanego w czasie. Skoro nawet molekuly nie mogły się wymknąć z pola czasowego, jak chciał tego dokonać ludzki chłopiec?

Nagle jego uwagę zwróciły ruch i ożywienie przy portalu. Gromada ludzi w mundurach maszerowała, prowadząc klatkę poduszkowca, a na czele całej procesji, najwyraźniej zmierzającej w tę stronę, szedł Pałka. Bulwa wyszedł im na spotkanie.

–Co to ma być? – zapytał niezbyt przyjaźnie- – Jakiś cyrk?

Na poblądłej twarzy Pałki malowała się stanowczość.

–Nie, Juliuszu. Koniec z cyrkiem.

–Rozumiem – kiwnął głową Bulwa. – A to klauni? Ogierek wystawił głowę zza drzwi.

–Przepraszam, że psuję waszą wielką cyrkową metaforę, ale co jest, do cholery?

–Właśnie, poruczniku – przytaknął Bulwa, skinąwszy ku klatce poduszkowca. – Co jest, do cholery?

Pałka kilkakrotnie odetchnął głęboko, aby dodać sobie animuszu.

–Uczę się od ciebie Juliuszu.

–Coś podobnego?

–Owszem. Postanowiłeś wysiać do dworu istotę niepełnowartościową. Więc teraz na mnie kolej.

–Bez mojego zezwolenia, panie poruczniku – odparł Bulwa z niebezpiecznym uśmiechem – nie możecie nic postanowić.

Pałka bezwiednie cofnął się o krok.

–Rozmawiałem z Radą, Juliuszu. Mam ich pełne poparcie.

–To prawda? – Bulwa odwrócił się do Ogierka.

–Najwyraźniej. Właśnie dostałem potwierdzenie na linii zewnętrznej. Sprawę przejmuje Pałka. Powiedział Radzie o żądaniu okupu i o tym, że wypuściłeś pana Grzebaczka. Wiesz, jacy są nasi mędracy, kiedy muszą się rozstać z odrobiną złota.

Bulwa założył ręce.

–Mówiono mi o was, Pałka. Ostrzegano, że zadacie mi cios w plecy. Nie wierzyłem. Byłem idiotą.

–Nie chodzi o ciebie i mnie, Juliuszu. Chodzi o zadanie. To, co jest w tej klatce, daje nam największą szansę na sukces.

–A więc, co jest w tej klatce? Nie, nie musisz mi mówić. Jedyna poza Mierzwą nieczarodziejska istota w Podziemiu. Pierwszy troll, jakiego udało nam się pojmać od ponad stu lat.

–Właśnie. Doskonały sposób, żeby wykurzyć przeciwnika.

Policzki Bulwy rozgorzały od powściąganego z trudem gniewu.

–Nie do wiary, że w ogóle rozważasz taką możliwość.

–Spójrzmy prawdzie w oczy, Juliuszu. Zasadniczo mój pomysł nie różni się zbytnio od twojego.

–Ależ różni się. Mierzwa Grzebaczek sam dokonał wyboru i wiedział, co ryzykuje.

–Grzebaczek nie żyje?

–Chyba tak. – Bulwa znów przetarł oczy. – Nastąpił obwał.

–To tylko dowodzi, że mam rację. Troll nie da się tak łatwo zabić.

–Na litość boską, przecież to durne zwierze! Jak troll może wykonywać rozkazy?

Pałka uśmiechnął się, a spoza jego obaw wyjrzała świeżo nabyta pewność siebie.

–Jakie rozkazy? Po prostu wycelujemy go w stronę domu i zejdziemy mu z drogi. Zapewniam cię, że po chwili ci ludzie zaczną nas błagać, żebyśmy ich uratowali.

–A moja funkcjonariuszka?

–Troll znajdzie się pod kluczem, zanim kapitan Niedużej w ogóle coś zagrozi.

–I możecie mi to zagwarantować, tak? Pałka zawahał się.

–Gotów jestem... Rada jest gotowa podjąć ryzyko.

–Polityka- splunął Bulwa.– Dla was, Pałka, to tylko polityka. Jeszcze jeden powód do chwały w drodze do stanowiska w Radzie. Rzygać mi się chce na wasz widok.

–Jak sobie życzysz. Realizujemy moją strategię, i już. Rada mianowała mnie tymczasowym dowódcą, więc jeżeli nie potrafisz odsunąć na bok spraw osobistych, to przynajmniej nie przeszkadzaj, do cholery.

Bulwa przepuścił Pałkę.

–Niech się pan nie martwi, panie tymczasowy dowódco. Nie chcę mieć nic wspólnego z tą jatką. Zasługę przypisze pan sobie.

Pałka przybrał jak najszczerzy wyraz twarzy.

–Wbrew temu, co myślisz, Juliuszu, leży mi na sercu wyłącznie interes naszego Ludu.

–A zwłaszcza jednej osoby – parsknął Bulwa.

Pałka postanowił uderzyć w wysoki, moralizatorski ton.

–Nie muszę tu stać i dyskutować. Każda sekunda rozmowy z tobą jest sekundą straconą. Bulwa spojrzał mu w oczy.

–No, to straciłeś już ze sześćset lat, co, przyjacielu?

Pałka nie odpowiedział. Cóż miał rzec? Ambicja miała swoją cenę, a ceną tą była przyjaźń.

Odwrócił się do swego oddziału, złożonego z dobranych chochlików, lojalnych tylko wobec niego.

–Przeprowadźcie poduszkowiec w aleję. Nie zaczynamy, póki nie dam wam znać.

Przepchnął się obok Bulwy, kierując wzrok wszędzie, byle nie w stronę byłego przyjaciela. Jednak Ogierek nie pozwolił mu odejść bez komentarza.

–Hej, Pałka!

Nowo mianowany dowódca nie mógł tolerować takiego tonu, nie pierwszego dnia.

–Uważajcie, co mówicie, Ogierek. Nie ma ludzi niezastąpionych.

–Jakież to prawdziwe – zaśmiał się faun. – W tym cały problem, W polityce próbuje

się tylko raz. Pałka mimowolnie przystanął, zaciekawiony.

–Gdyby to o mnie chodziło – ciągnął Ogierek -i miałbym tylko jedną, jedyną szansę, żeby załatwić sobie miejsce w Radzie, na pewno nie uzależniałbym swojej przyszłości od jakiegoś trolla.

Świeżo nabyty tupet Pałki nagle wyparował, pozostawiając na jego twarzy lśniąca od potu bladość.

Pośpiesznie otarł twarz i podążył za oddalającym się poduszkowcem.

–Zobaczymy się jutro – zawołał za nim Ogierek. – Będziesz mi wynosił śmieci.

Bulwa roześmiał się. Chyba po raz pierwszy w życiu rozbawił go komentarz fauna.

–Zuch z was, Ogierek – uśmiechnął się szeroko. – Walcie tego zdrajcę, gdzie najbardziej boli, prosto w ambicję.

–Dzięki, Juliuszu.

Uśmiech Bulwy zniknął szybciej niż smażony ślimak w stołówce SKR.

–Ogierek, ostrzegałem was już w kwestii tego "Juliusza". A teraz dajcie mi znowu zewnętrzną linię. Chcę, żeby złoto było przygotowane, kiedy plan Pałki weźmie w łeb. Zbierzcie wszystkich moich popleczników w Radzie. Z pewnością popiera mnie Lope oraz Cahartez, być może również Vinyaya. Zawsze miała do mnie słabość, przecież jestem piekielnie przystojny.

–Żartuje pan, oczywiście.

–Nigdy nie żartuję – powiedział Bulwa z kamienną twarzą.

Holly wymyśliła prowizoryczny plan; pod osłoną tarczy zamierzała zakraść się w kilka miejsc, odświeżyć trochę czarodziejski arsenał i siać zniszczenie dotąd, aż Fowl będzie zmuszony ją wypuścić. A jeśli jego straty wyniosą kilka milionów funtów irlandzkich, cóż, tym lepiej.

Od lat nie czuła się tak dobrze. Jej oczy promieniały mocą, iskierki energii płonęły pod każdym centymetrem kwadratowym skóry. Zapomniała już, jakich wspaniałych doznań dostarcza naładowanie. Miała wrażenie, że panuje nad sytuacją, że wyruszyła na łowy. W tym celu została wyszkolona. Na początku afery przewagę mieli Błotni Ludzie, lecz teraz sytuacja się odwróciła. Ona była myśliwym, oni – zwierzyną.

Wbiegła na wielkie schody, czujnie wypatrując olbrzymiego sługi. Z tym osobnikiem stanowczo nie chciała się spotkać. Gdyby zacisnął palce na jej głowie,

nieodwracalnie przeszłaby do historii, bez względu na kask – oczywiście pod warunkiem, że uda się jej odnaleźć jakiś kask.

Rozległe domostwo przypominało mauzoleum. W jego historycznych murach nie było śladu życia. Ale portrety trochę Holly przerażały. Każdy z nich spoglądał na nią wzrokiem Fowlów, podejrzliwym i błyszczącym. Postanowiła, że spali je wszystkie, kiedy tylko odzyska swój neutrino 2000. Być może był to odwet, ale odwet zrozumiały, zważywszy, na co naraził ją Artemis.

Szybko weszła po łukowatych schodach i znalazła się w korytarzu pierwszego piętra. Pod ostatnimi drzwiami jaśniała smuga światła. Holly położyła dłoń na ścianie, wyczuwając drgania. Wszędzie panował ruch, krzyki – i kroki, zbliżające się ku niej niczym grzmot.

Odskoczyła, rozplaszczony się na aksamitnej tapecie. Ani o chwilę za wcześniej – z drzwi wypadła monumentalna postać i runęła korytarzem, zostawiając za sobą wir powietrznych prądów.

–Julio! – krzyknął służący, a imię jego siostry wisiało w przestrzeni jeszcze długo po tym, gdy zniknął za zakrętem schodów.

Nie martw się, Butler, pomyślała Holly. Julia bawi się jak nigdy w życiu, przykuta do wolnej amerykanki. Ale otwarte drzwi stanowiły nie lada okazję. Zanim mechaniczny zamek się zatrzasnął, wślizgnęła się do środka.

Wewnątrz czekał Artemis Fowl z filtrem przeciwtarczowym przytwierdzonym do okularów.

–Dobry wieczór, kapitan Nieduża – zagaił z pozornie niewzruszoną pewnością siebie. – Ryzykując banał, powiem, że spodziewałem się ciebie.

Holly nie zareagowała, nawet nie zerknęła na swego prześladowcę. Zamiast tego obrzuciła szybkim spojrzeniem pomieszczenie i tak jak była nauczona, przez chwilę zatrzymała wzrok na każdej powierzchni.

–Oczywiście, nadal wiąże cię złożona dzisiejszej nocy obietnica...

Ale Holly nie słuchała; ruszyła pędem ku stołowi roboczemu z nierdzewnej stali, przykręconemu do przeciwległej ściany.

–A więc, zasadniczo, sytuacja się nie zmieniła. Nadal jesteś moją zakładniczką.

–Tak, tak – mruknęła Holly, przesuwając palce po rządach skonfiskowanego Odzyskowi sprzętu. Wybrała kask przeciwradarowy i nasunęła go na swe spiczaste uszy. Poduszki wyściółki napęłniły się powietrzem i dopasowały do kształtu jej

czaszki. Była bezpieczna. Odbite w odblaskowej przyłbicy rozkazy Artemisa nic już dla niej nie znaczyły. Kabel mikrofonu wysunął się automatycznie, zapewniając natychmiastowy kontakt z bazą.

–...na zmiennych częstotliwościach. Nadajemy na zmiennych częstotliwościach. Holly, jeśli mnie słyszysz, kryj się.

Holly rozpoznała głos Ogierka, znajomy element w zwariowanej sytuacji.

–Powtarzam, kryj się. Pałka wysyła...

–Coś, co powinienem wiedzieć? – przerwał Artemis.

–Cicho – syknęła Holly, zaniepokojona tonem zazwyczaj beztroskiego Ogierka.

–Powtarzani, wysyła trolla, żeby spróbować cię uwolnić.

Holly przeszył dreszcz. Najwyraźniej teraz rządził Pałka. Niedobra, bardzo niedobra wiadomość.

Fowl znów się wtrącił.

–Wiesz, to niegrzeczne, tak lekceważyć gospodarza.

–Dosyć tego – warknęła Holly.

Zacisnęła pięść. Artemis nawet nie drgnął. Dlaczegoż miałby się bać? Przed ciosami zawsze chronił go służący. Ale wówczas kątem oka zauważył na pierwszym monitorze dużą postać, biegnącą po schodach. Butler.

–Tak jest, bogaty chłoptasiu – powiedziała Holly zjadliwie. – Jesteś zdany tylko na siebie.

I zanim Artemis zdążył się zdziwić, Holly napięła mięśnie i z całej siły przyłożyła swemu porywaczowi prosto w nos.

–Uff – jęknął, opadając na siedzenie.

–Uff. Długo na to czekałam! Ponownie skupiła się na głosie, który brzęczał jej do ucha:

–...do zewnętrznych kamer nadajemy obraz w pętli, żeby ludzie nie dostrzegli, że coś zbliża się aleją. Ale on nadchodzi, wierz mi.

–Ogierek? Ogierek, odbiór.

-Holly? To ty?

-A któż by inny? Ogierek, nie ma żadnej pętli. Widzę wszystko, co się dzieje.

-A to spryciarz. Pewnie uruchomił system od nowa.

W alei wrzało jak w ulu. Zespołem ruchliwych wrózek wyniośle dyrygował Pałka, ośrodkiem zamieszania zaś był wózek poduszkowca, wysoki na pięć metrów, unoszący się na warstwie sprężonego powietrza. Technicy zatrzymali go dokładnie naprzeciw drzwi dworu, a teraz mocowali do murów ciśnieniowy stempel kruszący. Po odpaleniu stempla kilka prętów z twardego stopu wbije się w skrzydła drzwiowe, skutecznie je rozbijając. Gdy kurz opadnie, troll ujrzy przed sobą ziejący otwór i będzie miał tylko jedno wyjście – do wnętrza domu.

Holly zerknęła na pozostałe monitory. Butlerowi udało się wywlec Julię z celi. Brat i siostra opuścili już piwnice i właśnie znajdowali się w holu wejściowym. Prosto na linii ognia.

-D'Arvit – zaklęła SKRZATka, zmierzając do stołu roboczego. Artemis uniósł się na łokciach.

-Uderzyłaś mnie – powiedział z niedowierzaniem. Holly przypięła do ramion kolibry.

-Tak jest, Fowl. I nie omieszkam znów tego zrobić. Więc zostań na miejscu, jeśli ci życie miłe.

Po raz pierwszy w życiu Artemis zdał sobie sprawę, że nie ma na podorędziu żadnego docinka. Otworzył usta, czekając, aż umysł dostarczy mu zwykłej, błyskotliwej riposty. Lecz na próżno.

Holly wsunęła do kabury neutrino 2000.

-Tak jest, Błotny Chłopaczk. Zabawa się skończyła. Pora, żeby sprawą zajęli się zawodowcy. Bądź grzeczny, a kupię ci lizaka, kiedy wrócę.

Wybiegła z pokoju i wzbila się pod starożytne dębowe sklepienie. Po jej odejściu Artemis długo myślał, aż wreszcie powiedział:

-Nie lubię lizaków.

Bolesna niestosowność tej odpowiedzi przeraziła go. Przecież to żalosne: „Nie lubię lizaków”. Żaden szanujący się przestępca za żadne skarby nie pomyślałby o lizakach. Doprawdy, musiał stworzyć bazę dowcipnych reakcji na takie okazje.

Całkiem możliwe, iż Artemis jeszcze długo siedziałby w fotelu, zupełnie oderwany od

bieżącej sytuacji, gdyby nie straszliwy wybuch przy frontowych drzwiach, od którego dwór zatrzęsł się w posadach. W takiej sytuacji każdy by się ocknął.

Przed tymczasowo pełniącym obowiązki dowódcy Pałką wylądował chochlik.

–Stempel umocowany, sir.

–Kapitanie, jesteście pewni, że ciasno przywiera? – zapytał Pałka. – Nie chciałbym, żeby troll poszedł w inną stronę.

–Ściśnięty jak kieszeń goblina. Nawet bańka powietrza się nie prześlizgnie. Ściśnięty jak ślimacze...

–Doskonale, kapitanie – pośpiesznie przerwał Pałka, nim chochlik zdążył dokończyć obrazowe porównanie.

Wózek poduszkowca zakołysał się gwałtownie, niemal odrywając się od poduszki powietrznej.

–Lepiej odpalajmy, obywatelu dowódcu. Jeśli go zaraz nie wypuścimy, moi chłopcy przez cały przyszły tydzień będą zeskrobywać...

–Dobrze już, dobrze, kapitanie. Wysadźcie już te drzwi, na litość boską.

Pałka skrył się za osłoną przeciwpodmuchową i na ekranie swego palmtopa zanotował: „Zwrócić uwagę chochlikom, żeby uważały, jak się wyrażają. W końcu jestem teraz dowódcą”.

Niestosownie wyrażający się kapitan okazał się dowódcą poduszkowca.

–Wysadź je, Chix! – rozkazał gromko. – Wysadź te cholerne drzwi z zawiasów!

–Tajest, sir. Z cholernych zawiasów, sir. Ale numer!

Pałka aż się skręcił. Musi jutro zwołać ogólne zebranie; na pewno do tej pory otrzyma już stopień komendanta. Nawet chochliki nie odważą się przeklinać, mając przed oczami lśniąca odznakę potrójnej żołędzi.

Mimo że kabina poduszkowca wyposażona była w kwarcową szybę, Chix nasunął na oczy gogle przeciw-odłamkowe. Dziewczyny je uwielbiały, a przynajmniej pilot tak uważał, w duszy bowiem postrzegał siebie jako posępnego śmiałka. Chochliki takie już są – dajcie takiemu parę skrzydeł, a uzna, że żadna się mu nie oprze. Ale niefortunne usiłowania Chiksa Gryzonia, aby zrobić wrażenie na damach, to zupełnie inna historia. W naszej opowieści ów osobnik spełnia tylko jedno zadanie – melodramatycznym gestem naciska przycisk „odpalaj”. Co też zamasyście uczynił.

Dwa tuziny sterowanych ładunków wybuchły jednocześnie, wyrzucając z komór dwa tuziny metalowych prętów, pędzących z prędkością półtora tysiąca kilometrów na godzinę. Napotkawszy przeszkodę, każdy z prętów rozbijał ją na proch w promieniu piętnastu centymetrów. Cholerne drzwi – jak powiedziałby kapitan – wyleciały z zawiasów, nie stawiając najmniejszego oporu.

Gdy opadł kurz, strażnicy podnieśli wewnętrzną, ograniczającą kratę klatki i jęli walić dłońmi w boczne ściany.

Pałka wychylił się zza osłony przeciwpodmuchowej.

–Wporządku, kapitanie?

–Cholerną minutkę, komendancie. Chix? Jak idzie? Chix spojrzał na monitor w kabinie.

–Ruszył się. Hałas go wystraszył. Wysuwa pazury. O rany, ale wielkie bydlę. Nie chciałbym być w skórze tej SKRZATki, kiedy wejdzie mu w drogę.

Pałka poczuł lekkie wyrzuty sumienia, które wszakże rozproszył dzięki swemu ulubionemu marzeniu -wizji samego siebie, rozsiadającego się w beżowym, aksamitnym fotelu Rady.

Klatka zakołysała się gwałtownie, omal nie wyrzucając z kabiny Chiksa, który z trudem utrzymał się w siedzeniu niczym jeździec rodeo.

–Oho! Idzie! Załadujcie broń, chłopcy. Mam wrażenie, że lada moment usłyszymy wołanie o pomoc.

Pałka nie zawracał sobie głowy ładowaniem broni. Zostawiał takie rzeczy szeregowym funkcjonariuszom. Jako pełniący obowiązki dowódcy uważał swoją osobę za zbyt ważną, by ją narażać na niebezpieczeństwo. Dla ogólnie rozumianego dobra Ludu oddalił się ze strefy bezpośrednich operacji.

Butler biegł w dół po cztery stopnie naraz. Chyba po raz pierwszy opuścił panicza Artemisa w chwili kryzysu. Ale Julia należała do rodziny i najwyraźniej źle się czuła. Wróżka coś jej powiedziała i teraz jego mała siostrzyczka siedziała w celi, zanosząc się od śmiechu. Obawiał się najgorszego. Gdyby spotkało ją nieszczęście, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

Poczuł, że po jego gładko wygolonej czaszce spływa strużka potu. Cała afera rozwijała się w nieoczekiwany, fantastyczny sposób. Wróżki, czary i zakładniczka, swobodnie poruszająca się po zamku. Jak Artemis mógł oczekiwać, że Butler sam zapanuje nad wszystkim? Nawet najpośledniejszy polityk potrzebował czterech ochroniarzy, a on miał w pojedynkę poradzić sobie z tą niemożliwą sytuacją?

Pędem wpadł do pomieszczenia, do niedawna będącego cełą kapitan Niedużej. Julia leżała wyciągnięta na pryczy i z zachwytem wpatrywała się w betonową ścianę.

–Co robisz? – wychrypiał, wprawnym ruchem wyciągając automat sig sauer. Siostra ledwie nań spojrzała.

–Cicho, ty wielka małpo. Walczy Louie Maszyna Miłości. Nie jest aż taki straszny, poradziłabym sobie z nim bez trudu.

Butler zamrugał. Julia bredziła; najwyraźniej została odurzona.

–Idziemy. Artemis czeka na górze, w sali operacyjnej.

Julia wyciągnęła wymanikiowany palec ku ścianie.

–Artemis może poczekać. To walka o tytuł mistrza międzykontynentalnego. I w dodatku mają prywatny zatarg. Louie zjadł ulubionego prosiaczka Człowieka Wieprza.

Służący przyjrzał się uważnie ścianie. Z całą pewnością była pusta. Nie miał już czasu na bzdury.

–Dobra, chodź – mruknął, przerzucając siostrę przez szerokie plecy.

–Niee! Ty brutalu! – zaprotestowała, waląc go po grzbiecie małymi piąstkami. – Nie teraz! Wieprz! Wieeeprz!

Butler zignorował jej obiekcje i zaczął biec długim krokiem. Kim, u licha, jest ten cały Wieprz? Pewnie któryś z jej chłopaków. W przyszłości będzie musiał baczniej się przyglądać, kto puka do budki odźwiernego.

–Butler? Odezwij się.

Artemis go wzywał. Butler przesunął siostrę trochę wyżej i wyciągnął z za pasa radiotelefon.

–Lizaki! – warknął jego pracodawca.

–Co mówisz? Chyba...

–Ee... Chciałem powiedzieć, wynoś się stamtąd. Kryj się! Kryj się!

Kryj się? Owo militarne określenie brzmiało dziwnie w ustach panicza Artemisa. Niczym pierścionek z brylantem w torbie z cukierkami.

–Kryj się?

–Tak jest, Butler! Kryj się! Sądziłem, że używając prostackiej terminologii, najprędzej pobudzę twoje funkcje poznawcze. Najwyraźniej myliłem się.

To brzmiało bardziej znajomo. Butler rozejrzał się po holu, szukając jakiejś kryjówki. Wybór miał niewielki, gdyż znajdowały się tu jedynie średniowieczne zbroje rycerskie, stojące wzdłuż ścian w regularnych odstępach. Służący dał nura za rycerza w czternastowiecznym rynsztunku, z lancą i maczugą.

Julia stuknęła zbroję w napierśnik.

–Myślisz, że jesteś silny? Dałabym ci radę jedną ręką.

–Cisza!– syknął Butler i jął nasłuchiwać. Coś zbliżało się do drzwi wejściowych. Coś dużego. Butler wysunął głowę i rzucił okiem do holu...

I wówczas drzwi eksplodowały – choć określenie to nie oddaje skali zdarzenia. Należałoby raczej powiedzieć, że drzwi rozpadły się w proch. Ostatnio służący był świadkiem podobnej katastrofy, gdy trzęsienie ziemi o sile siedmiu stopni w skali Richtera rozerwało na strzępy posiadłość kolumbijskiego barona narkotykowego tuż zanim on, Butler, zdążył ją wysadzić w powietrze. To, co stało się tutaj, miało zupełnie inny, bardziej lokalny charakter i zostało bardzo profesjonalnie zrobione. Klasyczna taktyka antyterrorystyczna – ogłuszyć przeciwnika dymem i hałasem, po czym wtargnąć, nim się otrząśnie. Nadchodziło coś bardzo złego.

Nie mylił się. Chmura pyłu opadła z wolna, osiadając białym nalotem na tunezyjskim kobiercu. Madame Fowl bardzo by się gniewała – to znaczy, gdyby wystawiła choć czubek nosa za drzwi poddasza. Instynkt podpowiadał Butlerowi ucieczkę, najlepiej od razu, zanim widoczność się poprawi. Powinien pobiec zakosami przez parter i przedostać się na wyższy poziom w schylonej pozycji, by zmniejszyć pole rażenia. Lada moment pod łukiem drzwi zaświszcze grad pocisków, a wówczas hol parteru będzie ostatnim miejscem, gdzie on, Butler, będzie chciał się znaleźć.

I każdego innego dnia Butler ruszyłby do ucieczki. Nim mózg zdążyłby pomyśleć, ciało znalazłoby się już w połowie schodów. Ale nie dzisiaj – dzisiaj za wszelką cenę musiał uniknąć morderczego ognia atakujących, dźwigał bowiem na ramieniu bredzącą siostrzyczkę. W swym oszołomieniu Julia gotowa była wyzwąć batalion elfich komandosów na turniej walki wręcz. Lecz choć bez przerwy się odgrażała, Butler wiedział, że jest zaledwie dzieckiem. Nie umiałaby stawić czoła wyszkolonemu wojsku. A zatem przykucnął, oparł Julię o gobelin i odbezpieczył broń. No, dobra. Skoro tak, pomyślał, to chodźcie i weźcie mnie, magiczne chłopaki.

Coś przemieszczało się w kłębach kurzu. Butler od razu pojął, że nie jest to człowiek – uczestniczył w zbyt wielu wyprawach safari, by nie rozpoznać zwierzęcia. Możliwe, że miał przed sobą małpę – budową górnej połowy ciała stworzenie

przypominało małpę afrykańską, ale było większe niż jakakolwiek człekokształtna istota, jaką służącemu zdarzyło się widzieć. Jeśli to małpa, pomyślał, to broń ręczna nie na wiele się przyda. W mózg dorosłego samca goryla można władować pięć kuł, a on i tak zdąży nas pożreć, zanim zrozumie, że nie żyje.

Ale nie była to małpa. Małpy nie mają oczu, które widzą w ciemności, ten zaś stwór posiadał świecące, czerwone źrenice, na poły skryte za zmierzwionymi kudłami. Miał też kły, choć nie takie jak słoń – bardziej zakrzywione, o zębatych krawędziach, w sam raz nadające się do patroszenia. Butler poczuł mrowienie w podbrzuszu. Już raz doznał takiego uczucia, a było to pierwszego dnia w akademii w Szwajcarii. Uczucie to nazywało się strach.

Istota wyszła z chmury pyłu. Butler wstrzymał oddech, znów po raz pierwszy od czasów akademii. Z takim przeciwnikiem jeszcze nie walczył. Zdał sobie sprawę, co zrobiły wróżki. Przysłały pierwotnego drapieżcę, istotę, której nie interesowały czary ani reguły, która po prostu zabijała wszystko, co spotkała na swej drodze, niezależnie od gatunku. Był to łowca doskonały; wyraźnie wskazywały na to ostre zęby mięsożercy, krew zaschnięta pod pazurami, a nade wszystko skoncentrowana nienawiść, bijąca ze ślepiów.

Troll człapał przed siebie, mrużąc oczy w świetle żyrandola. Pożółkłe pazury drapały marmurowe tafle podłogi, wzniecając snopy iskier. Wtem stwór przekrzywił łeb i zaczął węszyć, wydając dziwne, krótkie parsknięcia. Butler widział już takie zachowanie u wygłodniałych rosyjskich pitbuli, tuż zanim opiekunowie spuścili je z uwięzi w pogoni za niedźwiedziem.

Kudłaty łeb zastygł nagle z nosem skierowanym w stronę kryjówki siostry Butlera. Nie był to przypadek. Służący wyrzwał ostrożnie zza metalowej rękawicy. Nadeszła pora na polowanie; drapieżnik złapał trop i teraz będzie usiłował podkraść się do ofiary i przypuścić błyskawiczny atak.

Najwyraźniej jednak troll nie czytał instrukcji dla drapieżników, gdyż pomiął etap skradania i od razu przystąpił do ataku. Szybciej, niż Butler uważał za możliwe, troll rzucił się przez hol, spycha z drogi średniowieczną zbroję, która odleciała w boczny sklepowy manekin.

Julia zatrzepotała powiekami.

–Oo – zdziwiła się. – Przecież to Bob Wielka Stopa. Mistrz Kanady z roku 1998. Myślałam, że pojechałeś w Andy szukać swoich krewnych.

Butler nie zaprzętał sobie głowy prostowaniem. Jego siostrę opuściła jasność myślenia, ale przynajmniej umrze szczęśliwa. Snuł jeszcze owe ponure rozważania, gdy jego ręka uniosła broń do strzału.

Naciskał spust raz za razem, tak szybko, jak pozwalał mechanizm sig sauera. Dwa pociski w pierś, trzy między oczy, taki miał plan. Strzały w pierś dosięgły celu, ale zanim Butler zdołał dokończyć dzieła, troll popsuł mu szyki. Zatoczył głową krąg, wymierzając w korpus wroga koszący cios. Jego kły smagnęły tułów służącego, tnąc kurtkę z kevlaru niczym papier ryżowy.

Butler poczuł zimny ból w piersi, rozdieranej zębatym ostrzem. Od razu zrozumiał, że rana jest śmiertelna. Z trudem walczył o oddech; jedno płuco odmówiło mu posłuszeństwa, a na sierść trolla trysnęły strumienie krwi – jego krwi. Po takim krwotoku nie mógł przeżyć. Ból minął prawie natychmiast, ustępując miejsca dziwnej euforii. Zapewne zaczął działać naturalny środek przeciwbólowy, płynący kanalikami w kłach bestii, płyn bardziej śmiertelny od najsilniejszej trucizny. Za chwilę, myślał Butler, zejdzie do grobu bez walki, zanosząc się od śmiechu.

Wściekle walcząc z uściskiem trolla, usiłował opierać się narkotykowi, atakującemu organizm. Ale bezskutecznie. Walka skończyła się, zanim zaczęła się na dobre.

Troll stęknął i cisnął za plecy zwiotczałe ciało człowieka. Masywna postać Butlera gruchnęła o ścianę z prędkością, do jakiej nie zostały przystosowane ludzkie kości. Mur pękł od sufitu po podłogę, krusząc się podobnie jak kręgosłup służącego. Butler zrozumiał, że nawet jeśli nie umrze z upływu krwi, będzie sparaliżowany przez resztę życia.

Julia wciąż trwała w oszołomieniu.

–Chodź, braciszku. Wstawaj z ringu. Wszyscy widzimy, że udajesz.

Troll zawahał się, prymitywnie zaciekawiony owym brakiem lęku. Gdyby umiał sformułować równie skomplikowaną myśl, podejrzewałby podstęp, lecz w końcu apetyt zwyciężył. To stworzenie pachniało mięskiem, świeżym i delikatnym, przyprawionym z wierzchu różnymi zapachami. Kto raz spróbował mięsa z powierzchni ziemi, hodowanego na otwartym powietrzu, ten nigdy już się nie cofnie. Troll przeciągnął jęzorem po siekaczach i wyciągnął kudłate ramię...

Holly złożyła skrzydła i wchodząc w lot nurkujący, spłynęła wzdłuż poręczy. Zatrzymała się pod witrażowym sklepieniem portyku, które promieniało zatrzymanym w czasie, nieziemskim blaskiem, pociętym na grube, lazurowe promienie.

Światło, pomyślała Holly. Reflektory na kasku już raz okazały się skuteczne, dlaczego znów nie spróbować? Mężczyzna wyglądał jak worek połamanych kości i nie mogła mu już pomóc, ale dziewczynie zostało jeszcze kilka sekund – troll dopiero zamierzał rozerwać ją na strzępy.

Obniżając się spiralnym lotem wzdłuż świetlnego promienia, znalazła na konsoli kasku przycisk „so-nix”. Sonix zwykle stosowano przeciwko psom, ale być może uda

się odwrócić uwagę trolla na kilka minut -dostatecznie długo, by Holly zdążyła zjechać na poziom parteru.

Troll atakował Julię od dołu, gestem przeznaczonym dla bezbronych ofiar, gdyż pazury sięgały wówczas pod żebra i od razu rozrywały serce; dzięki temu uszkodzenia ciała były minimalne, a także nie występowało napięcie przedśmierne, od którego mięso robi się łykowate.

Holly uruchomiła sonix... i nic się nie stało. Bez skutku. Doprawdy, przeciętny troll, słysząc tony ultra-wysokiej częstotliwości, przejawiłby choć cień irytacji. Ale ta osobliwa bestia nawet nie potrzęsnęła kudłatym łbem. Możliwości były dwie: albo kask źle działał, albo troll był głuchy jak przysłowiowy pień. Niestety, Holly nie mogła rozstrzygnąć tej kwestii, albowiem uszy wrózek są nieczułe na dźwięk soniksa.

Holly została zatem zmuszona do przyjęcia strategii, której wolała nie stosować; musiała wejść w kontakt bezpośredni. Wszystko, aby ocalić ludzkie życie – tego dotyczył rozdział ósmy regulaminu, bez najmniejszej wątpliwości.

Szarpnęła drążek, przechodząc z czwartego biegu bezpośrednio na wsteczny – manewr niezbyt korzystny dla skrzyni biegów. Dostanie burę od mechaników, jeśli oczywiście – co mało prawdopodobne – uda się jej przetrwać ten niekończący się koszmar. Ze zgrzytem wykonana ewolucja obróciła ją w powietrzu tak, że obcasy jej butów znalazły się tuż nad łbem stwora. Wzdrygnęła się. Dwie potyczki z rzędu z tym samym trollem. Nie do wiary.

Kopnięcie z obrotu trafiło prosto w szczyt czaszki trolla. Przy tej prędkości siła uderzenia odpowiadała półtonowemu ciężarowi. Nogi Holly nie popękały na kawałki tylko dzięki wzmocnionym nogawkom kombinezonu. Ale i tak usłyszała trzask w kolanie. Szarpiący ból, który poczuła aż w czole, uniemożliwił jej odwrót. Zamiast odlecieć na bezpieczną odległość, Holly opadła na grzbiet trolla i natychmiast wplątała się w jego zmierzwioną sierść.

Troll był już nieźle rozdrażniony. Nie tylko coś przeszkodziło mu w spożyciu obiadu, to jeszcze to coś tkwiło wczepione w jego futro razem z innym robactwem. Wyprostował się i sięgnął za ramię pazurzastą łapą. Zakrzywione szpony przeorały kask Holly, zostawiając w twardym stopie równoległe bruzdy. Przez chwilę Julii nic nie groziło; jej miejsce na liście jednostek zagrożonych wyginięciem zajęła kapitan Nieduża.

Troll ścisnął mocniej kask SKRZATki, dziwnym sposobem znajdując punkt zaczepienia na jego przeciwtarciowej powłoce, której według Ogierka nie sposób było chwycić. Stanowczo, Holly musiała z faunem poważnie porozmawiać, jeśli nie w tym życiu, to w przyszłym. Uświadomiła sobie, że wróg unosi ją w górę i przygląda się jej bacznie. Oszołomiona bólem i panującym wokół chaosem, bezskutecznie

próbowała się skupić. Jej bezwładna noga kołysała się niczym wahadło, a twarz omiatał kwaśny oddech trolla.

Przecież miała jakiś plan? Przecież nie przyleciała tu po to, by po prostu zwinąć się w kłębek i umrzeć? Musiało istnieć jakieś wyjście. Czegoś się przecież nauczyła przez te wszystkie lata, spędzone w Akademii. Ale plan, jakkolwiek był, uleciał w zamęcie i bólu. Stał się niedostępny.

–Światła, Holly...

Głos w głowie. Pewnie już mówiła sama do siebie. Doświadczenie poza głową, ha, ha... Musiała pamiętać, żeby opowiedzieć o tym Ogierkowi. Ogierek?

–Włącz światła, Holly! Kiedy puści w ruch te kły, zabije cię, zanim zdążą zadziałać jakiegokolwiek czary.

–Ogierek? To ty? – Holly nie wiedziała, czy wymówiła te słowa, czy też tylko je pomyślała.

–Tunelowe reflektory, kapitan Nieduża! – Inny głos. Nie tak serdeczny. – Przycisk! Natychmiast! To rozkaz!

O rany, Bulwa! Znowu zawaliła robotę. Najpierw Hamburg, potem Martina Franca, teraz to.

–Nacisnąć! Już, kapitan Nieduża!

Holly spojrzała prosto w bezlitosne oczy trolla i dramatycznym gestem nacisnęła przycisk – lecz niestety, światła się nie włączyły. Na nieszczęście dla siebie Holly wybrała jeden z kasków okaleczonych uprzednio przez Artemisa, hełm pozbawiony soniksa, filtrów i reflektorów tunelowych. Co prawda halogeny wciąż znajdowały się na swoim miejscu, ale w trakcie swoich dociekań Artemis rozłączył przewody.

–Ojej – jęknęła Holly.

–Ojej? – warknął Bulwa. – Co to ma znaczyć?

–Światła nie działają.

–Och... – głos Bulwy ucichł. Cóż mógł powiedzieć?

Holly zmrużyła oczy i spojrzała na trolla. Gdyby nie wiedziała, że to głupie zwierzę, mogłaby przysiąc, że bestia się z niej śmieje. Ocieka krwią z licznych ran klatki piersiowej i szczyrzy zęby. A kapitan Nieduża nie lubiła, kiedy się z niej śmiano.

–Śmieć się dalej – powiedziała i uderzyła trolla jedyną dostępną bronią. Swoją

odzianą w kask głową.

Niewątpliwie był to czyn bohaterski, lecz okazał się równie skuteczny, jak próba ścięcia drzewa za pomocą piórka. Na szczęście niefortunny cios wywołał skutek uboczny – przez ułamek sekundy włókna dwóch przewodów zetknęły się, dostarczając energii jednemu z reflektorów.

Czteryście watów białego, oślepiającego światła wdarło się w szkarłatne źrenice stwora i rozdarło jego mózg przenikliwymi sztyletami udręki.

–He, he – wymamrotała Holly.

Trollem szarpnął bezwiedny skurcz. Odrzucona konwulsją wróżka zawirowała po parkiecie, ciągnąc za sobą zranioną nogę.

Ściana zbliżała się z przerażającą prędkością. Być może, pomyślała z nadzieją Holly, będzie to jedno z tych zderzeń, kiedy ból czuje się dopiero później. Nie, natychmiast odparł jej wrodzony pesymizm, chyba nie. Z hukiem wpadła na normański gobelin, który zwałił się jej na głowę. Ból był natychmiastowy i obezwładniający.

–Uff – stęknął Ogierek. – Nawet ja to poczułem. Wizję diabli wzięli. Czujniki bólu przekroczyły skalę. Masz pęknięte płuco, pani kapitan. Stracimy cię na jakiś czas, ale nie martw się, twoja magia lada chwila zacznie działać.

Holly poczuła, że błękitne czarodziejskie łaskotki śpieszą naprawiać jej rozliczne rany. Dzięki bogom za żołądź. Ale uzdrawianie zaczęło się zbyt późno, a jego moc nie była dostateczna i ból przekroczył próg wytrzymałości Holly. Zanim jednak zapadła w nieświadomość, jej zwiotczała dłoń wysunęła się spod gobelinu i dotknęła nagiego ramienia Butlera. Zdumiewające -człowiek jeszcze żył. Uparte tętno przepychało krew przez zmiażdżone kończyny.

Uzdrawiaj, pomyślała Holly. Magiczna moc posłusznie powędrowała wzdłuż jej palców.

Troll stał w obliczu dylematu – którą żeńską istotę pożreć najpierw. Ach, te wybory. Decyzji nie ułatwiało mu bynajmniej wspomnienie dotkliwego bólu w kudłatej głowie ani garść kuł, tkwiąca w tłuszczowej tkance na piersiach. W końcu zdecydował się na mieszkankę powierzchni. Miękkie, ludzkie mięso, o ileż smaczniejsze niż łykowate mięśnie wróżek.

Bestia przykucnęła, obracając głowę dziewczyny pożółkłym pazurem. Pod skórą na jej szyi leniwie pulsowała błękitna tętnica. Serce czy gardło? – zastanowił się troll. Gardło znajdowało się bliżej. Obrócił szpon, którego ostra krawędź wpiła się w delikatną ludzką skórę. Jeden szybki ruch i własne tętno dziewczyny opróżni jej ciało z krwi.

Butler ocknął się, co samo w sobie stanowiło niespodziankę. Od razu zorientował się, że żyje – każdy centymetr sześciennej jego organizmu przeszywał straszliwy ból. Niedobrze. Może i żył, ale kark miał skręcony o 180 stopni; oznaczało to, że nigdy więcej nie pójdzie na spacer z psem – a już z pewnością nie uda mu się uratować siostry.

Zakręcił palcami. Bolało jak cholera, ale przynajmniej mógł nimi poruszać. Zdumiewające, że zachował jakieś funkcje motoryczne, zważywszy uraz, jaki odniósł jego rdzeń kręgowy. Palce u stóp też najwyraźniej wyszły bez szwanku, jednak ten ruch mógł być reakcją fantomową, gdyż w ogóle ich nie widział.

Krwawienie z klatki piersiowej najwyraźniej ustało, potrafił też trzeźwo myśleć. Reasumując, był w znacznie lepszym stanie, niż powinien. Co, u licha, się tu działo?

Zauważył coś jeszcze – po całym jego torsie tańczyły błękitne iskierki. Uznał, że chyba dręczą go halucynacje, przyjemne obrazy, mające odwrócić jego uwagę od nieuniknionego końca. Ale trzeba stwierdzić, że były to halucynacje nader realistyczne.

Iskierki skupiały się w miejscach zranień i wnikały pod skórę. Butler zadrżał. Jednak nie uległ omamom – rzeczywiście działo się z nim coś niezwykłego, magicznego.

Magicznego? Słowo to odezwało się echem w jego świeżo poskładanej czaszce. Czary wróżek. Coś leczyło jego rany. Odwrócił głowę, wzdrygając się na odgłos przemieszczających się kręgow. Na jego przedramieniu spoczywała dłoń. Ze smukłych elfich palców płynęły drobne iskierki, automatycznie wyszukując stłuczenia, złamania i pęknięcia. Musiały wygoić wiele skaleczeń, lecz radziły sobie z nimi szybko i skutecznie, niczym armia mistycznych bobrów, naprawiających uszkodzenia po burzy.

Butler czuł wręcz, jak zrastają się jego kości, a krew przestaje płynąć z ran, okrytych na poły zakrzepłymi strupami. Gdy kręgi ułożyły się na swoich miejscach, mimowolnie obrócił głowę. Dzięki czarodziejskiej fali krwi – której trzy litry utracił wskutek ciosu w pierś -poczuł gwałtowny przyływ sił.

Zerwał się na równe nogi – naprawdę! Znów był sobą, więcej, był tak silny, jak nigdy przedtem. Dostatecznie silny, by raz jeszcze zmierzyć się z potworem, który pochylał się nad jego siostrzyczką.

Poczuł, że jego uzdrowione serce przyśpiesza niczym silnik łodzi motorowej. Spokój, powiedział sobie. Wściekłość jest wrogiem skuteczności. Jednak sytuacja wydawała się rozpaczliwa. Stwórz już raz właściwie go zabił, a tym razem Butler nie miał nawet broni. Choć umiał świetnie walczyć wręcz, dałby wiele za jakieś narzędzie. W miarę ciężkie. Z brzękiem trącił butem o metalowy przedmiot. Spojrzał w dół, na

pobojowisko, pozostawione przez trolla... Doskonale.

Na ekranie widniała jedynie czarno-biała kasza.

–No, szybciej! – popędzał Bulwa. – Pospiesz się! Ogierek przepchnął się obok przełożonego.

–Może gdyby pan nie blokował dostępu do konsoli sterowniczej...

Bulwa niechętnie usunął się z drogi. Jego zdaniem konsola była sama sobie winna, że znalazła się tuż za nim. Głowa fauna zniknęła w szafce kontrolnej.

–Macie coś?

–Nic, tylko zakłócenia.

Bulwa uderzył dłonią w ekran. Pomysł okazał się niezbyt dobry: po pierwsze, walenie w sprzęt odnosi skutek jeden raz na milion, po drugie, ekrany plazmowe po dłuższej pracy robią się niezwykle gorące.

–D'Arvit!

–A tak na marginesie, proszę nie dotykać ekranu.

–Och, ha, ha. Mamy czas, żeby sobie żartować, co?

–Właściwie nie mamy. A teraz, widać coś?

Kasza zaczęła się układać w rozpoznawalne kształty.

–Dobrze, tak trzymać. Jest sygnał.

–Uruchomiłem kamerę zapasową. Obawiam się, że to zwykle stare wideo, ale na razie musi nam wystarczyć.

Bulwa milczał, wpatrzony w ekran. To z pewnością był film – to nie mogło się dzieć naprawdę.

–Coś ciekawego?

Bulwa usiłował wykrztusić odpowiedź, ale w jego żołnierskim słowniku zabrakło odpowiednio silnych wyrażen.

–Co? Co się tam dzieje? Komendant zmobilizował się.

–Ten... ten człowiek... Nigdy... Och, Ogierek, nic z tego. Musicie sami to sobie

obejrzeć.

Holly obserwowała całe zajście spomiędzy fałd gobelinu i gdyby nie widziała go na własne oczy, nigdy by nie uwierzyła, że coś takiego jest możliwe. Właściwie dopiero, kiedy pisząc raport, obejrzała nagranie wideo, upewniła się, że nie uległa halucynacji, spowodowanej bliskim zetknięciem ze śmiercią. Tak czy inaczej, nagranie owo przeszło do legendy. Na początku krążyło w wypożyczalniach amatorskich filmów, po czym wylądowało w Akademii SKR jako instruktażowy pokaz walki wręcz.

Ubrany w średniowieczną zbroję człowiek Butler najwyraźniej – choć wydawało się to niesłychane -szykował się do pojedynku z trollem. Holly usiłowała go ostrzec, próbowała wydać z siebie jakiś dźwięk, ale czary nie przywróciły jeszcze sprawności jej zmiażdżonym płucom.

Butler zamknął przyłbicę i uniósł zabójczą, najeżoną kolcami maczugę.

–Hej, ty – wychrypiał zza blachy. – Teraz ci pokażę, jak to się kończy, kiedy ktoś zaczepia moją siostrę.

Lekko zakręcił maczugą niczym kapelmistrz pałeczką i wymierzył straszliwy cios między łopatki trolla. Uderzenie to z pewnością nie było śmiertelne, lecz odwróciło uwagę stwora od niedoszłej ofiary.

Umieściwszy stopę ponad zadkiem trolla, Butler z całej siły pociągnął za maczugę, która wyszła z ciała wroga z mdlącym cmoknięciem. Następnie cofnął się i przyjął postawę bojową.

Troll odwrócił się ku niemu, wysuwając wszystkie dziesięć szponów na pełną długość. Na czubkach kłów zaśniły krople jadu. Zabawa się skończyła. Bestia powstrzymała się od błyskawicznego uderzenia – została zraniona i musiała zachować czujność. Tego napastnika należało potraktować z takim samym respektem, jak innego samca trolla. Nastąpiło naruszenie terytorium, a taki spórtrolle rozstrzygały w tylko jeden sposób – tak jak trolle rozwiązują wszelkie spory...

–Ostrzegam cię – oznajmił Butler z powagą. – Jestem uzbrojony i zamierzam cię zabić, jeśli to będzie konieczne.

Holly jęknęłaby, gdyby mogła. Pogróżki! Człowiek usiłował wciągnąć trolla w męskie przepychanki słowne! Wkrótce jednak zdała sobie sprawę ze swego błędu. Nie słowa miały znaczenie, lecz ton – spokojny, uspokajający, niczym głos tresera, mówiącego do spłoszonego jednorożca.

–Odejdź od kobiety. Spokojnie. Troll wydał policzki i zawył. Taktyczne zastraszenie. Próba sił. Jednak Butler ani drgnął.

–Tak, tak, ależ się przeraziłem. Po prostu cofnij się do drzwi, to nie będę musiał posiekać cię na kawałki.

Troll parsknął, zdumiony reakcją. Jego ryk na ogół sprawiał, że wszystko, co żywe, czmychało do najdalszych tuneli.

–Krok za krokiem, spokojnie i bez nerwów, wielkoludzie.

Oczy stwora jakby nabrały innego wyrazu. Zamigotała w nich niepewność. Czyżby człowiek...

I wtedy Butler uderzył. Tanecznym krokiem ominął kły i zamachnąwszy się maczugą, zadał bestii miażdżący cios w szczękę. Troll zatoczył się do tyłu, wściekle machając szponami. Ale było już za późno; służący wycofał się poza ich zasięg i odskoczył na drugą stronę korytarza.

Troll ciężko ruszył w ślad za nim, plując zębami z rozbitych dziąseł. Butler opadł na kolana, ślizgając się po wypolerowanym parkiecie niczym łyżwiarz figurowy. Obrócił się zręcznie ku stworzeniu i unosząc sig sauera, powiedział:

–Zgadnij, co tu mam?

Tym razem nie celował w pierś. Cały magazynek, dziesięć kul, władował trollowi między oczy. Niestety, na swoje nieszczęście nie wiedział o tym, że czoła trolli, które od tysiącleci trykają się wzajemnie łbami, pokrywa gruby grzebień kostny. Pomimo teflonowego płaszcza, pociski, wzorcowo skupione w jednym punkcie, nie przebiły czaszki.

Niemniej żadne stworzenie na naszej planecie nie może zlekceważyć dziesięciu strzałów. Uderzenia kul odbiły się werblem w czaszce trolla, powodując natychmiastowy wstrząs mózgu. Zwierzę zatoczyło się i złapało za głowę. Butler dogonił je w ułamku sekundy i ciosem maczugi przygwoździł do posadzki kosmatą łapę.

Nieszczęsna istota była oszołomiona, oślepiąca i kulawa. Każdy normalny człowiek poczułby choć odrobinę współczucia. Ale nie Butler. Zbyt często widział ludzi uśmierconych przez ranne zwierzęta. Teraz niebezpieczeństwo było największe; musiał jak najskuteczniej zakończyć sprawę i nie mógł okazać ani krztyny litości.

Holly przyglądała się bezsilnie, jak człowiek starannie bierze zamach i wymierza słabnącemu trollowi serię przemyślanych uderzeń. Najpierw powalił go na kolana, po czym odrzucił maczugę i zaczął zadawać straszliwe ciosy pięściami, odzianymi w żelazne rękawice. Oszołomiony troll próbował się bronić i kilkakrotnie nawet dosięgnął celu, lecz jego łapy nie mogły przebić starej zbroi. Tymczasem Butler walczył z precyzją chirurga. Wykorzystał fakt, że budowa ludzi i trolli jest mniej

więcej podobna, i w kilka sekund zamienił potężne stworzenie w kupę dygocącego futra. Przykro było na to patrzeć. Ale służący jeszcze nie skończył; ściągnąwszy zakrwawione rękawice, załadował do pistoletu nowy magazynek.

–No, zobaczymy, jak grubą kość masz pod brodą.

–Nie!– wydusiła Holly, chwytając pierwszy oddech. – Nie rób tego.

Butler zignorował ją i wraził lufę pod żuchwę trolla.

–Nie rób tego... Jesteś mi to winien.

Butler zawahał się. Rzeczywiście – Julia żyła. Była trochę ogłupiała, ale z pewnością żywa. Dotknął kciukiem spustu pistoletu. Każda komórka w jego mózgu wołała, aby go nacisnąć. Jednak... Julia żyła.

–Jesteś mi to winien, człowieku. Butler westchnął. Wiedział, że z pewnością tego pożałuje.

–Dobrze, pani kapitan. Niech bestia żyje i walczy dalej. Ma szczęście, że jestem w dobrym humorze.

Z ust Holly wyrwał się dźwięk, na poły śmiech, na poły szloch.

–No, to pożegnajmy naszego kudłatego przyjaciela.

Władował nieprzytomnego trolla na wózek, na którym poprzednio stała zbroja, przeciągnął go do zniszczonego wejścia, po czym zamasyście wypchnął w zawieszoną w czasie noc.

–Żebyś mi więcej tu nie wracał! – zawołał, patrząc w ciemność.

–Niesamowite – powiedział Bulwa.

–Mnie pan to mówi? – zgodził się Ogierek.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

AS W RĘKAWIE

Artemis spróbował nacisnąć klamkę, ale jego trud zaowocował jedynie oparzeniem dłoni. Drzwi były zaspawane – wróżka zapewne strzeliła do nich z miotacza. Bardzo zmyślnie. Jedna osoba wyeliminowana z akcji. Sam postąpiłby dokładnie tak samo.

Nie tracił czasu na próbę otwarcia drzwi. Zbudowano je z utwardzanej stali, on zaś miał jedynie dwanaście lat. Zamiast daremnie się wysilać, nasz geniusz zbliżył się do rzędu monitorów pod przeciwległą ścianą i jął obserwować dalszy przebieg wydarzeń.

Od razu zrozumiał, co knuje SKRZAT- wysłali trolla, aby zmusić mieszkańców dworu do wołania o pomoc, które można by zinterpretować jako wezwanie. Zanim on, Fowl, zdążyłby się obejrzeć, dwór zostałby zajęty przez szturmową brygadę goblinów. Wybieg chytry, a co więcej, niespodziewany. Już drugi raz nie docenił przeciwnika. Ale nie zamierzał dopuścić, żeby powtórzyło się to po raz trzeci.

Dramatyczne zajścia w holu, widoczne na monitorach, wzbudziły w Artemisie całą gamę emocji, od przerażenia do dumy. Butler dokonał rzeczy niemożliwej -pokonał trolla, przy czym z jego ust nie wydobyło się ani słowo skargi. Obserwując walkę, Artemis po raz pierwszy w pełni uświadomił sobie, jak cenne usługi wyświadcza mu rodzina Butlerów.

Uruchomił trójzakresowe radio, nadające na zmiennych częstotliwościach.

–Komendancie Bulwa, mniemam, iż prowadzi pan nasłuch na wszystkich kanałach...

Przez chwilę z głośników wydobywał się jedynie szum, po czym Artemis usłyszał trzask włączanego mikrofonu.

–Słyszę cię, człowieku. Czym mogę służyć?

–Czy to komendant?

Przez czarne płótno przedostał się jakiś odgłos, dziwnie przypominający rzenie.

–Nie, to nie komendant. Mówi Ogierek, faun. Czy mam do czynienia z Powiem, porywaczem i łobuzem?

Artemis przez dłuższą chwilę nie mógł pojąć, że właśnie został obrażony.

–Panie... ee... Ogierek. Najwyraźniej nie czytał pan podręczników psychologii. Obrażanie kogoś, kto przetrzymuje zakładnika, to nie najmądrzejszy pomysł.

Przecież mógłbym się okazać niezrównoważony.

–Mógłbyś się okazać? Nie ma najmniejszych wątpliwości, że jesteś niespełna rozumu! Nieważne; wkrótce i tak zamienisz się w obłoczek radioaktywnych cząstek.

–I tu się mylisz, mój czworonożny przyjacielu -zaśmiał się Artemis. – Kiedy wybuchnie biobomba, będę już daleko od waszego pola czasowego.

Tym razem zaśmiał się Ogierek.

–Blefujesz, człowieku. Gdyby istniał sposób na wymknięcie się z pola, znałbym go. Gadasz, co ci ślina...

Na szczęście w tym momencie mikrofon przejął komendant Bulwa.

–Fowl? Tu Bulwa. Czego chcesz?

–Chciałem pana po prostu poinformować, że pomimo waszej nielojalności nadal jestem gotów do negocjacji.

–Nie miałem nic wspólnego z trollem – zaprotestował Bulwa. – Zrobiono to wbrew mej woli.

–Ale zrobiono. Utraciłem do was resztę zaufania. Oto więc moje ultimatum. Macie trzydzieści minut, żeby dostarczyć mi złoto, w przeciwnym razie nie uwolnię kapitan Niedużej. Ponadto nie zabiorę jej ze sobą, kiedy będę opuszczał pole czasowe, i zostanie unicestwiona przez biobombę.

–Nie bądź głupi, człowieku. Oszukujesz sam siebie. Nasza technologia wyprzedza błotną o całe eony. Nie istnieje sposób, żeby uciec z pola czasowego.

Artemis nachylił się do mikrofonu z wilczym uśmiechem.

–Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, Bulwa. Chcesz uzależnić życie kapitan Niedużej od swoich przeczuć?

Szum zakłóceń podkreślił jeszcze wahanie Bulwy. W jego odpowiedzi, gdy wreszcie nastąpiła, zabrzmiał ton klęski, dokładnie taki, jak należy.

–Nie – westchnął. – Nie chcę. Dostaniesz swoje złoto, Fowl. Tonę dwudziestocząterokaratowego złota.

Artemis skrzywił się szyderczo. Ależ komediant z tego Bulwy.

–Trzydzieści minut, komendancie. Jeśli wasz zegar stoi, liczcie sekundy. Czekam. Ale nie będę czekał zbyt długo.

Artemis przerwał połączenie i wyciągnął się w obrotowym fotelu. Najwyraźniej przynęta chwyciła. Analitycy SKRZAT z pewnością wykryli jego „przypadkowe” wezwanie. Wróżki zamierzały zapłacić okup, gdyż wierzyły, iż odzyskają złoto natychmiast po śmierci Artemisa, kiedy biobomba zamieni go w parę wodną. Co, oczywiście, nigdy nie nastąpi. Przynajmniej w teorii.

Butler władował we framugę drzwi trzy serie. Same drzwi zrobiono ze stali, od której pociski niszczące odbiłyby się rykoszetem. Ale obramowanie zbudowano z takiej samej cegły jak cały dom, porowatej i kruchej niczym kreda. Zasadnicze niedociągnięcie systemu bezpieczeństwa, które trzeba będzie naprawić, kiedy tylko skończy się ta sprawa.

Panicz Artemis czekał spokojnie, rozparty w fotelu przy rządzie monitorów.

–Dobra robota, Butler.

–Dziękuj?, Artemisie. Mieliśmy tam pewne trudności i gdyby nie pani kapitan...

–Tak, widziałem – skinął głową Artemis. – Uzdrawianie to jeden z kunsztów wróżek. Ciekawe, czemu to zrobiła.

–Też się nad tym zastanawiam – powiedział cicho Butler. - Z pewnością na to nie zasłużyliśmy. Artemis obrzucił go badawczym spojrzeniem.

–Nie trać wiary, przyjacielu. Koniec już bliski.

Butler przytaknął, usiłował nawet się uśmiechnąć. Ale mimo że wyszczerzył mnóstwo zębów, w jego uśmiechu nie było serca.

–Za niecałą godzinę kapitan Nieduża znajdzie się wśród swoich, a my otrzymamy dostatecznie dużo pieniędzy, by rozpocząć bardziej eleganckie przedsięwzięcia.

–Wiem, po prostu...

Artemis nie musiał pytać. Doskonale rozumiał uczucia Butlera. Wróżka ocaliła życie im obu, oni zaś wciąż się upierali, by żądać za nią okupu. Dla człowieka honoru, takiego jak Butler, było to niemal nie do zniesienia.

–Negocjacje skończone. Kapitan Nieduża wróci do swoich w taki czy inny sposób. Nic jej się nie stanie, daję ci na to słowo.

–A Julia?

–Tak?

–Czy cokolwiek grozi mojej siostrze?

–Nie. Nic.

–Wróżki tak po prostu oddadzą nam złoto i pójdą sobie?

Artemis parsknął lekko.

–No, nie całkiem. Kiedy tylko kapitan Nieduża będzie bezpieczna, zrzucą biobombę na dwór Fowlów.

Butler zaczerpnął tchu, aby coś powiedzieć, ale zawahał się. Najwyraźniej Artemis miał jakiś plan, a wszystkich koniecznych wyjaśnień udzieli we właściwym czasie. Zamiast więc zadręczać chlebodawcę pytaniami, powiedział po prostu:

–Ufam ci, Artemisie.

–Tak - odparł chłopiec z brwią zmarszczoną pod brzemieniem owego zaufania. – Wiem.

Pałka zajęty był ulubioną czynnością polityków -unikaniem odpowiedzialności.

–Twoja funkcjonariuszka udzieliła tym ludziom pomocy – zachnął się, próbując wyrazić jak największe oburzenie. – Operacja przebiegała zgodnie z planem, dopóki ta baba nie zaatakowała mojego zastępcy.

–Zastępcy? – Bulwa dławił się ze śmiechu. – Troll jest twoim zastępcą?

–Owszem. A ten człowiek posiekał go na kotlet. Byłoby już po wszystkim, gdyby nie wasza niekompetencja.

Normalnie w takiej sytuacji Bulwa straciłby panowanie nad sobą. Ale wiedział, że Pałka chwytą się brzytwy, rozpaczliwie usiłując ratować resztki kariery. Więc tylko się uśmiechnął:

–Ogierek?

–Tak, komendancie?

–Czy mamy na dysku atak trolla? Faun westchnął teatralnie.

–Nie, sir, tuż przed jego wkroczeniem skończyła nam się pamięć dyskowa.

–Jaka szkoda.

–Rzeczywiście, źle się stało.

–Gdyby nasz tymczasowy dowódca stanął przed komisją, ten dysk byłby dla niego

bezcenny. Opanowanie Pałki przysło jak bańka mydlana.

–Juliuszu, daj mi ten dysk! Wiem, że go macie! To jawne utrudnianie postępowania!

–To wy jesteście odpowiedzialni za utrudnienia, Pałka. Próbowaliście wykorzystać tę sprawę, żeby zrobić karierę.

Oblicze Pałki przybrało barwę jaskrawszą niż twarz Bulwy. Grunt usuwał mu się spod nóg i wiedział o tym. Chix Gryzoń i inne duszki jęły odsuwać się od swego przywódcy.

–Nadal tu dowodzę, Juliuszu! Dawaj te dyski albo każę cię aresztować.

–Ach, naprawdę? Ty? Jakimi siłami?

Przez chwilę twarz Pałki przybrała dawny, nadęty wyraz, który jednak zniknął bez śladu, gdy porucznik zauważył wokół siebie wymowną nieobecność podwładnych.

–Otóż to – zarechotał Ogierek. – Nie pełni pan już obowiązków dowódcy. Mielśmy telefon z dołu.

Wzywają pana na Radę, ale chyba nie po to, żeby zaproponować panu fotel.

Zapewne szyderczy uśmiech Ogierka był kroplą, która przelała czarę goryczy Pałki.

–Dawajcie ten dysk! – ryknął, przyciskając fauna do burty wahadłowca.

Bulwę kusilo, by pozwolić im na zapasy, jednak z żalem zrezygnował z rozrywki.

–Niegrzeczny, oj, niegrzeczny- powiedział, grożąc Pałce palcem. – Tylko mnie wolno bić Ogierka. Ogierek pobladł.

–Ostrożnie z tym palcem, komendancie. Ciągle ma pan...

Bulwa przypadkowo zawadził kciukiem o knykieć. Małeńki zawór gazu otworzył się i uruchomił strzałkę ze środkiem uspokajającym, która przebiła plastikową osłonkę i utkwiała w szyi Pałki. Tymczasowy dowódca – który niebawem miał zamienić się w szeregowego funkcjonariusza – osunął się na ziemię jak kłoda.

Ogierek potarł kark.

–Niezły strzał, komendancie.

–Nie wiem, o czym mówicie, Ogierek. To kompletny przypadek. Całkiem zapomniałem o fałszywym palcu. Słyszałem, że zdarzały się precedensy,

–Ależ tak, oczywiście. Niestety, Pałka przez kilka godzin będzie nieprzytomny. Zanim się obudzi, zabawa się skończy.

–Szkoda – Bulwa pozwolił sobie na przelotny uśmiech, po czym przystąpił do rzeczy. – Jest złoto?

–Tak, właśnie przywieźli.

–Dobrze. – Zwrócił się do speszonych podwładnych Pałki. – Załadujcie je na wózek poduszkowca i wyślijcie do dworu. Cień kłopotów, a oberwę wam skrzydełka, rozumiano?

Nikt nie odpowiedział, ale niewątpliwie wszyscy zrozumieli.

–Dobra. A teraz, sprężyć się. Bulwa znikł wewnątrz wahadłowca, Ogierek poczłapał w ślad za nim. Komendant mocno zamknął drzwi.

–Uzbrojona?

Faun pstryknął kilkoma sporymi przełącznikami na głównym pulpicie sterowniczym.

–Teraz już tak.

–Musimy jak najszybciej ją wystrzelić. – Zerknął przez przeciwlaserową szybę refrakcyjną. – Mamy zaledwie kilka minut. To pierwszy brzask.

Ogierek pochylił się w skupieniu nad klawiaturą.

–Czary przestają działać. Za piętnaście minut znajdziemy się w środku powierzchniowego dnia. Strumienie neutrino tracą spójność.

–Widzę – powiedział Bulwa, co właściwie było kłamstwem. – No dobra, nie widzę – poprawił się. – Ale rozumiem, że mamy tylko kwadrans. To nam daje dziesięć minut, żeby wydostać stamtąd kapitan Niedużą. Potem staniemy się celem dla całego rodzaju ludzkiego.

Ogierek uruchomił kolejną kamerę, podłączoną do wózka poduszkowca. Eksperymentalnie przeciągnął palcem po tabliczce sterującej. Wózek skoczył do przodu, niemal obcinając głowę Chiksowi Gryzoniowi.

–Świetnie prowadzisz – mruknął szyderczo Bulwa. – Wjedzie po schodach?

Ogierek nawet nie podniósł głowy znad komputera.

–Automatyczna kompensacja nierówności. Półmetrowy odbojnik. Nie ma problemu.

Bulwa przywoździł go wściekłym spojrzeniem.

–Robisz to specjalnie, żeby mnie rozzłościć, prawda?

–Może i tak – Ogierek wzruszył ramionami.

–Masz szczęście, że moje pozostałe palce nie są uzbrojone. Pojmujesz, o czym mówię?

–Tak jest.

–Dobrze. No, to sprowadźmy kapitan Niedużą do domu.

Holly unosiła się pod portykiem. Błękit za oknem przecinały błyski pomarańczowego światła. Zatrzymanie czasu traciło moc. Za kilka minut Bulwa robi wszystkim płukankę, pomyślała. W słuchawkach zabrzączał głos Ogierka.

–Okej, Nieduża. Złoto już jedzie. Bądź gotowa do odwrotu.

–Przecież nie pertraktujemy z porywaczami – zdziwiła się Holly. – Co się dzieje?

–Nic – odparł Ogierek beztrosko. – Zwykła wymiana. Złoto wjeżdża, ty wychodzisz. Wysyłamy raketę, duże niebieskie bum, i po krzyku.

–Czy Fowl wie o biobombie?

–A jakże. Twierdzi, że wszystko wie i potrafi uciec z pola czasowego.

–Niemożliwe.

–Właśnie.

–Ależ oni wszyscy zginą!

**–Wielkie rzeczy – parsknął Ogierek i Holly prawie zobaczyła, jak wzrusza ramionami.
– Tak to jest, kiedy się zadziera z naszym Ludem.**

Holly poczuła się rozdarta. Nie ulegało wątpliwości, że Fowl stanowił zagrożenie dla cywilizowanego podziemia. Nikt by po nim nie płakał. Ale dziewczyna, Julia, była niewinna. Należała się jej jakaś szansa.

SKRZATka obniżyła lot i znalazła się dwa metry nad ziemią, na wysokości głowy Butlera. Ludzie zebrali się w ruinach dawnego holu. Nie mogli dojść między sobą do porozumienia, wyczuwała to doskonale.

Łypnęła oskarżycielsko na Artemisa.

–Już im powiedziałaś?

Artemis zrewanżował się jej przeciągłym spojrzeniem.

–Powiedziałem im co?

–Tak, wróżko, co miał nam powiedzieć? – powtórzyła gniewnie Julia, wciąż trochę obrażona z powodu mesmeryzacji.

–Nie udawaj idioty, Fowl. Wiesz, o czym mówię. Artemis nigdy nie umiał długo udawać idioty.

–Owszem, kapitan Nieduża. Wiem. Biobomba. Twoja troska byłaby wzruszająca, gdyby dotyczyła mojej osoby. Ale nie ma powodu do obaw. Wszystko rozwija się zgodnie z planem.

–Zgodnie z planem? – zawołała Holly, wskazując na otaczające ich pobojuwisko. – To też była część planu? Butler omal nie zginął! Taki miałeś plan?

–Nie – przyznał Artemis. – Troll stanowił pewne zakłócenie. Jednak nieistotne dla całości.

Holly z trudem oparła się pokusie, by znów przyłożyć blademu człowiekowi, i zwróciła się do Butlera.

–Na litość boską, myślcie rozsądnie. Nie uciekniecie z pola czasowego. Nikomu dotychczas się to nie udało.

Twarz służącego wyglądała niczym wykuta w kamieniu.

–Skoro Artemis mówi, że można, to można.

–A twoja siostra? Chcesz ryzykować jej życie, kierując się lojalnością wobec przestępcy?

–Artemis to nie przestępca, panienko, to geniusz. Teraz, proszę, usuń się z linii mego wzroku. Obserwuję główną bramę.

Holly wzniosła się na wysokość sześciu metrów.

–Oszaleliście wszyscy! Za pięć minut zostanie z was sieczka, nie rozumiecie? Artemis westchnął.

–Słyszałaś odpowiedź, pani kapitan. Teraz bądź tak dobra... To delikatny etap akcji.

–Akcji? To porwanie! Miej przynajmniej odwagę nazywać rzeczy po imieniu!

Cierpliwość Artemisa zaczynała się wyczerpywać.

–Butler, mamy jeszcze strzykawkę ze środkiem usypiającym?

Wielki służący przytaknął, lecz nie odezwał się. Nie był pewien, jak by postąpił, gdyby w tym właśnie momencie otrzymał rozkaz uśpienia Holly – czy chciałby, czy umiałby to zrobić. Na szczęście uwagę Artemisa zwrócił ruch na podjeździe.

–Aha, zdaje się, że SKRZAT skapitulował. Butler, nadzoruj transport. Ale bądź czujny. Nasi mali przyjaciele mają parę sztuczek w zanadrzu.

–I kto to mówi – mruknęła Holly.

Butler pośpieszył do zniszczonych drzwi, po drodze sprawdzając, czy jego dziewięciomilimetrowy sig sauer jest załadowany. Czuł niemal ulgę, że konkretne działanie chwilowo zepchnęło na dalszy plan rozterkę, jaką przeżywał. W takich sytuacjach górę brało wykszolenie i nie było miejsca na sentymenty.

Przed drzwiami wciąż unosiła się mgiełka kurzu. Butler zmrużył oczy i wpatrzył się w aleję. Filtry przeciwwróżkowe, zamontowane na okularach, nie wykazywały obecności obiektów, wydzielających ciepło. Do domu zbliżał się natomiast duży wózek, najwyraźniej samobieżny, unoszący się na poduszce rozmigotanego powietrza. Panicz Artemis zapewne wiedziałby, jaka zasada fizyki kieruje tym pojazdem, lecz Butlera zajmowało jedynie pytanie, czy będzie umiał go rozbroić.

Wózek stuknął o pierwszy stopień.

–Automatyczna kompensacja, boki zrywać – parsknął Bulwa.

–Dobra już, dobra – odparł Ogierek. – Przecież się staram.

–To okup! – krzyknął Butler. Artemis z trudem tłumził podniecenie, wzbierające w jego piersi. Nie mógł sobie teraz pozwolić na emocje.

–Sprawdź, czy nie ma pułapki. Butler ostrożnie wyszedł na ganek. Pod jego stopami zachrząściły szczątki rozbitego gargulca.

–Wroga nie widać. Wygląda na samojezdny. Wózek, kołysząc się, wjeżdżał na schody.

–Nie wiem, kto prowadzi ten pojazd, ale przydałoby mu się parę lekcji.

Butler schylił się nisko i obejrzał podwozie platformy.

–Nie widać urządzeń wybuchowych. Wyjął z kieszeni szperacz i wyciągnął antenę teleskopową.

–Podłuchu też nie ma. W każdym razie nic nie wykryłem. Ale, ale, co my tu mamy?

–Oho – mruknął Ogierek.

–To kamera.

Butler pociągnął za kabel i wydobył obiektyw „rybie oko”.

–Dobranoc, panowie.

Mimo obciążenia wózek z łatwością zareagował na dotknięcie służącego. Lekko wtoczył się do holu i zatrzymał się, mrużąc cicho, jakby zapraszał do rozładunku.

Teraz, kiedy nadeszła oczekiwana chwila, Artemis niemal lękał się ją wykorzystać. Nie mógł uwierzyć, że po tylu miesiącach jego niecny plan lada moment miał się spełnić. Oczywiście, ostatnie minuty zawsze są najistotniejsze i najbardziej niebezpieczne.

–Otwórzcie – rzekł wreszcie, zdumiony drżeniem, które usłyszał w swoim głosie.

Owa chwila miała nieodparty urok. Julia podeszła niepewnie do wózka, unosząc błyszczące powieki. Nawet Holly zmniejszyła trochę obroty i obniżyła lot, a jej stopy niemal dotknęły marmurowych płyt posadzki. Butler rozpiął czarną plandekę i odsłonił ładunek.

Wszystkim odjęło mowę, Artemisowi zaś wydało się, że gdzieś w oddali słyszy uwerturę *Rok 1812* Piotra Czajkowskiego. Złote sztabki leżały w błyszczących rzędach. Wydawały się emanować aurą, ciepłem, lecz także nieuchronnym zagrożeniem. Wielu ludzi chętnie umarłoby – lub zabiło – dla niewyobrażalnego bogactwa, jakie mógł dać im ten kruszec.

Holly stała jak urzeczona. Wróżki, które wywodzą się z wnętrza ziemi, mają wielką skłonność do minerałów, a ich ulubionym metalem jest złoto ze względu na jego połysk i powab.

–Zapłacili – tchnęła. – Nie do wiary.

–Ja też nie wierzę – wyszeptał Artemis. – Butler, czy to prawdziwe?

Służący podniósł ze stosu sztabkę i zdrapał czubkiem noża maleńką drzazgę.

–Prawdziwe, a jakże – powiedział, unosząc próbkę do światła. – Przynajmniej to, które trzymam w ręku.

–Świetnie. Doskonale. Zaczniacie rozładunek, dobrze? Odeślemy im wózek razem z kapitan Niedużą.

Dźwięk własnego nazwiska uśmierzył gorączkę złota Holly.

–Artemis, oddaj to. Żadnemu człowiekowi nie udało się zatrzymać złota wrózek. Od wieków różni ludzie starają się je zdobyć. SKRZAT zrobi wszystko, by ocalić swoją własność.

Artemis z rozbawieniem pokręcił głową.

–Mówiłem ci...

Holly potrząsnęła jego ramieniem.

–Nie uda się wam uciec! Nie rozumiesz? Chłopiec odwzajemnił się jej chłodnym spojrzeniem.

–Ja to potrafię, Holly. Spójrz mi w oczy i powiedz, że to niemożliwe.

Kapitan Nieduża spojrzała w czarnoniebieskie oczy swego ciemńcy i dostrzegła w nich prawdę. I przez sekundę w nią uwierzyła.

–Jest jeszcze czas – powiedziała z rozpaczą. – Musimy coś wymyślić. Mam czarodziejską moc.

Czoło chłopca przecięła zmarszczka rozdrażnienia.

–Z przykrością panią rozczaruję, pani kapitan, ale nie można już nic zrobić.

Zawahał się, mimowolnie kierując wzrok w górę, ku poddaszu. A może? – pomyślał. Czy naprawdę potrzebuje całego tego złota? Czyż nie dokuczają mu sumienie, odbierając słodycz zwycięstwa? Otrząsnął się. Trzymać się planu. Trzymać się planu. Żadnych uczuć.

Poczuł na ramieniu znajome dotknięcie.

–W porządku?

–Tak, Butler. Pracuj dalej, niech Julia ci pomoże. Muszę porozmawiać z kapitan Niedużą.

–Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

–Nie, stary przyjacielu – westchnął Artemis. – Nie jestem pewien. Ale już jest za późno.

Butler skinął głową i wrócił do pracy. Julia podreptała za nim niczym terier.

–A teraz, pani kapitan, w sprawie czarów.

–Co konkretnie? – oczy Holly pociemniały od podejrzeń.

–Mogę kupić sobie życzenie? Holly zerknęła na wózek.

–To zależy. A co proponujesz?

Nie można powiedzieć, by komendant Bulwa czuł się beztrosko. Błękit nad jego głową przecinały coraz to szersze pasma żółtego światła. Do świtu pozostały dosłownie minuty. Minuty! Ponadto cuchnące cygaro, którym zatruwał swój organizm, nie wpływało korzystnie na jego migrenę.

–Czy ewakuowano cały zbędny personel?

–Chyba że przekradli się z powrotem od chwili, gdy pan ostatnio mnie o to pytał.

–Przestańcie, Ogierek. Wierzcie mi, nie pora na żarty. Są jakieś wieści od kapitan Niedużej?

–Nic. Utraciliśmy wizję po aferze z trollem. Podejrzewam, że ma uszkodzoną baterię. Kiedy wyjdzie, musimy jak najszybciej zdjąć z niej kask, inaczej promieniowanie usmaży jej mózg. Szkoda by było tej całej pracy.

Ogierek wrócił do pulpitu, na którym zaczęło łagodnie pulsować czerwone światełko.

–Chwileczkę, włączył się sensor ruchu. Coś się dzieje przy głównym wejściu.

–Możecie to wzmocnić? – Bulwa podszedł do ekranu.

–Jasne – Ogierek wprowadził współrzędne i powiększył obraz o czterysta procent. Bulwa usiadł na najbliższym krześle.

–Widzicie to, co ja widzę?

–No pewnie – zaśmiał się faun. – To jeszcze lepsze niż ta średniowieczna zbroja.

Z drzwi wyjechał wózek, a na nim Holly razem ze złotem.

Odzysk znalazł się przy niej w pół sekundy.

–Musimy wyprowadzić panią z niebezpiecznej strefy, pani kapitan – ponaglał jakiś chochlik, łapiąc Holly za łokieć.

Inny duszek przejechał po jej kasku licznikiem promieniowania.

–Ma pani przerwę w zasilaniu, pani kapitan. Trzeba jak najszybciej spryskać pani głowę.

Holly próbowała zaprotestować, lecz ktoś natychmiast napełnił jej usta pianką przeciwpromienną.

–Nie można z tym poczekać? – zakrztusiła się.

–Przepraszamy, pani kapitan. Czas jest niezwykle istotny. Komendant chce panią przesłuchać, zanim odpalimy.

Oddział uprowadził Holly w stronę ruchomego sztabu tak szybko, że jej stopy ledwie dotykały ziemi. Jak okiem sięgnąć, czyściciele Odzysku przeszukiwali teren, likwidując wszelkie ślady obłączenia. Technicy rozbierali połowe anteny satelitarne, przygotowując się do wyłączenia zasilania. Wózek, sterowany nieartykułowanymi stęgnięciami, jechał z wolna w stronę portalu. Przepisy bezwzględnie nakazywały, aby przed wybuchem biobomby wszystko, sprzęt i wróżki, zostało przeniesione na bezpieczną odległość.

Na stopniach wahadłowca czekał na nią Bulwa.

–Holly- wyrwało mu się. – To znaczy, pani kapitan. Udało wam się.

–Tak jest, sir. Dziękuję, sir.

–No i złoto. To prawdziwy tytuł do chwały.

–Ale nie całe, komendancie. Mniej więcej połowa.

–Nie szkodzi – skinął głową Bulwa. – Niebawem odzyskamy resztę.

Holly otarła z czoła piankę przeciwradiacyjną.

–Zastanawiałam się nad tym, sir. Fowl popełnił błąd. Nie zakazał mi ponownego wstępu do domu, a skoro sam mnie tu przywiózł, wezwanie nadal obowiązuje. Mogłabym wejść i zatrzeć pamięć mieszkańców, ukrylibyśmy złoto w ścianach i jutro zatrzymalibyśmy czas...

–Nie, pani kapitan.

–Ależ komendancie...

Na twarz Bulwy powrócił wyraz napięcia.

–Nie, kapitanie. Rada nie zamierza wstrzymać operacji dla jakiegoś Błotniaka Porywacza. Po prostu nie. Mam wyraźne rozkazy i możecie mi wierzyć, są wykute w

kamieniu.

Holly pociągnęła Bulwę do wahadłowca.

–Ale dziewczyna, komendancie. Przecież jest niewinna!

–Ofiara wojny. Opowiedziała się po niewłaściwej stronie. Nic już nie da się dla niej zrobić.

–Ofiara wojny? – zawołała Holly z niedowierzaniem. – Jak może pan tak mówić? Życie to życie!

Bulwa odwrócił się gwałtownie i chwycił wrózkę za ramiona.

–Zrobiłaś, co mogłaś, Holly – powiedział. – Nikt nie dokonałby więcej. Odzyskałaś nawet większą część okupu. Ale cierpisz na objaw, który ludzie nazywają syndromem sztokholmskim, czujesz więź z porwaczami. Nie martw się, to minie. Słuchaj, ci ludzie w środku wiedzą! Wiedzą o nas! Nic nie może ich ocalić.

Ogierek uniósł głowę znad obliczeń.

–Technicznie rzecz biorąc, to nieprawda. A propos, witaj w domu.

Holly nie zamierzała poświęcać ani sekundy na przywitanie.

–Jak to, nieprawda?

–U mnie też wszystko dobrze, skoro już o to pytasz.

–Ogierek! – wrzasnęli chórem Holly i Bulwa.

–No, Księga powiada:

Jeśli Człek Błotny złoto posiędzie,

Zwalczy moc wrózek i ich żółdzie,

Wtedy zachowa skarb nasz przy sobie,

Póki snem wiecznym nie legnie w grobie.

Więc jeśli człowiek przeżyje, wygrywa. Po prostu. Nawet Rada nie postąpi wbrew wskazaniom Księgi.

–Powiniennem się tym przejmować? – zapytał Bulwa, drapiąc się w brodę.

Ogierek zaśmiał się bezradośnie.

–Nie. Właściwie oni już nie żyją.

–„Właściwie” mi nie wystarcza.

–Czy to rozkaz?

–Owszem, żołnierzu.

–Nie jestem żołnierzem – powiedział Ogierek i nacisnął guzik.

Butler nie posiadał się ze zdumienia.

–Zwróciłeś złoto? Artemis przytaknęła.

–Mniej więcej połowę. I tak mamy niezłą fortunę. Około piętnastu milionów dolarów po dzisiejszych cenach rynkowych.

Butler, który zwykle o nic nie pytał, teraz nie wytrzymał.

–Dlaczego, Artemisie? Możesz mi powiedzieć?

–Chyba tak – uśmiechnął się chłopiec. – Wydawało mi się, że jesteśmy coś winni pani kapitan. Za wyświadczone usługi.

–I to wszystko?

Artemis skinął głową. Nie widział potrzeby, aby wspominać o swoim życzeniu. Ktoś mógłby to uznać za słabość.

–Hmm – mruknął służący, który był mądrzejszy, niż się zdawało.

–A teraz świętujmy – powiedział Artemis radośnie, zrećcznie zmieniając temat. – Proponuję odrobinę szampana.

I oddalił się w stronę kuchni, zanim służący zdążył dobrze mu się przyjrzeć.

Kiedy Butler i Julia go dogonili, trzymał w dłoniach trzy kieliszki szampana dom perignon.

–Wiem, że jestem niepełnoletni, ale mama z pewnością nie miałaby nic przeciwko temu. Tylko ten jeden raz.

Butler czuł, że coś nie gra, niemniej przyjął smukłą czarękę.

Julia spojrzała na starszego brata.

–Czy to w porządku?

–Mam nadzieję – odetchnął głęboko. – Wiesz, że cię kocham, siostrzyczko?

Julia skrzywiła się – kolejna mina, która tak urzekała miejscowych łobuzów – i szturchnęła brata w ramię.

–Jak na goryla strasznie jesteś sentymentalny. Butler spojrzał pracodawcy prosto w oczy.

–Artemisie, naprawdę chcesz, żebyśmy to wypili? Chłopiec odwzajemnił spojrzenie.

–Tak, Butler. Chcę.

Butler bez słowa wychylił zawartość kieliszka, a Julia poszła w jego ślady. Służący natychmiast wyczuł w winie środek nasenny, lecz chociaż miał dość czasu, by skrócić kark Artemisowi, powstrzymał się od tego. W tych ostatnich chwilach nie chciał sprawiać siostrze przykrości.

Artemis patrzył, jak jego przyjaciele osuwają się na podłogę. Szkoda, że musiał posunąć się do oszustwa, lecz w przeciwnym razie ich niepokój udaremniłby działanie narkotyku. Spojrzał na bąbelki we własnym kieliszku. Pora na najbardziej śmiałe posunięcie całego planu. Zawahał się tylko przez mgnienie oka, po czym jednym łykiem wypił szampan.

Czekał spokojnie, aż środek zacznie działać. Nie trwało to długo; dawki zostały starannie wyliczone, stosownie do wagi ciała. Kiedy zaczęło mu się kręcić w głowie, uzmysłowił sobie, że może już nigdy się nie obudzić. Cóż, trochę za późno na zastrzeżenia, niecierpliwie skarcił sam siebie, i pogrążył się w nieświadomości.

–Leci – oznajmił Ogierek, odwracając się od konsoli. – Nic już nie mogę zrobić.

Sledzili lot pocisku przez okna ze spolaryzowanego szkła. W rzeczy samej, bomba należała do niezwykłych. Ponieważ jej główną broń stanowiło światło, można było dokładnie określić pole rażenia. Okres połowicznego rozpadu solinium 2, pierwiastka promieniotwórczego, zawartego w rdzeniu, wynosił czternaście sekund. W praktyce oznaczało to, że Ogierek mógł nastawić biobombę, aby „wypłukała” wyłącznie dwór Fowlów, nie dotykając poza tym ani jednego źdźbła trawy, a ponadto już po niecałej minucie budynek przestawał być promieniotwórczy. Gdyby – co mało prawdopodobne – jakieś promienie solinium nie dały się jednak zogniskować, zatrzymywało je pole czasowe. Najłatwiejsze zabijanie pod słońcem.

–Trajektoria lotu została z góry zaprogramowana -wyjaśniał Ogierek, choć nikt nie zwracał nań ani krztyny uwagi. – Pocisk wleci do holu i wybuchnie. Powłokę i mechanizm zapalnika wykonano ze stopu plastików, które zostaną całkowicie zniszczone. Czysta robota.

Bulwa i Holly patrzyli na łuk, kreślony przez bombę. Zgodnie z przewidywaniami wpadła przez zdewastowane drzwi wejściowe tak gładko, że ze średniowiecznych murów nie odpadł nawet okruch. Holly skupiła się na obrazie z kamery, umieszczonej na czubku pocisku. Przez chwilę w monitorze mignął hol, gdzie tak niedawno przebywała jako więzień. Teraz był pusty, nie dostrzegła w nim żadnego człowieka.

A może, pomyślała. Może... Lecz wówczas spojrzała na Ogiierka, na technologię, jaką miał do dyspozycji, i zdała sobie sprawę, że ludzi w budynku czeka nieuchronna śmierć.

Biobomba eksplodowała. Kula niebieskiego światła rozprzestrzeniła się z łoskotem, wypełniając wszystkie zakątki dworu zabójczym promieniowaniem. Kwiaty więdły, owady wysychały na wiórki, rybki umierały w akwariach. Wybuch nie oszczędził ani centymetra sześciennego. Artemis Fowl i jego banda nie mogli się wymknąć – to było niemożliwe.

Holly westchnęła i odwróciła wzrok od niebieskiej, słabnącej już „płukanki”. Pomimo wielkich zamierzeń Artemis w końcu okazał się zwykłym śmiertelnikiem. Z jakiegoś powodu jego odejście nappełniło ją żalem.

Bulwa przejawiał większy pragmatyzm.

–No dobra. Wkładać kombinezony. Pełne wyposażenie przeciwpromienne.

–Przecież jest zupełnie bezpiecznie – zaprotestował Ogierek. – Nie uważał pan na lekcjach?

–Wierzę nauce akurat tak, jak i wam, Ogierek -warknął Bulwa. – Promieniowanie potrafi pętać się w miejscach, gdzie zdaniem naukowców powinno całkiem zniknąć. Nikt nie wyjdzie z ukrycia bez sprzętu przeciwpromiennego. Czyli wy, Ogierek,

zostajecie. Nie mamy kombinezonów dla kopytnych. A poza tym chcę, żebyście dyżurowali przy monitorach, tak na wszelki wypadek...

Na wypadek czego? – zdziwił się Ogierek, ale nic nie powiedział. Później będzie mógł szdydzić: „A nie mówiłem?”

–Gotowa, pani kapitan? – zwrócił się Bulwa do Holly.

Myśl o tym, że będzie musiała rozpoznać trzy trupy, nie spodobała się Holly. Wiedziała jednak, że to jej obowiązek. Ona jedna znała z pierwszej ręki wnętrze dworu.

–Tak jest, sir. Już idę.

Zdjęła z półki kombinezon przeciwpromienny i naciągnęła go na mundur. Przed zapięciem wulkanizowanego kaptura z nawyku sprawdziła zawór; spadek ciśnienia oznaczał uszkodzenie, które na dłuższą metę mogło okazać się śmiertelne.

Bulwa rozstawił grupę wypadową na granicy terenu. Perspektywa wejścia do dworu napawała niedobitki pierwszego oddziału Odzysku mniej więcej takim samym entuzjazmem, jak żonglowanie cuchnącymi balonami Atlantydwów.

–Na pewno tego dużego już nie ma?

–Tak, kapitanie Wodorost. Zniknął, w taki czy inny sposób.

Kłopot nie był przekonany.

–Bo to strasznie wredny człowiek. Chyba ma jakieś własne czary.

Kapral Pędrak zachichotał i natychmiast oberwał w ucho. Mruczając, że wszystko powie mamie, pośpiesznie zapiął kask.

Bulwa poczuł, że znowu się czerwieni.

–Ruszamy. Waszym zadaniem jest odzyskanie złota. Uważajcie na pułapki. Nie ufałem Fowlowi, póki żył, i stanowczo nie ufam mu po śmierci.

Na dźwięk słowa „pułapki” wszyscy nastawili uszu. Sama myśl o minie przeciwpiechotnej, wybuchającej na wysokości głowy, wystarczyła, by funkcjonariusze wyzbyli się wszelkiej nonszalancji. Nikt nie dorównywał Błotnym Ludziom w produkcji okrutnej broni.

Jako oficer Holly stanęła na czele grupy. Jej dłoń automatycznie zacisnęła się na kolbie neutrino 2000, choć wiedziała, że zapewne nie napotka już żadnego wroga.

We wnętrzu domu panowała upiorna cisza, którą rozpraszał jedynie syk kilku ostatnich dogasających promieni solinium. W owej ciszy czaiła się śmierć; dwór był kolebką umierania. Holly instynktownie to wyczuwała. Za średniowiecznymi murami leżały szczątki miliona owadów, pod podłogami zaś – stygnące ciała pajaków i myszy.

Ostrożnie podeszli do drzwi, gdzie Holly sprawdziła teren czujnikiem rentgenowskim. Pod płytami przedsionka znajdował się jedynie piach oraz gniazdo martwych pajaków.

–Czysto – powiedziała do mikrofonu. – Wchodzę. Ogierek, masz swoje uszy?

–Jestem z tobą, kochanie – odparł faun. – Chyba że nadepniesz na minę, gdyż wtedy przeniosę się do punktu dowodzenia.

–Są jakieś sygnały termiczne?

–Po płukance, nie ma mowy. Wszędzie tylko rezydualne ciepło. Głównie z powodu solinium. Wystygnie dopiero za kilka dni.

–Ale promieniowania nie ma?

–Nie.

Bulwa parsknął z niedowierzaniem. W słuchawkach zabrzmiało to niczym kichnięcie słonia.

–Wygląda na to, że będziemy musieli przeczesać dom staroświeckim sposobem – mruknął niechętnie.

–Ale szybko – doradził Ogierek. – Mamy co najwyżej pięć minut, zanim dwór Fowlów dołączy do reszty świata.

Holly przestąpiła przez coś, co niegdyś było progiem. Żyrandol w holu jeszcze bujał się lekko, poruszony siłą wybuchu, ale poza tym wszystko wyglądało tak, jak pamiętała.

–Złoto jest na dole. W mojej celi.

Nikt nie odpowiedział, przynajmniej nie słowami. Ale ktoś głośno kaszlnął wprost do mikrofonu. Holly obróciła się błyskawicznie. Zgięty w pół Kłopot trzymał się za brzuch.

–Nie czuję się dobrze – jęknął. Zważywszy plamę wymiocin na jego butach, właściwie niepotrzebnie o tym informował.

Kapral Pędrak zaczerpnął tchu, zapewne po to, by zawołać „Mamo!”, lecz zdołał wyrzucić z siebie tylko strumień skoncentrowanej żółci. Niestety, nie zdążył

przedtem otworzyć kasku. Widok nie należał do najpiękniejszych.

–Uech – skrzywiła się Holly, zwalniając zacisk przyłbicy kaprala, na którego czarny kombinezon wylała się fala zwróconych posiłków.

–Na litość boską – warknął Bulwa, przepychając się obok braci. Nie zaszedł daleko. Ledwie przekroczył próg, a już wymiotował tak jak wszyscy.

Holly skierowała obiektyw kamery na nieszczęsnych kolegów.

–Ogierek, co się tu dzieje, do cholery?

–Zaczekaj, próbuję się dowiedzieć. Dobięło ją wściekłe walenie w klawisze.

–Już. Nagłe wymioty... Mdłości w kosmosie... Och, nie.

–Co? – zapytała Holly. Ale już wiedziała. Może wiedziała od zawsze.

–T... to czary – wykrztusił Ogierek, który z podniecenia aż zaczął się jąkać. – Nie mogą wejść do domu, póki Fowl nie umrze. Jakby gwałtowna reakcja alergiczna. To znaczy, nie do wiary, ale to znaczy...

–Że im się udało! – dokończyła Holly. – On żyje! Artemis Fowl przeżył!

–D'Arvit – jęknął Bulwa i znów zwymiotował na terakotową posadzkę.

Dalej Holly poszła sama. Była pewna, że jeśli Fowl rzeczywiście umarł, jego ciało znajduje się w pobliżu złota. Ze ścian lypały na nią te same portrety rodzinne, co poprzednio, ale teraz wyglądały bardziej na zadowolone z siebie, aniżeli surowe. SKRZATkę ogarnęła pokusa wystrzelenia w nie kilku serii z neutrino 2000. To jednak byłoby wbrew zasadom. Skoro Artemis Fowl ich pokonał, sprawa się zakończyła. Żadnych żalów ani pretensji.

Zeszła schodami do celi, której drzwi wciąż kołysały się lekko po wybuchu biobomby. Promień solinium odbijał się od ścian niczym uwięziona, błękitna błyskawica. Holly niepewnie zrobiła kilka kroków do środka, na poły obawiając się tego, co może znaleźć.

Nic tu nie było. W każdym razie nic niezwyłego. Tylko złoto – mniej więcej dwieście sztabek, ułożonych w stos na pryczy w schludnych, wojskowych rzędach. Dobry, stary Butler, jedyna istota ludzka, która potrafiła zmierzyć się z trollem i zwyciężyć.

–Komendancie? Słyszysz mnie pan? Odbiór.

–Potwierdzam, kapitan Nieduża. Liczba zabitych?

–Nie ma zabitych, sir. Znalazłam pozostałą część okupu.

Zapadło długie milczenie.

–Zostaw to, Holly. Znasz zasady. Wycofujemy się.

–Ależ sir... Musi być jakiś sposób...

–Ależ nic, pani kapitan – przerwał rozmowę Ogierek. – Odliczam sekundy do świtu; nasze szansę wycofania się w samo południe stanowczo mi się nie podobają.

Holly westchnęła. Przez Ogierka przemawiał głos rozsądku. Członkowie Ludu mogli się wycofać, kiedy chcieli, pod warunkiem, że uczynili to przed rozpadem pola czasowego. Po prostu ubodła ją świadomość, że zostali pokonani przez człowieka, i to w dodatku niedorostka.

Po raz ostatni rozejrzała się po celi. Zrodził się tutaj wielki kłęb nienawiści, z którym wcześniej czy później należało się uporać. Holly wsadziła broń do kabury. Lepiej załatwić to jak najszybciej; tym razem Fowl wygrał, ale ktoś taki jak on nie spocznie długo na laurach. Powróci z jakimś kolejnym planem zdobycia pieniędzy. A kiedy się zjawi, zostanie czekającą nań Holly Niedużą, z uśmiechem na ustach i wielkim pistoletem w dłoni.

Przy granicy pola czasowego ziemia całkiem rozmiękła. Pięćset lat fatalnej kanalizacji zamieniło fundament średniowiecznych murów nieledwie w bagno. Tutaj wynurzył się Mierzwa.

Podatność gruntu nie była jedynym powodem, dla którego wybrał właśnie to miejsce, aby wyjść na powierzchnię. Drugą przyczyną był zapach. Dobry krasnal tunelowy potrafi wyczuć zapach złota przez półkilometrową opokę granitowej skały. A Mierzwa Grzebaczek posiadał jeden z najlepszych nosów w swoim fachu.

Wózek poduszkowca unosił się opodal właściwie niestrzeżony. Co prawda stało przy nim dwóch chwatów z Odzysku, tych jednak pochłonęło naśmiewanie się z opresji komendanta.

–Ale ma odrzut, co, Chix?

Chix przytaknął, przedrzeźniając odruch wymiotny Bulwy.

Dzięki błazeńskim popisom Chiksa Gryzonia drobna kradzież uszłaby niepostrzeżenie właściwie każdemu. Przed wydostaniem się z tunelu Mierzwa przeczyścił кишки; ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, był niespodziewany wybuch

gazu, zwracający uwagę SKRZAT na jego obecność. Niepotrzebnie się martwił. Gdyby wsadził Chiksowi pod nos mokrą, śmierdzącą dżdżownicę, chochlik nawet by jej nie zauważył.

Przeniesienie do tunelu dwóch tuzinów złotych sztabek zajęło krasnalowi zaledwie kilka sekund. Była to najłatwiejsza robota w jego życiu. Powstrzymując chichot, wrzucił do dziury ostatnie dwa kawałki. Juliusz Bulwa właściwie wyświadczył mu przysługę, wplątując go w całą aferę. Sprawy ułożyły się nadspodziewanie dobrze – był wolny jak ptak, bogaty, a co najlepsze, uznany za zmarłego. Kiedy w SKRZAT zorientują się, że złoto zniknęło, Mierzwa Grzebaczek będzie już na innym kontynencie. Jeżeli w ogóle się zorientują.

Krasnal zszedł pod ziemię. Transport skarbu wymagał kilku nawrotów, ale zwłoka się opłacała. Za takie pieniądze mógł przejść na wcześniejszą emeryturę. Oczywiście, należało zniknąć całkowicie, ale w chytrym umyśle Mierzwy już wykluwał się przemyślny plan.

Przez jakiś czas pomieszka na powierzchni, udając ludzkiego karła cierpiącego na światłowstręt. Może kupi sobie apartament wyposażony w okiennice, gdzieś na Manhattanie lub w Monte Carlo. Ludziom zapewne wyda się dziwne, że krasnal izoluje się od słoń-ca. Ale ten konkretny krasnal będzie obrzydliwie bogaty. Błotni Ludzie gotowi są przełknąć każdą, najbardziej niesamowitą bzdurę, gdy wywęszą w niej korzyść dla siebie. Najlepiej w postaci zielono zadrukowanego papieru.

Artemis usłyszał, że jakiś głos woła go po imieniu. W ślad za głosem wyłoniła się twarz, zamazana, niewyraźna. Ojciec?

–Ojciec? – słowo to, nieużywane i zardzewiałe, zabrzmiało dziwnie w jego ustach. Otworzył oczy. Pochylał się nad nim Butler.

–Artemisie, nie śpisz?

–Ach, to ty, Butler.

Artemis powoli wstał, choć z wysiłku zaszumiało mu w głowie. Spodziewał się wsparcia pomocnej dłoni służącego, jednak na próżno. Julia leżała na szezlongu, cicho chrapiąc w poduszkę. Najwyraźniej napój usypiający nie przestał jeszcze działać.

–To tylko środek nasenny, Butler. Zupełnie nieszkodliwy.

Oczy służącego załśniły groźnie.

–Co masz na swoje wytłumaczenie?

–Później, Butler – Artemis potarł powieki. – Czuję się trochę...

Butler zastąpił mu drogę.

–Artemisie, na tej kanapie leży odurzona moja siostra. Omal nie zginęła. Więc żądam wyjaśnienia, natychmiast!

Artemis zrozumiał, że otrzymał polecenie. Przez chwilę rozważał, czy się nie obrazić, lecz zdał sobie sprawę, że Butler ma rację. Posunął się za daleko.

–Nie powiedziałem wam o środku nasennym, gdyż wówczas moglibyście opierać się jego działaniu. To naturalna reakcja. A plan bezwzględnie wymagał, byście od razu zasnęli.

–Plan?

Artemis opadł na wygodny fotel.

–Pole czasowe to klucz do całej sprawy. Dzięki niemu SKRZAT miał ogromny atut, prawdziwego asa w rękawie. Dlatego przez te wszystkie lata byli niepokonani. Pole pozwala odizolować każde wydarzenie od reszty świata. Stosowane łącznie z biobombą daje im ogromną przewagę.

–Więc dlatego musiałeś nas uśpić? Artemis uśmiechnął się.

–Spójrz przez okno. Nie widzisz? Poszli sobie. Skończyło się.

Butler wyjrzał przez siatkowe firanki. Światło na zewnątrz było jasne i przejrzyste, bez cienia martwego błękitu. Jednak służący pozostał niewzruszony.

–Na razie odeszli, ale założę się, że wrócą wieczorem.

–Nie. To wbrew zasadom. Pokonaliśmy ich. Zabawa skończona.

Butler uniósł brew.

–Wróćmy do tabletek nasennych, Artemisie.

–Widzę, że nie dasz się zbić z tropu. Odpowiedziało mu kamienne milczenie.

–No cóż... Tabletki nasenne... Widzisz, musiałem znaleźć sposób, żeby uciec z pola czasowego. Przeorałem całą Księgę, ale bez skutku. Żadnej wskazówki. Same wróżki nie wiedzą dotąd, jak to zrobić. Cofnąłem się więc do starożytnej spuścizny elfów z okresu, gdy ich losy były splecione z naszymi. Znasz te opowieści – duszki, które w ciągu nocy szyły buty i sprzątały ludziom domy w czasach, kiedy obie nasze rasy łączyła swego rodzaju symbioza. Czarodziejskie usługi w zamian za nietykalność

elfów. Z których największym, rzecz jasna, był Święty Mikołaj.

Brwi Butlera uniosły się tak wysoko, że niemal wleciały ponad jego twarz.

–Święty Mikołaj?

–Tak, tak, wiem – Artemis podniósł uspokajająco dłonie. – Sam przez chwilę w to nie wierzyłem. Ale podobno nasz Święty Mikołaj nie wywodzi się od skandynawskiego świętego, jak się powszechnie uważa, lecz stanowi wcielenie San D'Klassa, znanego jako San Złudzony, trzeci władca elfiej dynastii Paproci.

–Niezbyt zaszczytny tytuł, mówiąc między nami.

–Przyznaję. D'Kiass sądził, że zaspokoi chciwość Błotnych Ludzi, zamieszkujących jego królestwo, rozdając im szczodre dary. Raz do roku wzywał największych czarodziejów i kazał im zatrzymywać czas na ogromnych obszarach, a następnie wysyłał tam zastępy chochlików, które dostarczały prezenty śpiącym ludziom. Oczywiście, operacja nie zdała egzaminu. Nie da się zaspokoić ludzkiej chciwości, zwłaszcza za pomocą darów.

–A co by się stało – zmarszczył brew Butler – gdyby ludzie... to znaczy my... gdybyśmy się obudzili?

–A tak. Świetne pytanie. Istota rzeczy. Chodzi o to, że to niemożliwe. Na tym polega zatrzymanie czasu. Stan świadomości, jaki mamy na jego początku, zostaje zachowany podczas jego trwania, więc nie możemy ani się obudzić, ani zasnąć. Zapewne w ciągu ostatnich kilku godzin zauważyłeś rosnące zmęczenie, jednak twój umysł nie pozwalał ci na sen.

Służący powoli pokiwał głową. Zagadka, choć w okrężny sposób, zaczynała się wyjaśniać.

–Wymyśliłem więc, że jedynym sposobem ucieczki z pola czasowego jest zwykłe zaśnięcie, gdyż jedynie nasza świadomość trzymała nas w niewoli.

–Bardzo dużo zaryzykowałeś dla teorii, Artemisie.

–Nie była to tylko teoria. Miałem królika doświadczalnego.

–Kogo? Ach, Angelina...

–Tak. Mama. Odurzona narkotykami egzystowała zgodnie z naturalnym biegiem czasu, nieniekoszona przez pole czasowe. Gdyby eksperyment przebiegł inaczej, po prostu poddałbym się SKRZATowi i pozwolił na zatarcie pamięci.

Butler parsknął. Szczerze wąpił w słowa pracodawcy.

–A zatem, skoro nie mogliśmy samodzielnie zasnąć, zwyczajnie podałem wszystkim tabletki nasenne mamy.

–Zostawiłeś to na ostatnią chwilę. Jeszcze kilka minut...

–To prawda – przytaknął chłopiec. – Pod koniec sytuacja była trochę napięta. Ale musiałem blefować, żeby oszukać SKRZAT.

Umilkł, aby dać Butlerowi czas na przemyślenie tego, co usłyszał.

–Więc jak, wybaczysz mi?

Butler westchnął. Julia na kanapie chrapała niczym pijany marynarz. W końcu twarz służącego rozjaśnił uśmiech.

–Tak, Artemisie. Wybaczeni ci wszystko. Ale jeszcze jedno...

–Tak?

–Nigdy więcej. Wróżki są zbyt... ludzkie.

–Masz rację – rzekł Artemis, a zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się. – Nigdy więcej. W przyszłości ograniczymy się do bardziej gustownych przedsięwzięć. Nie obiecuję jednak, że będą legalne.

Butler skinął głową. To musiało mu wystarczyć.

–A teraz, młody panie, czy nie powinniśmy zajrzeć do twojej mamy?

O ile to możliwe, Artemis pobladł jeszcze bardziej. A jeśli pani kapitan wycofała się z przyrzeczenia? Z pewnością miałyby do tego prawo.

–Tak, chyba tak. Niech Julia odpoczywa. Zasłużyła na to.

Spojrzał do góry, w studnię schodów. Zbyt wiele oczekiwał, ufając wróżce. W końcu uwięził ją i przetrzymywał wbrew jej woli. W cichości ducha czynił sobie wyrzuty. Rozstać się z tyloma milionami dla niepewnej obietnicy! Co za łatwowierność!

I wówczas na poddaszu otworzyły się drzwi.

Butler natychmiast wyciągnął broń.

–Artemisie, kryj się. Ktoś wtargnął do domu.

–Nie, Butler – machnął ręką chłopiec. – Nie sądzę.

Serce waliło mu w piersi, krew huczała w uszach. Czy to możliwe? Czy możliwe? Na schodach pojawiła się jakaś postać podobna do zjawy, ubrana w płaszcz kąpielowy, z mokrymi włosami.

–Arty? – zawołała. – Arty, jesteś tam?

Artemis chciał odpowiedzieć, pobiec ku niej po wielkich schodach, wyciągając ramiona do uścisku. Ale nie mógł. Funkcje mózgowe odmówiły mu posłuszeństwa.

Angelina Fowl schodziła coraz niżej, dłonią muskając poręcz. Artemis zdążył zapomnieć, ile wdzięku ma jego matka. Jej bose stopy migają na pokrytych dywanem stopniach. Wreszcie stanęła przed nimi.

–Dzień dobry, kochanie – powiedziała pogodnie, jakby to był zwykły poranek.

–M... mamó – wymamrotał Artemis.

–No chodź, przytul mnie.

Artemis zbliżył się do matki. Jej uścisk był mocny i ciepły. Owionął go zapach perfum. Nagle poczuł się jak mały chłopiec – którym przecież był.

–Przepraszam cię, Arty – szepnęła mu do ucha.

–Za co?

–Za wszystko. Za ostatnich parę miesięcy. Nie byłam sobą. Ale teraz wszystko się zmieni. Pora przestać żyć przeszłością.

Artemis poczuł łzę na policzku. Nie wiedział, które z nich płacze.

–I w dodatku nie mam dla ciebie prezentu.

–Prezentu? – zdziwił się Artemis.

–Oczywiście – powiedziała matka, obracając go wkoło. – Nie wiesz, jaki dziś dzień?

–Dzień?

–Gwiazdka, niemądry chłopcze! Pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia! Wedle tradycji ludzie dają sobie prezenty!

Tak, pomyślał Artemis. Tradycja. San D'Klass.

–Spójrz tylko na ten dom. Ponury niczym grobowiec. Butler?

Służący pośpiesznie schował sig sauera do kieszeni.

–Tak, proszę pani?

–Zadzwoń do Tomasza Browna. Platynowa karta. Otwórz mi nowy rachunek. I powiedz Helenę, że chcę świąteczny masaż i makijaż. Pełny zestaw.

–Tak jest, proszę pani. Pełny zestaw.

–Aha, obudź Julię. Chcę, żeby przeniesiono moje rzeczy do głównej sypialni. Za dużo kurzu na tym poddaszu.

–Tak jest, proszę pani. W tej chwili. Angelina Fowl wzięła syna pod rękę.

–A teraz, Arty, musisz mi wszystko opowiedzieć. Przede wszystkim, co się tu działo?

–Remont- odparł Artemis.– Stare wejście strasznie zawilgło.

Angelina zmarszczyła brew, nieprzekonana.

–Rozumiem. A co w szkole? Postanowiłeś już, co chcesz robić?

W czasie, gdy usta Artemisa odpowiadały na te przyziemne pytania, jego umysł przeżywał istną burzę. Znów był małym chłopcem. Pojął, iż od tej chwili jego życie ulegnie całkowitej odmianie. Jego plany muszą być znacznie bardziej misterne, jeśli mają umknąć matczynej uwadze. Ale niczego nie żałował.

Angelina Fowl myliła się. Jednak dała mu prezent na Gwiazdkę.

epilog

Teraz, kiedy przejrzełicie już akta sprawy, zdajecie sobie zapewne sprawę, jak niebezpiecznym osobnikiem jest ten Fowl.

Niektórzy z nas są skłonni postrzegać Artemisa w romantycznym świetle i przypisywać mu zalety, jakich nie posiada. Ale fakt, że wykorzystał życzenie, aby przywrócić zdrowie matce, nie świadczy bynajmniej o głębi uczuć. Zrobił tak tylko dlatego, że opieka społeczna zaczęła deptać mu po piętach i lada chwila zostałby oddany do domu dziecka.

Zachował istnienie Małego Ludu w tajemnicy wyłącznie po to, by móc bezkarnie wykorzystywać nas w następnych latach, co też przy kilku okazjach uczynił. Popęłił jeden, jedyny błąd – pozostawił przy życiu kapitan Niedużą. Holly została czołowym ekspertem SKRZAT w sprawach dotyczących Artemisa Fowla i w walce z owym najgroźniejszym wrogiem naszego Ludu oddała nieocenione usługi. Walka ta miała trwać jeszcze kilka dziesięcioleci. Jak na ironię, oboje odnieśli największy triumf, gdy zostali zmuszeni do współpracy podczas powstania goblinów. Ale to już zupełnie inna historia.

Raport ten zastał sporządzony przez profesora psychologii Z. Argonu na użytek Akademii SKRZAT i jest w 94 procentach oparty na faktach. Pozostałe 6 procent to nieuniknione domysły.

Koniec

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/